

ROCZNIK siemianowicki MUZEALNY

Nr 10

2011



ROCZNIK
siemianowicki
MUZEALNY

Nr 10

2011

SIEMIANOWICE ŚLĄSKIE 2011

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Zdzisław Janeczek
Grzegorz Musiał
Artur Garbas
Leszek Drabicki
Jarosław Bednarz

REDAKCJA I KOREKTA:

Krystian Hadasz

OPRAC. GRAFICZNE I SKŁAD:

Adam Malski

NA OKŁADCE:

Nowo wybudowany Rynek Miejski z odnowionym Ratuszem
i Pomnikiem Powstańców Śląskich (fot. Jarosław Bednarz)

DRUK:

Text Partner, Katowice

WYDAWCA:

Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich
41-100 Siemianowice Śląskie, ul. Chopina 6
tel. 32 228 50 80
www.muzeum.siemianowice.pl

ISSN 1644-8154

S P I S T R E Ś C I :

Jacek Guzy – Prezydent Miasta Siemianowice Śląskie – *Wstęp*..... 5

W 90. ROCZNICĘ III POWSTANIA ŚLĄSKIEGO

Zdzisław Janeczek – *U źródeł powstańczej idei śląskiego zrywu 1921 roku* 9

Wojciech Kempa – *Bitwa o Górę św. Anny* 22

Wojciech Kempa – *Batalion Marcina Watoły* 38

Z KART HISTORII MIASTA

Małgorzata Derus – *Z dziejów budownictwa w Siemianowicach – Otton Urbańczyk* 45

Czesław Guzy – *Migawki z przeszłości. Część 6* 58

WOKÓŁ PROBLEMATYKI PIĘKNA, ARTYSTY, DZIEŁA SZTUKI

ks. Jerzy Szymik – *Czym jest piękno? – współczesna estetyka teologiczna* 75

Zdzisław Janeczek – *Jan Kazimierz Nowak (1930-2010). Człowiek-artysta i jego czasy* 92

Katarzyna Młynarczyk – *...Tego nie wiem* 132

OMÓWIENIA, OPINIE, RECENZJE

Mirosław Domin – *Śladami bolesnej przeszłości – nowa książka o historii naszego miasta* 139

Krystian Hadasz – *Marek Urbańczyk: Ochrona i konserwacja organów zabytkowych na tle rozwoju sztuki organmistrzowskiej* 146

Zdzisław Janeczek – *Henryk Kocój: Dyplomaci pruscy o powstaniu kościuszkowskim* 149

Krzysztof Lisowski – *Być w ręku Boga – Ks. Jerzy Szymik: Czułość, siła i drżenie* 157

Ks. Jerzy Szymik – wiersze: <i>Lublin. Mandragora; Antylopa kudu; Być śląskim księdzem</i>	160
Katarzyna Młynarczyk – <i>Nieśmiertelne platany, tajemnice pracowni i barwy szarości – wystawa studentów katowickiej ASP z pracowni prof. Janusza Karbowniczka</i>	164
Katarzyna Młynarczyk – <i>Wystawa jubileuszowa z okazji 25-lecia Siemianowickiej Grupy Plastycznej „Spichlerz ‘86”</i>	168

IN MEMORIAM

Bogumiła Hrapkowicz-Halorowa – <i>Śp. Antoni Halor (1937-2011). Nasze podróże</i>	175
Małgorzata Derus – <i>Śp. Maria Fojcik (1933-2011)</i>	182
Kalendarium wystaw i imprez w Muzeum Miejskim w 2011 roku	187
Autorzy rocznika	192

WSTĘP



W XVIII wieku w następstwie rozbiorów Polska przestała istnieć jako państwo, a jej terytorium zostało rozdarte pomiędzy trzy mocarstwa ościenne. Polacy nigdy nie pogodzili się z utratą niepodległości i walka ta odniosła skutek – w roku 1918, po 123 latach niewoli, Polska tę niepodległość odzyskała. Wydarzeniem niezwykłym było to, że w granicach odrodzonej Rzeczypospolitej znalazł się Górny Śląsk, który przez setki lat pozostawał poza Polską. Przez cały ten czas Ślązacy pielęgowali więź ze swą Ojczyzną i nigdy nie przestali czuć się Polakami, czemu dali wyraz, kiedy 90 lat temu zerwali się do walki, by przyłączyć Górny Śląsk do Macierzy. Okazało się, że polityka wynaradawiania, germanizowania Ślązaków zakończyła się fiaskiem. Śląsk pozostał wierny Polsce.

III Powstanie Śląskie było najbardziej masowym z polskich powstań. W szeregach wojsk powstańczych walczyło 65 tysięcy powstańców, w czym było 5 tysięcy ochotników z innych regionów Polski, którzy przybyli na Śląsk, aby dopomóc rodakom w ich walce. Ale 60 tysięcy to miejscowi Ślązacy, co w zestawieniu z ówczesną liczbą mieszkańców Górnego Śląska świadczy o ogromnym zaangażowaniu...

Aktywny udział ludności, perfekcyjne przygotowanie i doskonała realizacja – wszystko to sprawiło, że III Powstanie Śląskie było jedynym, obok Powstania Wielkopolskiego, zwycięskim powstaniem w dziejach Polski. Szkoda, że tak mało się o tym mówi. Mam wrażenie, że my, Ślązacy, nie potrafimy się chwalić swoimi osiągnięciami, co sprawia, że bywamy niedoceniani. W naszym wizerunku często dominują fałszywe stereotypy na nasz temat.

Nie można przy tym nie podkreślić faktu, że bodaj nigdzie to zaangażowanie w walkę powstańczą nie było tak masowe, jak wśród siemianowiczian. Wystarczy wymienić takie postaci jak Wojciech Korfanty, Jan Emil Stanek czy Karol Gajdzik. Mieszkańcy Siemianowic, Michałkowic, Bytkowa, Bańgowa i Przełajki szli do powstania całymi rodzinami.

Moi przodkowie również walczyli w Powstaniach. Pamięć o tym przechowywana jest w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie i stanowi istotny element mojej tożsamości. Dlatego też tak ważne były dla mnie obchody 90. rocznicy wybuchu III Powstania Śląskiego. Sądzę zresztą, że ważne były one dla wszystkich, bądź prawie wszystkich mieszkańców Siemianowic Śląskich.

Jacek Guzy
Prezydent Miasta
Siemianowice Śląskie



Wkroczenie Wojska Polskiego na Górną Śląsk, 1922 r.

**W 90. ROCZNICĘ
III POWSTANIA
ŚLĄSKIEGO**

U ŹRÓDEŁ POWSTAŃCZEJ IDEI ŚLĄSKIEGO ZRYWU 1921 ROKU

Trzy powstania śląskie 1919-1921 wpisały się w tradycję polskich zrywów niepodległościowych. W przeciwieństwie do insurekcji kościuszkowskiej i listopadowej kierowanej przez zawodowych wojskowych powstańcy śląscy nie mieli armii regularnej i nie byli w stanie przeprowadzić powszechnego poboru. A przecież trzecie powstanie, które trwało najdłużej, wciągnęło w swoją orbitę masy robotników i chłopów śląskich, zakończyło się sukcesem politycznym, jakim był powrót Górnego Śląska do Macierzy. W sensie organizacyjnym walka Ślązaków miała wiele wspólnego z przebiegiem wydarzeń 1863 r. w Królestwie Polskim, gdzie z konieczności toczono wojnę partyzancką. Z tą jedną różnicą, iż w 1863 r. stosunek ilościowy kadry oficerskiej do powstańców był korzystniejszy.

Na rodowód i więź łączącą powstania śląskie z polskim ruchem narodowo-wyzwoleńczym wyraźnie wskazywały pseudonimy ich dowódców: „Hauke”, „Borelowski”, „Narbutt”, „Traugutt” i „Langiewicz”. Wielu oficerów chlubiło się przeszłością swoich przodków. Karol Gajdzik z Przełajki (obecnie dzielnica Siemianowic Śląskich) uważał się za potomka uczestnika powstania kościuszkowskiego, a bracia Jan i Paweł Brandysowie z ziemi pszczyńskiej podtrzymywali pamięć o sołtysie Brandysie, który w 1794 r. miał wręczyć Tadeuszowi Kościuszce na Rynku krakowskim pieniądze zebrane wśród Ślązaków na cele narodowe. Z kolei Walter Larysz z Ozimka (pow. opolski) utrzymywał, iż jednym z przodków jego matki Laury był gen. Jakub Jasiński, twórca konspiracji na Litwie i bohaterski obrońca szaniców Pragi.

Symboliczny wymiar miała modlitwa powstańców śląskich z Pszowa uzbromionych w kosy kute na sztorc. Za wnuków żołnierzy 1863 roku podawali się, m.in. tacy dowódcy jak ojciec poety, Stanisław Baczyński, Adam Benisz, oraz rodowici Ślązacy Jan Emil Stanek i Jan Hlond, brat przyszłego prymasa Polski¹. Nieprzypadkowo 3 batalion I Pułku Strzelców Bytomskich otrzymał sztandar, którego fragmenty pochodziły z proporca powstańców 1863 r., a jego żołnierze walczyli na froncie polsko-bolszewickim m.in. pod Rybczanami i Filipowem. Wcześniej Ślązacy, m.in. Roman Jan Koźlik, Seweryn Jędrysik i Szymon Białecki zapisali piękną kartę bojową w szeregach Legionów Polskich Józefa

Piłsudskiego², a Jan Pyka z Sośnicy awansowany na podchorążego walczył pod sztandarami I Korpusu Polskiego gen. Jana Dowbor-Muśnickiego. O związku powstań śląskich z tradycjami polskiego ruchu niepodległościowego głęboko przekonani byli rdzenni Górnoślązacy, powstańcy i współtwórcy POW G.Śl., m.in.: Nikodem Sobik, Józef Buła³, Ludwik Piechoczek⁴, Maksymilian Iksal⁵, Franciszek Marszolik⁶, Jan Szczepański⁷, Józef Michalski⁸ i Augustyn Biela-czek⁹. W opublikowanym w 1927 r. w Rybniku rocznicowym przyczynku do historii pierwszego powstania na Górnym Śląsku podkreślili oni, iż przez zryw 17 sierpnia 1919 r. ziemia ta i jej mieszkańcy wpisali się w dzieje bohaterskich walk roku 1831 i 1863. Opinię tę potwierdzili także zawodowi historycy, m.in. Zbigniew Kapała i Wiesław Lesiuk, którzy we wstępie do pracy pt. *Pamięć o powstaniach śląskich czy i komu potrzebna?* prezentowali opinię, iż „powstania śląskie są [...] ważną częścią kampanii niepodległościowej w wymiarze ogólnonarodowym, a nie regionalnym. Dlatego też [...] są niewątpliwie częścią całego ciągu polskich powstań narodowyzwoleńczych od kościuszkowskiego do warszawskiego”¹⁰. Wydarzenia na Górnym Śląsku z lat 1919-1921 znalazły także bogate odzwierciedlenie w polskiej literaturze historycznej¹¹.

W szeregach armii powstańczej znalazło się około 60 tysięcy ochotników; jeszcze więcej ludzi angażowało się pośrednio na rzecz ruchu, wspomagając go lub uczestnicząc w życiu polskich organizacji i towarzystw narodowych. O sile tychże wojsk złożonych z 12 baterii, 2 szwadronów ułanów, 16 pociągów pancernych, kilkunastu samochodów pancernych i 16 pułków piechoty (każdy po 3-4 baonów) rozdzielonych między 3 grupy operacyjne decydowała m.in. kadra dowódcza licząca w czerwcu 1921 roku 1347 oficerów i p.o. oficerów oraz 6943 podoficerów. Jednak początkowo według obliczeń Stanisława Rostworowskiego na tę liczbę żołnierzy przypadało zaledwie 3 podpułkowników, 1 major Sztabu Generalnego, 14 kapitanów, 8-10 poruczników, razem około 30 oficerów bez przedwojennego przygotowania zawodowego. Dla porównania strona niemiecka już w pierwszych dniach trzeciego powstania wystawiła do walki kilkuset oficerów, a liczba ich stale rosła osiągając stan około 1000. W tym było 3 generałów, kilkunastu zawodowych pułkowników i podpułkowników oraz kilku starszych oficerów sztabu generalnego¹². Powstały nawet specjalne kompanie oficerskie. Tej sile przeciwstawiła się armia złożona z śląskich robotników¹³, której kadra dowódcza po awansach powstańczych składała się z 10 podpułkowników (w tym po dwóch oficerów kolejnictwa i korpusu sądowego, dwóch majorów Sztabu Generalnego), około 10 majorów, 2 kapitanów Sztabu Generalnego, około 30 kapitanów i rotmistrzów oraz około 150 poruczników, podporuczników i chorążych, poza tym dwudziestu kilku kadetów.

Mimo dysproporcji sił trzecie powstanie śląskie zakończyło się sukcesem, którego wyrazem był w 1922 roku powrót części Górnego Śląska do Macierzy. Jego uczestnicy identyfikowali się z bohaterami narodowymi, którzy wyrażali przywiązanie do takich wartości jak wolność, równość i poszanowanie języka i wiary ojców. Tak swoje posłannictwo dziejowe pojmował Tadeusz Kościuszko i przywódcy zrywu niepodległościowego 1863 roku. Nieprzypadkowo dla upamiętnienia działalności Straży Obywatelskiej i pierwszego powstania śląskiego wybito odznakę z podobizną Tadeusza Kościuszki, na której obok napisu „Kościuszko-Powst[anie 1919]” i wizerunku Naczelnika widniały złożone na krzyż kosa i pałasz. Na kosie napis: „S[traż] O[bywatelska] 1920 – P[owstanie] 3 V 1921”. Cenioną też przez uczestników powstań odznaką był Krzyż POW z inicjałami J[ózefa] P[iłsudskiego]”, który wzorował się na osobie Kościuszki. Tych, którzy znacznie wcześniej zaangażowali się w polskie walki niepodległościowe, uhonorowano medalem „Legionistom Ślązakom”. Na jego awersie wybito podobizny żołnierzy w rogatywkach maszerujących w kierunku wschodnim. Nad nimi wisiał ukoronowany Orzeł Biały. Dookoła wygrawerowano przedzielony pięciolistną gałązką napis: *Legionistom Ślązakom Poległym za Ojczyznę*. Rewers zdobiły postacie legionistów rzymskich i data MCMXIV-MCMXVIII, podkreślona stylizowanym wizerunkiem łuku.

W czasie reorganizacji oddziałów w trzecim powstaniu śląskim pułki otrzymały następujące nazwy: pułk 7. Stefana Batorego, pułk 6. Stefana Czarnieckiego, pułk 5. Stanisława Żółkiewskiego, pułk 4. Czwartaków (bohaterów powstania 1830/1831), pułk 3. gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, pułk 1 Józefa Piłsudskiego, natomiast grupa Pawła Cymśa, z której utworzono pułk 2., za patrona obrała Tadeusza Kościuszkę. Podobizna Kościuszki znalazła się także na proporcach powstańczych; zdobiła m.in. sztandar Związku Powstańców Śląskich 16. Pułku piechoty (złożonego z mieszkańców powiatu kozielskiego), Narodowego Związku Powstańców i Byłych Żołnierzy w Wełnowcu i Grupy ZPŚl. Michałkowice. Założona w lutym 1918 roku w Siemianowicach młodzieżowa drużyna skautowa od 4 kwietnia 1920 roku przyjęła za swego patrona Tadeusza Kościuszkę. Warto również wspomnieć również o Drużynach Bartoszewych, grupujących młodzież akademicką Krakowa; studenci nie szczędzili krwi, uczestnicząc w walce zbrojnej o polskość Śląska. W trzecim powstaniu wyróżniły się załogi pociągów pancernych „Piłsudczyk”, „Korfanty”, „Paderewski” i – noszący imię naczelnika – „Tadek Ślązak”.

Postać Kościuszki była eksponowana także przez polską propagandę plebiscytową. W 1921 roku ukazał się *Kalendarz Górnośląski*, na którego barwnej okładce zamieszczono wizerunki Bartosza, Kościuszki i Kilińskiego. Rok wcześniej kolportowano plakat *Trzeci Maj 1920 rok* drukowany przez

M. Kwiatkowskiego w Gliwicach. Widniała na nim i przyciągała wzrok przechodniów podobizna Kościuszki i towarzyszącej mu grupy w śląskich strojach ludowych. Plakat ten powtarzał skojarzenie osoby Kościuszki z Konstytucją 3 maja. Komitet Plebiscytowy w Pszczynie rozpowszechniał m.in. ulotkę *Do Komitetów Plebiscytowych, do Komitetów Czytelni Ludowych i wszystkich polskich towarzystw w sprawie obchodu 3 maja*. Z kolei M. Kwiatkowski wydrukował dla „Sztandaru Polskiego” plakat-odezwę: *Trzeci Maj! Hej ludu polski, od Ciebie zależy Ojczyzny dziś naszej przyszłość i chwala*.

Również towarzystwa śpiewacze kultywowały pamięć o polskim bohaterze. 10 X 1920 roku na I Zjeździe Chórów Okręgu Katowickiego w Dębie pod Katowicami, chór „Ogniwo” wykonał pod batutą Teodora Lewandowskiego *Pogrzeb Kościuszki* J. Surzyńskiego.

W większości publikacji propagandowych Kościuszko przedstawiany był jako bohater ogólnonarodowy, łączący w sobie cechy dobrego Polaka i katolika. Podkreślano, że stał się przywódcą narodu nie dzięki pochodzeniu, lecz dzięki zasługom i cnotom osobistym. Przypisywano mu takie cechy, jak łagodność, skromność i prostotę, nie zapominając równocześnie o odwadze i rycerskiej prawości. Sławiono też jego szlachetność i godną naśladowania bezinteresowność. Był przedstawiany jako uosobienie demokratycznych ideałów wolności i obywatelstwa stanu chłopskiego. Obraz Kościuszki i jego kosynierów stawał się symbolem jedności narodu i wyrazem jego wyidealizowanej tradycji.

Starano się zjednać innowierców dla idei połączenia Śląska z Polską propagując, obok tolerancyjnego Naczelnika w sukmanie, osobę Naczelnika w maciejówce. Redagowane przez pastora Karola Banzsela „Nowiny Ewangelickie” (15 I 1921), składane czcionkami gotyckimi i łacińskimi, drukowane w oficynie „Kreutzburger Zeitung”, w artykule Plebiscyt radziły czytelnikom głosować za Polską bez obaw, gdyż „pogłoski o religijnym ucisku są czczym kłamstwem”. Autor podkreślał, iż sam Naczelnik Józef Piłsudski był wyznania protestanckiego, a w jego otoczeniu pojawiali się ewangelicy: generał Leonard Skierski czy przewodniczący Rady Wojennej i wiceminister Spraw Wojskowych generał Eugeniusz Michaelis de Henning. „Nowiny Ewangelickie” nawoływały swoich czytelników do oddania swoich głosów za Polską, aby nie stali się zdrajcami w opinii 86% katolików, których utożsamiano z polską narodowością wiążącą się nierozłącznie z kultem Kościuszki. Tak więc w polskiej propagandzie plebiscytowej Piłsudski-ewangelik stał się dopełnieniem stereotypu Kościuszko-katolik.

Istotną rolę odegrało także uroczyste obchodzone w 1919 roku w Krakowie „Święto zjednoczenia armii polskiej”, w którym uczestniczyli także Ślązacy-powstańcy. Relacjonujący wydarzenie „Powstaniec” dał wyraz zdumiewającemu



Defilada w Krakowie – 1919 r.

pędowi do przedstawiania historii za pomocą symboli, podkreślając ciągłość czynu zbrojnego od Kościuszki do Piłsudskiego. Naczelnik Piłsudski pojawia się dokładnie w tych samych miejscach, w których w 1794 roku był Kościuszko, ogłaszając ważne dla narodu akty, w miejscach będących dla Górnoszlązaków, pielgrzymujących do Krakowa, niemalże obiektami kultowymi. Wzruszali się oni nie tylko słowami hymnu narodowego, ale także podniosłym nastrojem chwili, w której Naczelnik Piłsudski wraz ze świtą zszedł do podziemi Wawelu, do grobów królewskich, by złożyć na sarkofagu Kościuszki wieniec z białych kwiatów. Na szarfię widniał napis: „Naczelnikowi Kościuszcze – Józef Piłsudski”. Korespondent „Powstańca” pisał: „Ważna historyczna chwila, bo pomyślcie tylko: pierwszy raz polski żołnierz z Górnego Śląska złączył się z armią polską i pierwszy raz jako część tej armii przedstawił się Najwyższej Władzy polskiej. A przedstawienie to odbyło się w nie lada ważnym miejscu, bo tam gdzie Kościuszko przed 125 laty przysięgał Narodowi, iż prędzej nie spocznie, aż „wypędzi z Polski trzech mocarzy”. Tuż bowiem koło kamienia przysięgi Kościuszki, na którym złożono zieleń i kwiaty, ustawiono trybunę, na której stał naczelnik Piłsudski i generalicja, dokonując przeglądu defilujących wojsk”¹⁴.

Słowa przypisywane Kościuszcze i Piłsudskiemu o wypędzeniu „trzech mocarzy” miały w 1919 roku inne znaczenie dla Ślązaków, których „mała ojczyzna” w dalszym ciągu była częścią państwa niemieckiego. Defilowali oni przed J. Piłsudskim, spontanicznie manifestując ciągłość wydarzeń historycznych,

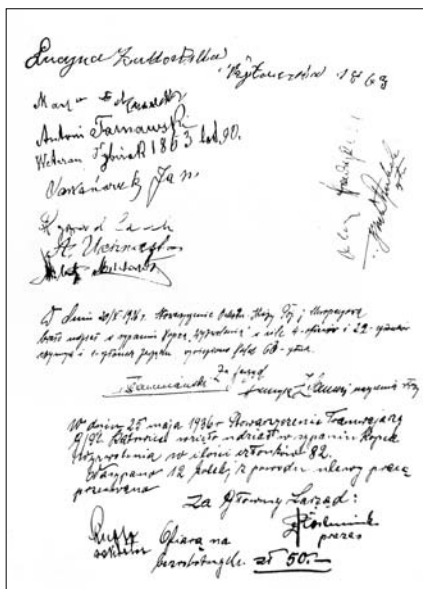
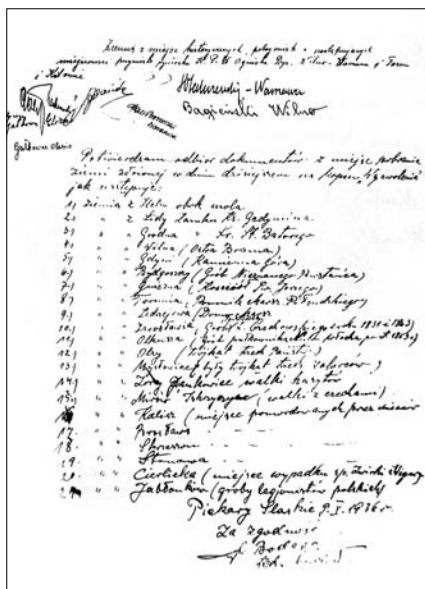


Eugeniusz Kwiatkowski i bp polowy Józef Gawlina w czasie uroczystości patriotycznych na Kopcu Wyzolenia

w których przejawiała się polska tradycja. Nie ulega wątpliwości, że ducha narodu objawiali wówczas i powstańcy, i krakowska ulica. „Gdy pokazali się Ślązacy cieszyńscy i nasi – donosił „Powstaniec” – liczna publiczność przywitała ich burzą oklasków i okrzykami „Cześć!” – „niech żyje!” Naczelnik też prócz salutowania witał ich z radosnym uśmiechem. A z oczu naszych zuchów aż się skrzyło, jakby tym spojrzeniem rzec chcieli: „Naczelniku, wezwij a dziś jeszcze połączmy Górny Śląsk z Polską, po co czekać plebiscytu, kiedy tam wszystko polskie i do Polski tęskni!”¹⁵”



Budowa Kopca Wyzolenia
w Piekarach Śląskich



Fragmenty księgi pamiątkowej upamiętniającej sypanie Kopca Wyzwolenia. Po prawej – wpisy weteranów z 1863 r.

Mieszkańcy Śląska, „krajny czarnych diamentów”, czerpali już wówczas siłę ze świadomości, że należą do grupy etnicznej o wielkich, historycznych tradycjach i mogą się identyfikować także z polską mitologią narodową, której częścią był przywódca powstania 1794 roku..

Wawrzyniec Hajda, nazywany „Śląskim Wernyhora”, witał w Tarnowskich Górach gen. Stanisława Szeptyckiego, dowódcę Wojska Polskiego wkraczającego w czerwcu 1922 roku na Górny Śląsk. W ten sposób żyściły się jego prorocтва, których siła potęgowała wiarę w odrodzenie Ojczyzny. Hajda przepowiadając zmartwychwstanie Polski często powoływał się na legendę Tadeusza Kościuszki; Górnoślązakom uświadamiał, iż są Polakami, a w jednym z wierszy pisał:

*Pan Bóg cię stworzył polskiej ziemi synem.
 Bądź więc Polakiem myślą, mową, czynem.
 Miłość Ojczyzny, pobożność oświata,
 Niech twoje życie w jeden węzeł splata.*

Gdy w latach 1932-1937 sypano w Piekarach Kopiec Wyzwolenia, upamiętniający śląskie powstania, pobrano ziemię m.in. z grobów powstańców Dionizego Czachowskiego i pułkownika Francesco Nullo oraz



Jan Brandys



Paweł Brandys



Karol Gajdzik



Stanisław Mastalerz



Powstaniec Piotr Duży

№ 22-
1921

№ 22-
апреля 1921г.

г.г. Остасzków

НАЧАЛЬНИКУ ОСТАШКОВСКОГО ЛАГЕРЯ ВОЗНЕСЕННИКОВ
МАЛОП. уо. ВОИЗВЕДНИ

Г.г. Остасzków.

С подчинением сего немедленно направьте в г.г. Ка-
линин в распоряжение Начальника УНКВД по Калининской
обл. нижеперечисленных военнопленных, содержащихся в Ост-
ашковском лагере:

1. ШАНЯ Тадеуша Грэмичиневича,	1916г.г.	Дело №- 4275
2. ЗИНСКОГО Явана Завенгевича,	1906 г.г.	" 1175
3. ШИМАШКОГО Петра Давидовича,	1905 г.г.	" 2411
4. ШИМОВИЧ Грэмичиневича Исаеовича,	1907 г.г.	" 1874
5. ВУДОУШКОГО Станислава Игнатьевича,	1896 г.г.	" 1475
6. ШИОНЕК Станислава Яновича,	1894 г.г.	" 3097
7. ШИОНЕК Станислава Яновича,	1894 г.г.	" 5937
8. ВУДИ Петра Язюковича,	1892 г.г.	" 1059
9. ШИОНЕКОВОГО Владислава Войцеховича,	1910 г.г.	" 2732
10. ШАНЯШКО Степана Язюковича,	1896 г.г.	" 2435
11. ШИОНКА Николая Адамовича,	1899 г.г.	" 1460
12. ШИОНЕК Ганя Антоновича,	1911 г.г.	" 1660
13. ШИОНКА Бронислава,	1897г.г.	" 1891
14. ШИОНКА Войцеха Яковлевича,	1890 г.г.	" 5188
15. ШТАЙНМАН Генрика Войцеховича,	1896 г.г.	" 3786

Lista ofiar z Ostaszkowa z nazwiskiem powstańca P. Dużego

grobów żołnierzy Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego w Jabłonkowie na Zaolziu. Były także urny z prochami z zamku Giedymina w Lidzie, Ostrej Bramy w Wilnie, zamku Stefana Batoryego w Grodnie, Grobu nieznanego powstańca w Bydgoszczy, Kamiennej Góry w Gdyni, i miejsca katastrofy lotniczej w Cierlicku, gdzie zginęli Żwirko i Wigura. Sprowadzono urny z ziemią z miejsc walk powstańców wielkopolskich, a także ważnych dla historii Śląska, a więc z Góry św. Anny i z Kędzierzyna, z Głogowa i Cedyni.

Podczas prac ziemnych kilka razy zjawił się Wojciech Korfanty, były komisarz Polskiego Komitetu Plebiscytowego i dyktator trzeciego powstania śląskiego oraz pisarz Gustaw Morcinek. Przyjeżdżali dowódcy pułków powstańczych: Jan Emil Stanek, mjr Jan Ludyga-Laskowski, płk Franciszek Sikorski, Walenty Fojkis, Czesław Paul, Paweł Cymś, Karol Gajdzik, Stanisław Mastalerz, Rudolf



Dokument nadania Medalu Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości dla powstańca P. Dużego

Niemczyk, Fryderyk Szendzielorz. Wśród pracujących wokół kopca widziano również powstańców wielkopolskich, mieszkańców z najdalszych krańców Polski, rodaków z Opolszczyzny, Francji, Belgii i USA. W pracach i uroczystościach uczestniczyli także ostatni żyjący weterani powstania styczniowego, którzy wpisali się do *Księgi pamiątkowej*. Udział bohaterów 1863 roku w realizacji wizji „Śląskiego Wernyhory” Wawrzyńca Hajdy (do którego myśli w 1930 r. nawiązał pomysłodawca budowy kopca Stanisław Mastalerz, sekretarz Związku Powstańców Śląskich) był gestem solidarności, a także wdzięczności za zaangażowanie Ślązaków na rzecz polskiego ruchu niepodległościowego w zaborze rosyjskim, ich czynnego udziału w walkach partyzanckich i przemyście broni z Prus do Królestwa Polskiego¹⁶. Wydarzenia te w latach 1863-1864 bardzo szczegółowo komentowała śląska prasa zamieszczając wieści nadchodzące z placu boju.

P R Z Y P I S Y :

1 Z. Janeczek: *Społeczno-patriotyczny wymiar nauczania kardynała Augusta Hlonda* [w:] *Ks. kardynał August Hlond – społeczny wymiar nauczania*. Praca zbiorowa pod redakcją ks. G. Poloka. Katowice 2006, s. 100-103, 132.

2 Dołączyli oni do licznej grupy Ślązaków legionistów ze Śląska Cieszyńskiego, których później w powstaniach śląskich reprezentował m.in. Tadeusz Michejda (1895-1955), urodzony w Olbrachcicach na Ziemi Cieszyńskiej. Walczył on w trzecim powstaniu górnośląskim i uczestniczył w akcji plebiscytowej. Był ponadto, jako architekt projektantem budynku Miejskiego Domu Ludowego w Chorzowie. Zob. Z. Janeczek: *Śląsk wobec polskich walk narodowowyzwoleńczych 1768-1918*. Katowice 2001, s. 278-281.

3 Józef Buła urodził się 3 II 1892 r. w Rydułtowach, pow. rybnicki, syn Karola i Zofii z domu Tomasek, brat konspiratorów i powstańców Jana i Wilhelma ps. Krol. Ukończył szkołę ludową. Członek „Eleusis”. Odbił służbę w armii Wilhelma II. Uczestniczył w pierwszej wojnie światowej w szeregach armii niemieckiej. Po jej zakończeniu wrócił na Górny Śląsk i wstąpił do Obrony Górnego Śląska. Nawiązał kontakt z Mikołajem Witczakiem, Janem Wyglendą i Ludwikiem Piechoczkiem. W pierwszym powstaniu komendant POW G.Śl. w pow. rybnickim, następnie szef Sztabu w Dowództwie Głównym POW G.Śl. 16 VIII 1919 r. aresztowany na dworcu w Pawłowicach został osadzony w obozie w Neuhammer (Świętoszowie), skąd uciekł i schronił się w Wielkopolsce. Uczestniczył w akcji plebiscytowej i trzecim powstaniu. W okresie międzywojennym osiadł w Rybniku i zajmował się handlem. Po kampanii wrześniowej aresztowany przez Niemców i zesłany do obozu Mauthausen-Gusen, gdzie w 1941 r. został zamordowany. Zob. Archiwum Państwowe

w Katowicach. Dokumenty Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. *Powstania Śląskie*. Mikrofilm FA 78-88. Numer zespołu 008. Sygn. 83, dawna sygn. D I T. I/6. *Spis emisariuszy*, k. 296; J. Mroźkiewicz: *Zapomniany życiorys śląskiego powstania Mikołaja Witczaka jr. „Wspomnienia” i „Przyczynki”*. Jastrzębie Zdrój 2006, s. 9, 21, 23, 24, 26, 82, 83, 90, 91, 169, 228, 231.

4 Archiwum Państwowe w Katowicach. Dokumenty Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. *Powstania Śląskie*. Mikrofilm FA 13. Nr Zespołu 008. Sygn.13 dawna C III T. III/24. *Karty personalne oficerów*, k. 28-29; tamże: Mikrofilm FA 78-88. Numer zespołu 008. Sygn. 83, dawna sygn. D I T. I/6. *Spis emisariuszy*, k. 296. Ludwik Piechoczek, ps. Dębiński, urodził się 10 IV 1889 w Jastrzębiu Górnym, pow. rybnicki, jako syn rolnika Jana i Jadwigi Piechoczków. Ukończył szkołę ludową i jako górnik pracował w kopalni w Chwałowicach. Działal w różnych polskich stowarzyszeniach kulturalno-oświatowych. Członek „Eleusis”. Utrzymywał bliski kontakt z Maksymilianem Basistą. W październiku 1911 r. został powołany na dwa lata służby w pruskiej jednostce gwardyjskiej, którą zakończył w 1913 r. W sierpniu 1914 r. został ponownie zaciągnięty do cesarskiej armii i walczył na zachodnim froncie, m.in. pod Namur (przy ujściu Sambry i Mozeli), Reims, nad Marną i nad Sommą. W listopadzie 1917 r. został ranny, a w 1918 r. zwolniony z pruskiego wojska. W trakcie służby odbył m.in. 6-tygodniowe szkolenie strzeleckie w Szpandawie. Po powrocie na Górny Śląsk włączył się czynnie w tworzenie struktur POW G. Śl. w powiecie rybnickim. Na zapytanie o stosunek do służby czynnej napisał: „Tak, aż do czasu, kiedy Śląsk przydzielony zostanie do Polski”. Awansował na dowódcę baonu w 2 Pułku Strzelców Rybnickich, a następnie na komendanta powiatowego POW G. Śl. Uchodził za zwolennika walki zbrojnej. Na naradzie komendantów powiatowych w Bytomiu 11 VIII 1919 r. opowiedział się za powstaniem zbrojnym. Dowodził akcją zbrojną w I i II powstaniu w powiecie rybnickim. Podczas kampanii plebiscytowej organizował polskie wiece. Ponadto pełnił obowiązki wiceprzewodniczącego Polskiego Komitetu Plebiscytowego w Rybniku. W okresie III powstania wszedł w skład dowództwa Grupy „Południe”. Wyróżnił się w bitwie pod Olzą (21-23 V 1921 r.). Współtwórca ZBP, a następnie ZPŚl. (prezes na pow. rybnicki. Założył rodzinę, posiadał troje dzieci. Po przewrocie majowym związał się z obozem J. Piłsudskiego. W 1934 r. wydał pracę: *Powiat rybnicki w czasie powstań śląskich*. W okresie II Rzeczypospolitej był posłem do Sejmu Śląskiego II i III kadencji i Sejmu RP, wybranym w 1936 r. Dnia 22 X 1940 r. aresztowany przez Niemców został osadzony w rybnickim więzieniu, skąd wywieziono go do obozu w Oświęcimiu, gdzie 7 I 1941 r. został zamordowany. Z żoną Jadwigą miał córkę Wandę. Był odznaczony: Krzyżem Virtuti Militari i Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi.

5 Maksymilian Iksal urodził się w 1895 r. w Turzy w powiecie rybnickim, w XII 1918 r. wstąpił do POW G.Śl.; dowódca 4 kompani w 2 Pułku Strzelców Rybnickich; w obozie uchodźców w Piotrowicach 14 VIII 1919 r. stanął na czele 5-osobowego komitetu, który wydał rozkaz komendantom organizacji wojskowej w powiecie rybnickim i pszczyńskim o podjęciu akcji zbrojnej z 16/17 VIII o 2 w nocy. Rozkaz o kryptonimie „Gwiazda” podpisali: M. Iksal i Franciszek Marszolik. Jako inicjator powstania na czele 40-osobowego oddziału uderzył na Gołkowice. Pod Godowem przekazał dowództwo Marszolikowi i udał się do Krakowa na spotkanie z gen. J. Hallerem. Przyjęli go również premier I. Paderewski i min. Spraw wojskowych gen. K. Sosnkowski w Warszawie. Jednak pomocy zbrojnej od polskiego rządu nie uzyskał.

6 Franciszek Marszolik, ps. Scholz urodził się 2 XII 1889 r. we wsi Biertułow, pow. rybnicki, jeden z organizatorów POW G.Śl. w ziemi rybnickiej. Należał do grona tych, którzy podjęli w Piotrowicach decyzję o wybuchu I powstania. Uczestnik bitwy pod Godowem. W trzecim powstaniu dowódca III batalionu 5 Pułku Piechoty (rybnickiego). Założył rodzinę, posiadał troje dzieci. Więzień obozu w Dachau. Zob. Archiwum Państwowe w Katowicach. Dokumenty Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. *Powstania śląskie*. Mikrofilm FA 78-88. Numer zespołu 008. Sygn. 83, dawna sygn. D I T. I/6. *Spis emisariuszy*, k. 296.

7 Jan Szepański z Wilchw, podczas pierwszej wojny światowej służył w armii niemieckiej w regimencie ułanów Hasse, był świadkiem rewolucji niemieckiej, sztab jego pułku mieścił się we Wodzisławiu; w pierwszej dekadzie listopada 1918 r. zaciągnął się pod wpływem agitacji M. Witczaka w szeregi Obrony Górnego Śląska, a następnie POW G.Śl.; na wstępie przekazał organizacji z magazynów pruskich regimentu Hasse 40 karabinów, skrzynie amunicji, granatów ręcznych, paczek petardowych, lontów i sponek, całość ładunku mieściła się na 3 furmankach. Szczepański miał opinię dzielnego powstańca, w bitwie pod Gorzycami w powiecie raciborskim, odniósł ciężką ranę.

8 Archiwum Państwowe w Katowicach. Dokumenty Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. *Powstania śląskie*. Mikrofilm FA 13. Nr Zespołu 008. Sygn.13 dawna C III T. III/24. *Karty personalne oficerów*, k. 62-63.

9 Augustyn Bielaczek urodził się w 1885 r. w Rydułowach w powiecie rybnickim; z zawodu górnik, podczas trzeciego powstania dowodził 1 baonem w pułku rybnickim; w okresie okupacji wiezień obozów hitlerowskich: Buchenwald, Dachau i Auschwitz, zmarł w 1957 r.

10 Z. Kapała, W. Lesiuk: *Słowo wstępne [w:] Pamięć o powstaniach śląskich czy i komu potrzebna?*. Praca zbiorowa pod red. Z. Kapały i W. Lesiuka. Bytom 2001, s. 5.

11 J. Przewłocki: *Historiografia polska o III powstaniu śląskim*. Śląski Kwartalnik Historyczny „Sobótka” 1972/1, s. 113-137; M. Wrzosek: *Aktualny stan wiedzy o powstaniach śląskich*. *Historiografia [w:] J. Ludyga-Laskowski: Zarys historii trzech powstań śląskich*. Warszawa-Wrocław 1973, s. 38-42. Zob. wykaz bibliografii załączonej do niniejszej publikacji.

12 M. Mielżyński: *Wspomnienia ...*, s. 50: „Dowódcami wszelkich organizacji bojowych niemieckich byli oficerowie armii czynnej, albo oficerowie rezerwy bojowo wyszkoleni. Rozkazy odbierali wprost z Berlina i byli w ścisłej łączności ze sztabem generalnym niemieckim”. Tamże: „Tężyzna prostego żołnierza, który w danych chwilach potrafił działać samorzutnie, odgrywała tym większą rolę w naszych oddziałach, że mieliśmy stosunkowo bardzo mało oficerów. Zaledwie jeden oficer na 400 ludzi. Podczas gdy u Niemców, oprócz gęsto obsadzonych stanowisk oficerskich, były całe kompanie składające się z oficerów i aspirantów z wyszkoleniem oficerskim”. Tamże, s. 109: „Po niemieckiej stronie [...] dowodzili generałowie, którzy podczas wojny światowej odgrywali poważną rolę, a na wyższych stanowiskach stali bez wyjątku oficerowie sztabowi, podczas gdy w wojskach powstańczych najwyższą szarżą był podpułkownik rezerwy”.

13 Stan ten budził wątpliwości, które znalazły odzwierciedlenie m.in. w broszurze autorstwa Alojzego Pronobisa *Geschichte des oberschlesischen Aufstandes und seine Resultate*. [bez roku. i miejsca wydania], s. 44-45: „Ich aber meine, dass zu diesem sogar etwas mehr gehört, als sogar nur ein einfacher Soldat gewesen zu sein. Man muss zumindest als Organisator die Kriegstheorie,

deren Geschichte, Heeresorganisationen verschiedener Völker und Epochen. Grundzüge der Strategie, resp. Taktik, die Kartographie, Waffengattungen, allgemeine Technik, Nachrichtenwesen und andere Zweige der Kriegswissenschaften kennen, kurz gesagt, man muss ein Stäbler sein. Polnische Leute, als Stabsoffiziere haben wir in Oberschlesien, besonders solche, die auch die politischen Momente der Zeit, resp. Des Augenblicks, zu erlassen im Stande wären, fast gar keine. Sogar polnisch fühlende gewöhnliche Offiziers hatten wir sehr wenige, höchstens etliche Reserveoffiziere oder solche mit notdürftigem Offizierskursus, und jedermann kennt doch aus eigener Kriegserfahrung deren >Fähigkeiten<”.

14 „Powstaniec” nr 8 z 23 X 1919.

15 Ibid.

16 Z. Janeczek: *Śląsk wobec polskich walk narodowowyzwoleńczych 1768-1918*. Katowice 2001, s. 122-152, 155-191, 426-470.

BITWA O GÓRĘ ŚW. ANNY

Zgodnie z przewidywaniami, Niemcy szybko otrząsnęli się z szoku, jakim były sukcesy powstańców odniesione w pierwszej dekadzie maja 1921 roku. Z różnych stron Niemiec ciągnęli na Górny Śląsk ochotnicy. Wielu z nich przybywało w zorganizowanych grupach, tworząc tzw. korpusy ochotnicze, czyli freikorpsy. Wśród nich do największych należały: bawarski freikorps „Oberland”, którym dowodził mjr Ernst Horadam, wschodniopruski freikorps „Roßbach”, którym dowodził kpt. Gerhard Roßbach, oraz saski freikorps Haßfurth Heinricha Bennecke. Szerokie rzesze ochotników ciągnęły na Górny Śląsk ze Śląska Dolnego. Z Brzegu przybył freikorps Petera von Heydebrecka, z Nysy ochotniczy batalion Heinza (Karla Hauensteina), a z Wrocławia oddział studentów von Eickena. 20 maja szef sztabu Grupy „Wschód” por. Michał Grażyński ps. „Borelowski” meldował NKWP:

Na szosie Krapkowice – Otmęt – Gogolin silny ruch oddziałów nieprzyjaciela. Zaważono większą ilość samochodów osobowych i pancernych. 2 pociągi pancerne przybyły na dworzec w Gogolinie. Na odcinku Zdzeszowic nieprzyjaciel otworzył silny ogień z broni maszynowej.

Tegoż dnia, 20 maja 1921 roku do Głogówka przybył gen. ppor. Karl Höfer, który tego dnia przejął dowodzenie nad oddziałami Selbstschutzu. Gen. Höfer wcześniej był dowódcą stacjonującej na Górnym Śląsku 117 dywizji piechoty Reichswehry, a po zakończeniu wojny był dowódcą Grenzschtzu. Dobrze więc znał specyfikę Górnego Śląska i był znakomicie przygotowany do przeprowadzenia operacji militarnej przeciwko powstańcom. Kilka dni później przybył do Głogówka mjr. Jacobsen, który 24 maja objął funkcję szefa jego sztabu.

Siły Selbstschutzu składały się w tym czasie z dwóch grup operacyjnych. Na południe od Krapkowic operowała grupa Süd, którą dowodził gen. ppor. Bernard Hülsen. Na północ od Krapkowic zajmowała pozycje grupa Nord, dowodzona najpierw przez kpt. von Arnima, a następnie przez ppłk Grütznerra. Zdaniem gen. Höfera, siły te liczyły łącznie 30 tys. ludzi, przy czym wedle większości polskich badaczy liczba ta jest zaniżona.



Widok na Górę Św. Anny

W nocy 20/21 maja Niemcy ruszyli do kontrofensywy. W ten oto sposób doszło do krwawej bitwy o Górę Św. Anny. Ze strony polskiej główny ciężar walk dźwigała w niej na swoich barkach 1 dywizja górnośląska, która to podlegała dowództwu Grupy „Wschód”, a także Podgrupa „Bogdan”, wchodząca w skład Grupy „Północ”.

W skład 1 dywizji górnośląskiej wchodziły: dowództwo dywizji z centralą łączności i kompanią łączności oraz trzy pułki – 1 pułk piechoty Walentego Fojkisa, 2 pułk piechoty Pawła Cymśa oraz 8 pułk piechoty Franciszka Rataja, a także: kompania lotna, pociąg pancerny i bateria artylerii. Front 1 dywizji Wojsk Powstańczych miał długość ponad 30 kilometrów i ciągnął się wzdłuż Odry (od Starego Koźła po Obrowiec), po czym zwracał się w kierunku północno-wschodnim, gdzie dochodził do Kamionka. Odcinki odrzańskie – od Starego Koźła po Januszkowice (włącznie) obsadzał pułk zabrzański kpt. Pawła Cymśa, zaś odcinek od Wielmierzowic (włącznie) po Łęg zajmował katowicki pułk por. Walentego Fojkisa. O walorach militarnych Odry Roman Umiasztowski w swej pracy „Geografja wojenna Rzeczypospolitej Polskiej i ziem ościennych” napisał:

Łożyisko Odry, pierwotnie bardzo kręte, zostało skrócone przekopami. Począwszy od Koźła (Cosel) wdół jest ono w wielu miejscach jednostronnie lub dwustronnie obwałowane. Szerokość rzeki wynosi 35-50 m, przy głębokości 1,5-2 m.

Rubież zajmowana przez pułki Cymsa i Fojkisa należała więc do trudnych do przełamania. W gorszym położeniu był pszczyński pułk kpt. Franciszka Rataja, który zajmował pozycje na prawym skrzydle 1 dywizji górnośląskiej i który organizował obronę na odcinku od rejonu na południe od szosy Strzelce Opolskie – Gogolin po rejon na południe od Kamionka. W przeciwieństwie do pułków Cymsa i Fojkisa, nie chroniły go żadne liczące się przeszkody terenowe. Na prawo od pułku Rataja obronę organizowały bataliony podgrupy „Bogdan” Grupy „Północ”.

W tym miejscu warto kilka słów poświęcić Górze Św. Anny, która górowała nad okolicą, dając temu, kto ma ją w swoim posiadaniu, wgląd w pozycje przeciwnika. Rejon Góry Św. Anny wyróżnia się w skali całej Wyżyny Śląskiej swymi wyniesieniami i bogatym urzeźbieniem terenu. Kulminacyjnym wyniesieniem jest właśnie Góra Św. Anny o wysokości 404 m n.p.m., inne wyniesienia to: Kamienna Góra (326 m n.p.m.), Biesiec (350 m n.p.m.), Wysocki Las (385 m n.p.m.), Poręba (302 m n.p.m.), Stoki (308 m n.p.m.). Na bogatą rzeźbę terenu składają się: liczne suche doliny, wąskie wąwozy, zalesione pagórki, wydmy piaszczyste, leje i misy krasowe oraz wywierzyska skalne. Ewentualne zdobycie Góry Św. Anny otwierało Niemcom drogę na Kędzierzyn, o którym to kpt. Adam Benisz pisał:

Kędzierzyn, położony w dolinie kłodnickiej, otoczony z trzech stron rozciągającymi się na przestrzeni kilkuset morgów lasami Hohenlohego i kozielskim, posiadał największy na Górnym Śląsku dworzec towarowy i osobowy, z którego prowadziły linie w kierunku Opola, Gliwic i Raciborza. Na północny wschód od Kędzierzyna znajduje się nad Odrą Przystań Kozielska z dworcem towarowym, oddzielona od dworca kędzierzyńskiego długim około 4 km Kanałem Kłodnickim. Kanał ten łączy Przystań Kozielską z okręgiem przemysłowym. Zarówno Przystań, jak i dworzec kędzierzyński, miały ze względów gospodarczych i strategicznych duże znaczenie: Kędzierzyn jako węzłowy punkt kolejowy, umożliwiający szybkie przerzucanie formacji bojowych na front, Przystań Kozielska zaś ze względu na olbrzymie zapasy żywności, jakie złożone były w porcie i na statkach oraz ze względu na możliwość wykorzystania dróg wodnych dla celów wojskowych.

Ale nie koniec na tym. Ewentualne powodzenie niemieckiego natarcia na Kędzierzyn groziło zrolowaniem polskiej obrony na linii Odry, a w konsekwencji – doprowadziłoby do powstania w polskich liniach obronnych szerokiej wyrwy, przez którą formacje niemieckie bez problemu wlałyby się do Okręgu Przemysłowego, gdzie połączyłyby się z pochowanymi w cernowanych przez

powstańców miastach oddziałami Selbstschutzu. Adam Benisz wspomniał tu o Kanale Kłodnickim. Cytowany przed momentem Roman Umiastowski napisał był o nim:

Kanał Kłodnicki łączący Odrę z Królewską Hutą, wobec niewielkich wymiarów posiada nikłą wartość gospodarczą. Szerokość jego w zwierciadle wody wynosi 10 m, gdzieniegdzie 12-14 m, przy normalnej głębokości 1,5-2 m. Dozwala na ruch statków o ładowności do 180 ton.

Wspomniałem tu o tym, gdyż kanał ten odegrać miał w przyszłości istotną rolę w działaniach 4 pułku piechoty im. „Czwartaków”, jako jego kolejna rubież obrony. Ale nie uprzedzajmy wypadków... Cel niemieckiej ofensywy był więc jasny. I jak już to zostało powiedziane, skoncentrowawszy odpowiednie siły, w nocy 20/21 maja 1921 roku przystąpili Niemcy do kontrofensywy. Niemieckie natarcie rozpoczęło się w nocy, o godz. 2.30.

Do przeprowadzenia operacji przełamującej Niemcy wydzielili z grupy Süd związek taktyczny krapkowicki. Dowództwo nad nim objął osobiście gen. Hülsen. W jego skład wchodziły dwie grupy uderzeniowe.

Na lewym skrzydle natarcie prowadzić miała bawarska grupa „Oberland”, w składzie trzech batalionów piechoty oraz pododdziałów wzmocnienia i zabezpieczenia bojowego. Dowodził nią mjr Horadam. Od północy wspierały ją freikorpsy, którymi dowodzili por. hr. Strahwitz, chor. Haustein i von Holz, a także batalion „Gogolin” por. von Frobla, operujące na prawym skrzydle grupy Nord. Zadaniem grupy lewoskrzydłowej było przełamanie obrony powstańczej w rejonie na północ od Gogolina i wyprowadzenie natarcia w kierunku wschodnim celem oskrzydlenia sił powstańczych broniących się na północny-zachód od Góry Św. Anny.

Na prawym skrzydle krapkowickiego związku taktycznego natarcie prowadzić miała grupa dowodzona przez majora von Chappuisa, w skład której wchodziły również trzy bataliony. Miała ona przełamać obronę powstańców trzymających pozycje w rejonie na południe od Gogolina i rozwijać natarcie w pasie: Obrowiec, Strzebniów, Kępna, Jasiona, Zdieszowice, Leśnica z zadaniem oskrzydlenia od południa sił powstańczych broniących się na południowo-zachodnim przedpolu Góry Św. Anny. Odwód grupy stanowiły batalion rtm. Watzdorfa z pułku Gilgenheima oraz oddziały wydzielone von Rotzkircha-Wildegó oraz von Eickena.

Celem natarcia obu grup było okrążenie, a następnie zniszczenie sił powstańczych skupionych w rejonie Góry Św. Anny. To z kolei miało doprowadzić do utworzenia oddziałom Selbstschutzu drogi do Gliwic, gdzie miały one

połączyć się z cernowanymi tam oddziałami niemieckimi. Działania te miały wspierać natarcia prowadzone od północy – z Olesna na Lubliniec i z Zębowic na Kolonowskie oraz od południa – z rejonów Landzmierza, Bukowa i Zabełkowa. Miało to doprowadzić do trwałego rozcięcia sił powstańczych broniących się na szerokim froncie, ich okrążenia i zniszczenia. Po zrealizowaniu tych zadań połączone siły niemieckie miały wkroczyć do okręgu przemysłowego, by ostatecznie zdławić powstanie.

Jak już pisałem, front powstańczy na odcinku od Starego Koźła po szosę Strzelce Opolskie – Gogolin trzymała, podległa dowództwu Grupy „Wschód”, 1 dywizja górnośląska, którą dowodził mjr. Jan Ludyga-Laskowski. Na prawo od niej zajmowały pozycje pododdziały Grupy „Północ” (podgrupa „Bogdan”). Trzon 1 dywizji górnośląskiej stanowiły trzy pułki piechoty:

- odcinek od Starego Koźła po Januszkowice obsadzał 2 pułk piechoty, którym dowodził kpt. Paweł Cymś, i który – według raportu dowództwa Grupy Środkowej z dnia 15 maja 1921 roku – liczyć miał 1510 ludzi;

- odcinek od Januszkowic po Łęg trzymał 1 pułk piechoty, dowodzony przez por. Walentego Fojkisa, który – według przywołanego raportu z 15 maja – liczył 1860 ludzi;

- odcinek od Łęg po szosę Strzelce Opolskie – Gogolin obsadzał 8 pułk piechoty, którym dowodził kpt. Franciszek Rataj, liczący 15 maja 1921 roku 1200 ludzi.

Były to stany o ok. 20-25% niższe w stosunku do stanów z końca pierwszej dekady maja. Wielu żołnierzy bowiem, korzystając z zastoju w działaniach wojennych, wzięło urlop i udało się do rodzinnych domów. Diametralnie inaczej wyglądało to po stronie niemieckiej, gdzie wojsk stale przybywało. W takim to położeniu zastała oddziały powstańcze ofensywa Selbstschutzu. Dowódca 1 dywizji górnośląskiej, mjr Jan Ludyga-Laskowski w taki oto sposób opisuje ostatnie dwa dni poprzedzające niemieckie natarcie:

Dzień 19 i 20 maja przeszedł na wytężonej pracy fortyfikowania wyznaczonych punktów obronnych na odcinku dywizji. Pułki 2 i 8 zajęły stanowiska w myśl rozkazu operacyjnego nr 2, o czym powiadomiły dowództwo dywizji. Natomiast 1 pułk zaskoczony został atakiem niemieckim podczas wykonywania ruchów przegrupowania. Adiutant 1 pułku przesłał telegraficzny meldunek do dywizji, donosząc, iż z powodu przemęczenia ludzi przegrupowanie nie będzie ukończone w dniu 20 maja.

Wieczorem 20 maja do sztabu 1 pułku powstańczego, którym to dowodził por. Walenty Fojkis, docierać poczęły sygnały o wzmożonym ruchu wojsk

niemieckich, wskazujące, że natarcie może rozpocząć się lada moment. Zastępca Walentego Fojkisa, Romuald Pitera, w swej autobiograficznej powieści „Gniew” pisze:

Jedno było dla nas jasne. Niemcy ładują się na barki i uderzą lada chwila.

— *Łączcie mnie z dywizją — kazał Fojkis. Połączenie było już przerwane.*

— *Goniec na motocykl.*

— *Dopisz: co z Górą Świętej Anny? — rzuciłem mu przez ramię wybiegając z po-koju. Usłyszałem jakąś awanturę przed budynkiem. Goniec z 4 batalionu kłócił się z wartownikiem — zapomniał hasła.*

— *Co się dzieje?*

— *Pilny meldunek od pana baonowego Woźniaka. Zmarła mu muterka.*

— *Gdzie baonowy?*

— *Pojechał fort.*

Zawróciłem w te pędy do Fojkisa z wiadomością, która nie należała do dobrych. Trzeba było natychmiast mianować zastępcę. Wybór padł na Kawę. Tymczasem gońcy wpadali jeden za drugim. Watoła meldował, że Niemcy przeprowadzają się na wysokości Łęgu, Lortz podawał, iż w lesie schodzącym do brzegów Odry, leżącym na wprost Wielmierzowic, obserwuje przesuwanie się sił nieprzyjacielskich, które ocenia na jeden batalion. Kurier od dowódcy 8 pułku, kpt. Rataja, przywiózł odręczne pismo ze szkicem sytuacyjnym, z którego wynikało, że na kierunku Zakrzowa przesuwały się dwa bataliony nieprzyjacielskiej piechoty. Przewidywał, iż Niemcy uderzą na jego odcinku około godziny 5. Prosił o zwrócenie uwagi na styk jego pułku z naszym. Przesłaliśmy wszystkie otrzymane meldunki do dywizji. Wi- dać tam również uważano tworzącą się sytuację za zapowiedź generalnej ofen- sywy niemieckiej. Do Zalesia została skierowana pół-bateria połówek i oddział Oszka. Zabezpieczano drugą linię — bramę do okręgu przemysłowego.

Nie udało się precyzyjnie określić godziny, w której wyszło niemieckie natarcie – źródła nie są w tym względzie ze sobą zgodne. Jedno jest pewne – było to już po północy 20/21 maja 1921 roku. Mjr Jan Ludyga-Laskowski pisze:

O godz. 12.30 w nocy z dnia 20 na 21 maja rozpoczęli Niemcy bombardowanie z dział artylerii tudzież minomiotaczy stanowisk 8 pułku. Po zniszczeniu przed- nich placówek przystąpili natychmiast do ataku frontu powstańczego, przenosząc równocześnie ogień artylerii na ważniejsze punkty strategiczne położone poza linią frontu. Wywiązała się ciężka walka, gdyż powstańcy bronili się bohatersko. Baon Szendery z 8 pułku, który miał dwie kompanie w Zakrzowie, tudzież baon Kurtoka, również z 8 pułku, zdziesiątkowane. Nieprzyjaciel, napotykał silny

opór na odcinku Dąbrówka - Zakrzów, uderzył na pozycje I baonu 1 pułku, zajmującego pozycję na zachód od Krempej, forsując Odrę na północ od Zdieszowic. Do ataku tego nieprzyjaciel użył podstępu, wysyłając kobiety z chorągwiami białymi przez most. Tuż za nimi posuwały się oddziały Selbstschutzu. Wywiązała się zacięta walka między I baonem a oddziałami nieprzyjacielskimi na odcinku Krempe – Rozwadze – Obrowiec. Baon I poniósł dotkliwe straty, gdyż dwie kompanie zostały przez nieprzyjaciela osaczone, a następnie wymordowane. Walka w okolicy Obrowiec – Krempe trwała do godziny 9. Mniej więcej o tym samym czasie nieprzyjaciel uderzył ponownie na stanowiska 8 pułku pod Jesioną – Zakrzów. Podczas tych walk baon Szendery znalazł się w pewnym momencie w bardzo przykrym położeniu. Zauważyła to załoga wzgórza 310 i wbrew rozkazowi opuściła swoje stanowiska i samorzutnie pośpieszyła z pomocą zagrożonym oddziałom baonu Szendery. Była to lekkomyślność, brzemienne w fatalne następstwa. Oddział dostał się w krzyżowy ogień niemieckich karabinów maszynowych i został zupełnie rozbity. Tym samym znalazło się wzgórze 310 bez obrońców. Dlatego też nieprzyjacielowi udało się zając prawie bez walki pozycje 310, która jest kluczem do posiadania Góry Św. Anny. Zdając sobie sprawę z poważnej sytuacji, jaka się wytworzyła po zajęciu przez Niemców wzgórza 310, dowództwo dywizji chciało użyć do kontrataku na to wzgórze część załogi baonu 1 pułku, który w myśl rozkazu operacyjnego dywizji z dnia 18 maja znajdować się był powinien na Górze Św. Anny. Niestety, 1 pułk, z powodu nieukończenia ruchów dyslokacyjnych w myśl rozkazu operacyjnego nr 2, Góry Św. Anny nie obsadził, przez co jej obrona stała się niemożliwą.

Co gorsza – dywersanci niemieccy zdołali poprzecinać kable telefoniczne, skutkiem czego poszczególne pułki nie miały łączności ze sztabem dywizji. W tej sytuacji można było polegać wyłącznie na gońcach. Major Ludyga-Laskowski pisze:

21 maja o godz. 6 [dotarł] do dowództwa I dywizji meldunek o rozpoczętym ataku niemieckim. Dowódca dywizji przesłał niezwłocznie meldunek o rozpoczętym ataku niemieckim do grupy wschodniej. Dowództwo dywizji wysłało na odsiecz powstańców natychmiast pociąg pancerny, a od dowództwa grupy wschodniej żądało natychmiastowego przysłania przynajmniej jednego batalionu zapasowego do Sławięcic oraz odwrotnego przesłania granatów dla artylerii.

Pomimo bohaterskiej postawy powstańców, Niemcy posuwali się naprzód, jednak tempo natarcia nie było takie, jak tego oczekiwał gen. Höfer. Romuald Pitera wspomina:



Siemianowiccy powstańcy na zbiórce przed wybuchem III Powstania

O godzinie 2.30 Niemcy rozpoczęli bitwę ogniem artylerii. Pierwsze pociski padły w rejonie Zakrzowa i Łęgu. Zostały więc zaatakowane oddziały naszego i 8 pułku. Ten ostatni o wiele gwałtowniej. O godzinie trzeciej ruszyła piechota. Pojechałem do 3 baonu. Ciężkie karabiny maszynowe Watoły grały bez ustanku. Mimo ciemnego poranku i ciągnącej znad Odry mgły widać było wyraźnie linię nacierającej piechoty. W kierunku na Łęg posuwały się trzy kompanie: schodami w lewo. Ciężkie moździerze niemieckie macały stanowiska 3 baonu, usiłując odnaleźć gniazda karabinów maszynowych. Czołowa kompania nieprzyjacielska podniosła się do ataku. Odezwały się lekkie karabiny maszynowe i ręczne. Niemcy przypadli do ziemi. Po linii były pociski naszych granatników. Z kolei weszła do akcji następna kompania niemiecka. Cały odcinek tętnił ogniem. Ogień artylerii ucichł. Zbyt mała była odległość między liniami. Wreszcie Niemcy rzucili trzecią kompanię.

— Teraz ich pokropcie moździerzami — odezwał się Watoła.

Zaraz po pierwszej salwie z czołowej kompanii niemieckiej poderwali się w pierw pojeдинczy żołnierze, a po nich grupki — po dwóch, po kilku — aż w końcu cała kompania zaczęła wycofywać się.

— Kontratakować?

— Siedź cicho. Będzie jeszcze okazja. Popatrz — pokazałem Watole wycofujących się powstańców z lasu leżącego na południe od Obrowca i Żyrowej.

— To 8 pułk?

Podjechałem na rowerze do grupki ludzi, prowadzących rannego.

— Skąd?

— Od Zakrzowa. Tam już są Niemcy.

— Nie wiecie, kto was zaatakował?

— „Oberland”.

— W takim razie na nas idzie „Chappuis” — odezwał się Watoła.

— Wszystko według planu. Trzym się.

W dowództwie zastałem meldunek od Lortza. Niemcy uderzyli na styk naszego I batalionu i 2 pułku Cymsa, między Wielmierzowicami i Januszkowicami. Natarcie załamało się w ogniu karabinów maszynowych. Omówiliśmy z Fojkiszem położenie. Według naszych przypuszczeń główne siły nieprzyjacielskie były skierowane na 8 pułk. W zależności od powodzenia na tym odcinku następane uderzenie wyjdzie na nas.

— Bez wsparcia artylerii nie wytrzymaemy — rozważał głośno Fojkis.

— Jedź do dywizji.

Jeszcze Fojkis nie wyjechał daleko za Leśnicę, kiedy otrzymałem wiadomość z 8 pułku. Pułk po nieudanym kontrataku na Zakrzów wycofywał się na Żyrową, odsłaniając prawe skrzydło baonu Watoły. Kurier, który przywiózł meldunek, otoczony żołnierzami z 2 baonu, jeszcze nie ostygły po walce, opowiadał o jej przebiegu. Zakrzów przechodził kilka razy z rąk do rąk. Straty były duże. Po naszej stronie według jego relacji padło 60 zabitych i 100 zostało rannych. Straty niemieckie wynosiły: 150 zabitych i rannych.

W tym miejscu warto nieco więcej miejsca poświęcić sytuacji na odcinku bronionym przez 8 pułk piechoty. Położenie stało się tam krytyczne, gdy baterii armat „Ordon”, zajmującej pozycje w rejonie na północ od Żyrowej, po wystrzeleniu kilkuset pocisków zabrakło amunicji.

Bataliony grupy „Oberland” opanowały Dąbrówkę, Sprzęcice i Niwki, przez co zaczęły wychodzić na tyły pułku dowodzonego przez kpt. Rataja. Batalion ppor. Krukowskiego z tegoż pułku pod naporem Niemców opuścił Obrowiec i zaczął wycofywać się na południe. W krytycznym położeniu znalazł się batalion Kurtoka, który bronił się w rejonie pomiędzy Wygodą, Strzebniewem i Zakrzowem. Nad ranem Niemcy, wdarszy się klinem do Wygody, zaczęli wychodzić na jego tyły. Batalion zaczął odchodzić na południe, w tym jednak momencie do akcji został wprowadzony, pozostający dotąd w odwodzie, batalion Szendery, który odzyskał Zakrzów i zamknął na krótko powstały wyłom. Bataliony grupy „Oberland”, uporządkowawszy się, wznowiły natarcie, uderzając z impetem na batalion Szendery. W sukurs sąsiadowi pospieszył – wbrew rozkazowi – oddział broniący wzgórza 310 (w Oleszce), ważnego punktu taktycznego, broniącego dostępu od północy do Góry Św. Anny. Na skutek nie

trzeba było długo czekać. Niemcy opanowali wzgórze 310 i dotarli do Góry Św. Anny. Batalion Szendery znalazł się w okrążeniu, z którego wydostał się kosztem ogromnych strat – 60 zabitych i 94 rannych. Walki te tak oto opisuje Jan Ludyga-Laskowski:

W międzyczasie Niemcy przypuszczali raz po raz atak na Żyrowę – Oleszkę. Dla złamania oporu powstańców skierowali ogień artylerii i minomiotaczy na wymienione miejscowości. Aż do godziny 10.30 załoga Żyrowy – Oleszki wstrzymała pięć gwałtownych ataków niemieckich, które wszystkie załamały się w ogniu powstańców. Z powodu wzmagającego się ognia artylerii dowództwo 8 pułku zmuszone zostało do przeniesienia dotychczasowego swego miejsca postoju z Żyrowy do Leśnicy i od tej chwili przestała istnieć łączność telefoniczna 8 pułku z dowództwem I dywizji. O godzinie 11.15 Niemcy ponowili swoje dotychczasowe bezowocne ataki na pozycję Żyrowy – Oleszkę, która zaatakowana przez nieprzyjaciela z trzech stron, broniła się uparcie aż do godziny 12. Dziesięciokrotnie liczebniejsze oddziały nieprzyjacielskie zapanowały ostatecznie nad Żyrową i Oleszką, zmuszając powstańców do opuszczenia zajmowanych stanowisk i wycofania się w stronę Leśnicy.

Główny ciężar walk dźwigał odtąd na swoich barkach pułk Walentego Fojkisa. Romuald Pitera wspomina:

Koło godziny dziesiątej wyszło ponowne natarcie niemieckie na baon Watoły, który, mimo iż został wsparty dwoma kompaniami 2 baonu, cofał się na linię Zdieszowice – Rozwada.

— Siły nieprzyjaciela obliczam na dwa bataliony — meldował Watoła. W tym samym czasie 8 pułk został wyparty z Żyrowej. Jeden z jego oddziałów, dowodzony przez kpt. Kellera, cofając się ku południowi wpadł na tyły niemieckiego batalionu nacierającego na Watołę. Niemcy nie wytrzymali rozpaczliwego uderzenia Kellera, który sądził, że jest otoczony i z całą desperacją postanowił się przebić. Ta niespodziewana pomoc pozwoliła Watole na uporządkowanie oddziałów i oderwanie się od Niemców. Nowa linia obronna przebiegała teraz przez dworzec w Leśnicy i Solownię. 1 baon, który zepchnął nieprzyjaciela za Odrę, został przesunięty na północ od Wielmierzowic z zadaniem stworzenia drugiej linii obronnej i zamknięcia skrzydła 2 pułku, na co bardzo nalegał Cymś, przypuszczając, że Niemcy z kolei uderzą na niego.

Dodajmy, że w międzyczasie dowództwo 1 dywizji górnośląskiej skierowało na najbardziej zagrożone odcinki (Krępna, Żyrowa) posiadane odwody

– kompanie marynarzy kpt. Oszka i bosmana Walerusa, katowicki batalion Sitka oraz pociąg pancerny „Korfanty”. Jan Ludyga-Laskowski pisze:

Tymczasem nadszedł meldunek z I baonu 1 pułku o wzięciu Krempanej przez Niemców. Zarządzony został kontratak przez dwie kompanie III baonu oraz oddział marynarzy wraz z samochodem pancernym. O godzinie 11.15 zdobyli powstańcy Krempanę.

W zażartych bojach takie miejscowości jak Krępna, Żyrowa czy Rozwada po kilka razy przechodziły z rąk do rąk. Niejednokrotnie dochodziło przy tym do starć na broń białą. Romuald Pitera pisze:

Kiedy Fojkis wrócił z dywizji, sytuacja na odcinku 8 pułku przedstawiała się wręcz źle. W samej rzeczy 8 pułk nie był zdolny do zorganizowanej akcji. Dowództwo i część rozbitych oddziałów wycofało się na Górę Świętej Anny. Fojkis odebrał im zapasową amunicję, której brakowało 4 baonowi, i usiłował zmontować obronę góry. Poszczególne oddziały 8 pułku zorganizowały się w trzy gniazda oporu: Góra Świętej Anny, Koczorownia, Rozwada. Między tymi punktami przeciekały drobne grupki nieprzyjaciela w kierunku na górę. Posłałem Fojkisowi ostatnią naszą rezerwę: kompanię saperów z Wełnowca, dowodzoną przez kompanijnego Kowalskiego. Akurat Niemcy rozpoczęli ponowny ogień artylerii. Na wszystkich drogach i ścieżkach prowadzących do Leśnicy i na górę walczyły pomieszane ze sobą oddziały: resztki 8 pułku, cofające się kompanie 1 pułku, z 2 i 3 baonu, wreszcie oddziały niemieckie. Oddziały grupy „Oberland”, prące wprost na górę, zatrzymały się zdeorientowane sytuacją. To pozwoliło kpt. Ratajowi na wycofanie sporej części swoich ludzi. Obydwaj z Fojkiszem zdawali sobie sprawę, że Niemcy zdążają do zdobycia góry i do otoczenia nas przez zajęcie Lichyni i Januszkowic od północy. Dlatego też na rozkaz cofania się na Zalesie, otrzymany z dywizji drogą okrężną przez Kędzierzyn, odpowiedziałem ustnie kierowcy Wasilewskiemu, nie było bowiem już czasu na pisanie:

— *Na Zalesie cofa się 8 pułk. My zaginamy skrzydło na Cymśa.*

Była to ostatnia wiadomość, jaką dywizja otrzymała tego dnia o nas. Na stokach góry wciąż trwał młynek. Dwukrotnie Niemcy zajmowali stok północny i dwukrotnie musieli się wycofać, raz wyrzuceni przez 4 baon, to znowu przez kompanię Skrzypca tegoż baonu, która wróciła na linię.

Major Ludyga-Laskowski wspomina, że, wobec coraz groźniejszych meldunków z frontu udał się na zagrożony odcinek (pod Leśnicą), wysyłając równocześnie oficerów sztabu dywizji do Kędzierzyna, Zalesia i Ujazdu, celem

powstrzymania uciekających z frontu powstańców i przeprowadzenia natychmiastowej reorganizacji rozbitych jednostek bojowych. Z sytuacji, jaką dowódca dywizji zastał na froncie, wynikało, że o obronie Góry Św. Anny przez 1 pułk mowy być nie mogło. Resztki 8 pułku w tym czasie trzymały się kurczowo zachodnio-północnego podnóża Góry Św. Anny.

Niemcy tymczasem parli dalej naprzód. Wyczerpane ciężkimi walkami bataliony 1 i 8 pułku piechoty wycofały się na rubież Wielmierzowice, Kraszowa, Zalesie, Popice. Góra Św. Anny została w ten sposób opuszczona przez Polaków. Romuald Pitera wspomina:

Ostatecznie o godzinie 14 grupa „Oberland” zajęła Górę Świętej Anny. Jej obrońcy z Fojkiszem wycofali się na Zalesie, a stamtąd do Sławięcic. Natomiast na nas uderzyły z podwojoną zaciętością oddziały grupy „Chappuis”. Cofaliśmy się pod osłoną 1 baonu, idącego w tylnej straży. Miał małe straty i zwycięzki poranek za sobą. Baon opóźniał według wszelkich reguł żołnierskiej sztuki. Szedłem wraz z Lortzem i jego poczem szosą na Leśnicę; zmieniające się kolejno kompanie zajmowały stanowiska, otwierały ogień i znowu po przepuszczeniu zapóźnionych podnosiły się i cofały do stanowisk kompanii następnej. Jak rozkładanie dywanu. Walka w Leśnicy trwała krótko, w mieście połączyły się obydwie grupy niemieckie. Było już dobrze pod wieczór, kiedy oparliśmy się o linie 2 pułku.

— Jak przechodzi front? — zapytałem Szajnocha, mego kolegę z politechniki.

— Januszkowice, Rokicie, Raszowa, Cisowa, Zalesie.

— A Lichynia?

— W Lichyni nasi.

— Mielście ciężki dzień?

— Skąd, tylko pozorowane natarcie. Cymś w pierwszej chwili myślał, że to wy zaczęliście ofensywę.

Stanęliśmy na postój w Raszowej. Baonowi podali straty: 10 zabitych, 5 zaginionych i około 60 rannych. Na wozach wieźliśmy ciała zabitych kolegów z różnych pułków.

Pułk Fojkisa w walkach dopołudniowych poniósł poważne straty (ok. 100 zabitych i rannych). Kilka godzin później z czterech jego batalionów jedynie batalion Marcina Watoły zdolny był do walki. Tak upłynął pierwszy dzień bitwy o Górę Św. Anny. Kolejne dni bynajmniej nie przyniosły spokoju. Pomimo zaciekłych ataków, Niemcom nie udało się przełamać pozycji powstańców, którzy bronili im dostępu do przemysłowego serca Śląska.

W obliczu niemieckiego natarcia, dowództwo Grupy „Wschód” postanowiło skierować w rejon walk dodatkowe siły. Wacław Ryzewski w pracy „Trzecie Powstanie Śląskie” pisze:

Szczególnie pilne było zlurowanie wykrwawionych i zdziętkowanych oddziałów 1 i 8 pułku, które w rzeczywistości nie przedstawiały już większej wartości bojowej, a ponadto w dotychczasowych walkach utraciły większość posiadanej broni maszynowej. Tylko z wielkim trudem udało się ściągnąć na odcinek południowy siły odwodowe: dwa bataliony bytomskie z 5 pułku Cz. Paula, 3 batalion ppor. F. Michalskiego z 2 pułku żorskiego oraz batalion pszczyński z odwodu NKWP. Ponadto skierowano do tego rejonu dwudziałową baterię artylerii por. J. Lgóckiego oraz pociąg pancerny „Korfanty”.

Jednakże dopiero około godz. 3.00 nad ranem (dnia 22 maja) przybyły do Rudzieńca zapowiedziane dwa bataliony (I i II) 5 pułku piechoty, choć dowództwo Grupy „Wschód” zapewniało, iż przybędą one już dzień wcześniej, do godziny 19.00. Tak późne ich przybycie dodatkowo skomplikowało i tak niełatwe położenie 1 dywizji górnośląskiej. Jan Ludyga-Laskowski, od którego domagano się przeprowadzenia kontrataku celem odzyskania utraconych pozycji, w swym meldunku napisanym tuż po godz. 3.00 dnia 22 maja pisze:

1 i 8 pułk, które miały do czynienia z całą nawałą regularnego wojska niemieckiego, obecnie, jako jednostki bojowe zdolne do dalszych walk, nie istnieją. Dwie kompanie I batalionu Lortza zostały osaczone i przez nieprzyjaciela doszczętnie wymordowane. Dalsze dwie kompanie tegoż batalionu, staczając ciężką walkę podczas odwrotu, poniosły poważne straty w zabitych i rannych. Brak dowódców przyczynił się do zdemoralizowania resztek tego batalionu, który tym samym jako jednostka bojowa istnieć przestał. Trzeci batalion również osaczony przez nieprzyjaciela, oswobodzony następnie przez oddział marynarzy Oszka, poniósł bardzo ciężkie straty przez ogień ciężkich karabinów maszynowych. Czwarty batalion zupełnie rozbity. Drugi batalion stosunkowo najmniej ucierpiał. W panice, jaka powstała wśród szeregów wskutek ukazania się nieprzyjacielskich oddziałów konnych oraz wskutek celnych strzałów artylerii tudzież wskutek fatalnego braku dowódcy, powstańcy rzucali broń, ratując się ucieczką. Tyle co do 1 pułku. Odnośnie 8 pułku nie mogę dać bliższych szczegółów. Według oświadczenia dowódcy pułku, kapitana Rataja, pułk jego nie istnieje, będąc zupełnie rozbitym. Oficerowie, dowódcy batalionów względnie kompanii są zabici lub ranni. Oddział lotny Walerusa zupełnie rozbity.

Z powyższego, jak i sytuacji stwierdzonej przeze mnie na miejscu wynika, że te dwa pułki jako jednostki bojowe nie istnieją. Demoralizacja wśród powstańców ogarnęła również ludność cywilną, zamieszkującą w dolinie kłodnickiej, która po wsiach urządza procesje z chorągwiemi kościelnymi i figurami świętych. Inni zaś, ogarnięci paniką, uciekają z całym dobytkiem w stronę Gliwic. W tak ciężkich

warunkach zawiodła zupełnie żandarmeria i piesza, i konna przysłana do miasta Kędzierzyna. Zamiast starać się o zaprowadzenie porządku w mieście, uspokajając ludność cywilną oraz zatrzymując cofających się powstańców i formować z nich oddziały, była ona pierwszą, która uciekała z miasta Kędzierzyna, upiwszy się przed tym, zostawiając służbę bezpieczeństwa w mieście na łasce losu.

O odejściu swoim nie zawiadomiła nawet swojego dowódcy placu, kapitana Benisza, który pozostał sam na swoim posterunku. [...]

Front od Kędzierzyna aż do Zalesia włącznie broniony jest przez oddziały straży ludowej i przez bardzo nieliczne jednostki bojowe, sformowane z rozbitków I i 8 pułku. Dowództwo grupy wschodniej jak i Naczelna Komenda Wojsk Powstańczych przysłali jedynie rozkazy do wykonania kontrataków, nie dając możliwości wykonania takowych. Nie wystarczy dać rozkaz, ażeby był wykonany, ale trzeba ludzi, by rozkaz ten wykonać. Otóż wedle rozkazu NKWP atak miał się rozpocząć wczoraj o godzinie 21, natomiast pierwsze posiłki zapowiedziane w rozkazie Naczelnego Dowództwa na... „przypuszczalnie godzinę 19-tą” przybyły dziś rano o godzinie 3, i to w stanie nieużyteczności do walk. Inne oddziały zapowiedziane do tej pory się nie zjawiły. W takich warunkach trzymać front od Januszkowic aż do Zalesia włącznie, wstrzymując silny napór nieprzyjaciela, przechodzi siły ludzkie.

Zameldowawszy się na froncie, I batalion 5 pułku piechoty, skierowany został w rejon Zalesia, gdzie zluzował resztki 8 pułku piechoty, zaś II batalion 5 pułku piechoty udał się do Cisowej, luzując resztki 1 pułku piechoty. Bateria artylerii Lgockiego zajęła pozycje na wschód od Zalesia, skąd wspierała swym ogniem działania I batalionu 5 pułku piechoty. 1 pułk piechoty w tym czasie zbierał się w Sławięcicach, natomiast 8 pułk piechoty – w Ujeździe.

Z Zalesia I batalion 5 pp rozwinął akcję na Leśnicę, a dalej na Olszowę – Dolną, celem nawiązania styczności z prawoskrzydłowymi oddziałami Grupy „Północ”. II batalion podjął działania na Łąki Kozielskie, Raszową, gdzie nawiązał łączność z oddziałami 2 pułku piechoty w Przystani Kozielskiej.

Późnym wieczorem 22 maja I batalion 5 pp wyszedł na rubież Popice, Klucz, Olszowę, nawiązując łączność z podgrupą „Bogdan” Grupy „Północ”. W ten sposób doprowadzono do zamknięcia luki na prawym skrzydle dywizji. Oznaczało to, iż Niemcom nie udało się dokonać głębokiego włamania, które otworzyłoby im drogę do Obszaru Przemysłowego i do zduszenia powstania. A taki wszak był ich zamiar. Sukces ich był więc połowiczny i miał charakter wyłącznie taktyczny. Następnego dnia pododdziały 1 dywizji górnośląskiej toczyły ciężkie walki u podnóża Góry Św. Anny, skąd nieprzyjaciel miał znakomity wgląd w pozycje wojsk powstańczych, precyzyjnie kierując zeń ogniem artyleryjskim. W pasie działania dywizji Niemcy ugrupowali swe siły na kształt wygiętej

podkowy na wysokości od Januszkowic na południu, poprzez Lichynię w centrum i osiedle Hanów na północy. Pułk Chappuisa wyciągnięto do przodu wzdłuż 8-kilometrowego odcinka przebiegającego Równiną Nadodrzańską od Januszkowic po Lichynię, natomiast pułk „Oberland” ugrupował się na wzgórzach Góry Św. Anny.

Bataliony 1 pułku piechoty, wsparte wyposażoną w samochód pancerny kompanią kpt. Roberta Oszka, uderzyły od strony Zalesia i posuwały się wzdłuż szosy na Lichynię i – nie bacząc na silny ogień broni maszynowej oraz z dział – przełamały przedni skraj obrony batalionu Bergerhoffa, następnie zdobyły Lichynię, po czym skierowały się na Leśnicę. Wkrótce i ta miejscowość znalazła się w rękach powstańców. Wydawało się, że lada moment uda się odzyskać Górę Św. Anny.

Niestety, bataliony 5 pułku piechoty oraz pszczyński z niezrozumiałych powodów, miast nacierać, trwały na pozycjach wyjściowych. W rezultacie prawe skrzydło walczącego pod Leśnicą 1 pułku piechoty wystawione zostało na kontratak nieprzyjaciela, który nie omieszkał wykorzystać nadarzającej się sposobności do jego wyprowadzenia. Niemcy skierowali tu do walki odwodowe bataliony pułku „Oberland”. Pierwszy batalion kpt. Ostreichera uderzył w prawe skrzydło 1 pułku i wyszedł na jego tyły. 2 batalion kpt. Firsterlina i 3 batalion mjr Siebringhausa ruszyły na Dolną, Olszowę i Klucz, by zlikwidować grożące stąd niebezpieczeństwo. Z Dolnej powstańcy zdołali w porę wycofać się bez walki. W Olszowej, do której wtargnęły oddziały niemieckie, stawili twarde opór i ogniem karabinów maszynowych skutecznie powstrzymali natarcie Niemców.

Szczególnie ciężkie straty miał tu ponieść 2 batalion „Oberlandu”, z którego to pozostać miało przy życiu jedynie 67 rozbitków. Tymczasem jednak Niemcy wbili się w odsłonięte prawe skrzydło 1 pułku, pomiędzy Leśnicą i Lichynią. Z najwyższym trudem udało się powstrzymać posuwających się naprzód Bawarczyków, którzy wspierani byli ogniem artylerii i broni maszynowej. Po stronie Niemców wystąpił tu oddział kawalerii włoskiej, który w walkach tych stracił kilkunastu żołnierzy. O niezwykle zaciętym przebiegu walk, prowadzonych nierzadko przy użyciu broni białej, świadczy fakt, że Leśnica, Lichynia, Klucz i Zalesie Śląskie kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk.

Tak przedstawiała się sytuacja w pasie działania 1 dywizji górnośląskiej, gdy zameldował się tam I batalion 4 pułku piechoty Gajdzika. Warto w tym miejscu przytoczyć treść Rozkazu operacyjnego nr 5 dowódcy I Dywizji Górnośląskiej, kapitana Jana Ludygi-Laskowskiego. Dokument ów nie ma daty, ale z treści wynika, iż został on sporządzony nad ranem dnia 24 maja 1921 roku:



Góra Św. Anny – Pomnik Czynu Powstańczego

Sytuacja nieprzyjacielska. Nieprzyjaciel znajduje się na linii Wielmierzowice – Krasowa – Lichynia – Czarnocin – Dolna. Ponownie został stwierdzony udział regularnych oddziałów Reichswehry. Dnia 23 maja ppoł. od godziny 14-20 nieprzyjaciel atakował nasze pozycje od Odry aż do naszego prawego skrzydła. Nieprzyjaciel koncentruje siły swoje w Leśnicy, gdzie zauważyć można było oddziały bojowe w sile od 50-100 ludzi, posuwają-

ce się wzdłuż szos Leśnica – Zalesie i Leśnica – Raszowa. Sytuacja własna. Oddziały nasze zajmują stanowiska: Januszkowice – Rokicze – Raszowa – Łąki – Zalesie w kierunku na Zimną Wódkę. W ciągu dnia oddziały dywizji wzmocnione zostały rezerwą około 1000 bagnatów. Zamiaty własne. Dowódca 2 pułku Cyms otrzymał ustny rozkaz posunięcia się jak najdalej na północny zachód, wzdłuż Odry i toru kolejowego, by współdziałać z grupą północną, która atakuje od godziny 2 w nocy dzisiejszej, posuwając się w stronę Gogolina – Odry. Po odcięciu Niemcom drogi odwrotu, jedna część grupy atakującej atakuje Górę Św. Anny. Zadaniem 1 i 8 pułku oraz formacji przysłanych w dniu wczorajszym jest nie przepuścić Niemców, którzy atakiem kombinowanym od zachodu i północy osaczeni zostaną.

Wobec tego: dowódca 8 pułku nawiąże za wszelką cenę łączność z grupą północną, ażeby zamknąć obecnie istniejącą lukę. Po nawiązaniu łączności kapitan Rataj doniesie natychmiast do dowództwa dywizji. Dwie kompanie 6 pułku zabrskiego otrzymały rozkaz zajęcia Zalesia, nawiązując łączność z kompanią Wolfa w Cisowie i na północ od Zalesia w Zimnej Wódkce (ew. Popice) z oddziałami 8 pułku. Kompania Wolfa nawiąże łączność z 2 pułkiem Cymsa w Łąkach. 1 pułk pozostaje na miejscu.

Kolejne dni przyniosły nieco spokoju. Siły 1 dywizji górnośląskiej wzmocnił wydatnie przybyły na front 3 pułk piechoty Rudolfa Niemczyka. Wykrwawiony 1 pułk piechoty Walentego Fojkisa oraz I batalion 5 pułku piechoty mogły odejść na zasłużony odpoczynek. Do odejścia gotowały się nie mniej wyczerpane walką 8 pułk piechoty oraz II batalion pułku piechoty, który wkrótce również odszedł z frontu.

BATALION MARCINA WATOŁY



Marcin Watoła

Trudną do przecenienia rolę w Powstaniach Śląskich odegrali mieszkańcy gmin, które dziś są dzielnicami Siemianowic Śląskich. Liczbę uczestników III Powstania Śląskiego z tego terenu szacować można na około 1200 osób.

O ile powstańcy z terenu Siemianowic i Laurahüty (zdolni do służby frontowej) w większości służyli w III batalionie dowodzonego przez Karola Gajdzika 4 pułku piechoty im. „Czwartaków” o tyle powstańcy z Michałkowic, Bytkowa, Bańgowa i Przełajki w lwiej części walczyli w szeregach III batalionu dowodzonego przez Walentego Fojkisa 1 pułku piechoty im. Józefa Piłsudskiego, do 10 maja 1923 roku funkcjonującego jako grupa Fojkisa.

Na czele batalionu, w skład którego wchodziły cztery kompanie, stał Marcin Watoła, zaś adiutantem był Jan Gajdzik. 1 kompanię tworzyli powstańcy z Maciejkowic i Chorzowa (dzisiejszy Chorzów Stary), 2 kompanię – powstańcy z Bytkowa, 3 kompanię – powstańcy z Michałkowic, zaś 4 kompanię – powstańcy z Bańgowa i Przełajki.

Pułk Fojkisa, a w jego składzie – batalion Watoły, wziął udział w dwóch wielkich bitwach – o Kędzierzyn (w dniach 9-10 maja 1921 r.) i w rejonie Góry Św. Anny (w dniach 21-24 maja 1921 r.). Udało mi się dotrzeć do kilku dokumentów, ilustrujących straty pułku Fojkisa w okresie poprzedzającym bitwę o Górę Św. Anny. I tak na liście poległych w formacjach Grupy „Wschód” znajdujemy powstańców z batalionu Marcina Watoły, którzy ponieśli śmierć w tym okresie. Szczególnie liczną grupę stanowią tu michałkowiczanie: Guzy Wiktor, Jadwiszczok Albert, Bentkowski Albert, Koczot Wojciech, Sołtysek Tomasz.

Na liście poległych znajdujemy też Wincentego Knopa z Karbia, przy którym zanotowano, że służył on w 10 kompanii III batalionu, która to prawdopodobnie została później przemianowana na 1 kompanię III batalionu. Z kolei przy pięciu poległych powstańcach III batalionu 1 pułku piechoty nie zaznaczono miejsca zamieszkania. Chodzi o jednego powstańca z 10 kompanii III batalionu (Pander August) oraz po dwóch powstańców z 11 kompanii (Wolny Wincenty i Wolny Antoni) i 12 kompanii (Mandla Eugeniusz i Szyga Józef).

Kolejnym dokumentem, którym warto się zająć, jest noszący datę 18 maja 1921 roku wykaz rannych powstańców 1 pułku piechoty. Z dokumentu tego dowiadujemy się, że 6 maja ranni zostali dwaj powstańcy z 4 kompanii III batalionu, mianowicie Jan Jańca (przy którym nie zaznaczono adresu zamieszkania) oraz Herman Mazerczyk (miejsce zamieszkania – nieczytelne). 8 maja ranni zostali Paweł Janta i Józef Wybraniec z 3 kompanii (obaj z Michałkowic) oraz Józef Sławasser z 2 kompanii (również z Michałkowic), a 9 maja czterej powstańcy z 3 kompanii (Henryk Peier, Teodor Tomanek, Jan Pyka i Jan Palerski – wszyscy z Michałkowic) oraz dwaj powstańcy z 4 kompanii (Jan Rympel i Roman Nowak – obaj z Bańgowa). W okresie tym ranny został też Wojciech Targoszek z Michałkowic (3 kompania).

Ale batalion ponosił straty nie tylko wskutek krwawych walk, ale również w wyniku chorób. W szczególności dotyczy to kompanii michałkowskiej. Być może doszło tam do zbiorowego zatrucia, a może to jakaś choroba zakaźna przetrzebiła szeregi... Faktem jest, że w dniu 7 maja zostali odesłani z szeregów (prawdopodobnie do szpitala polowego): Just Bronisław, Just Stanisław, Just Franciszek, Kloza Robert, Świerz Franciszek i Staniczek Jan, 8 maja – Glanz Franciszek (dowódca kompanii) i Gleich Oswald, a 9 maja – Hadaś Roman. Wszyscy wymienieni byli mieszkańcami Michałkowic. Dodam, że na liście chorych (z datą – 7 maja) widnieje też nazwisko Alberta Jadwiszczoka, które jest jednak przekreślone (prawdopodobnie dlatego, że umieszczono je tam omyłkowo i że chodzi o tego samego Alberta Jadwiszczoka, który został śmiertelnie ranny). Choroby dotyczyły jednak nie tylko michałkowiczanie... 8 maja z powodu choroby został odesłany (do szpitala?) Wilem Pietrek z Bytkowa (z 2 kompanii), a 9 maja – Jan Loska z Przełajki (z 2 kompanii) i Alojzy Szleier z Bańgowa (z 4 kompanii).

Tytułem wyjaśnienia dodam, że nazwiska przytoczyłem w brzmieniu takim, w jakim widnieją one w dokumentach. Mogę więc przypuszczać, że Hadaś to w rzeczywistości Hadasz, a Świerz to Świerzy, aczkolwiek pewności mieć nie mogę...

Niestety, nie zdołałem dotrzeć do dokumentów ilustrujących straty batalionu w okresie, kiedy toczył on walki w rejonie Góry Św. Anny. Przy tym mamy

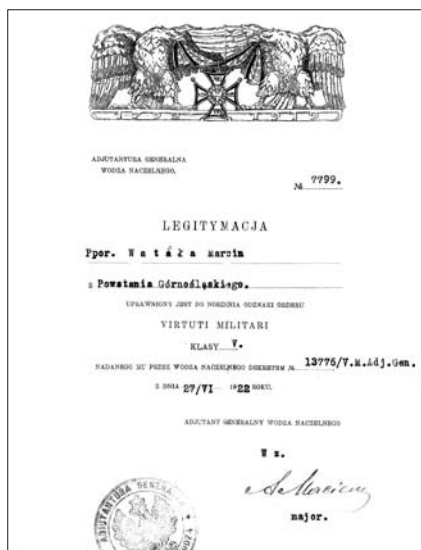
świadomość, że musiały one być znacząco wyższe aniżeli te, które poniósł on w okresie wcześniejszym.

Po odesłaniu do Michałkowic pułk Fojkisa otrzymał uzupełnienia, dzięki którym odzyskał siły. Do szeregów napłynęło przy tej okazji wielu powstańców spoza miejscowości stanowiących bazę poszczególnych kompanii, w tym spora ilość ochotników spoza Górnego Śląska. Z tego to okresu pochodzą karty ewidencyjne, które dostępne są na mikrofilmach w Czytelnicy Mikroform Biblioteki Śląskiej.

Nie jest możliwe określenie dokładnej daty zaprowadzenia w poszczególnych kompaniach kart ewidencyjnych, na pewno jednak stało się to nie wcześniej niż pod koniec maja, w związku z czym nie znajdziemy tam tych powstańców, którzy polegli bądź zostali ranni w walkach pod Kędzierzynem, a zapewne także i tych, którzy polegli bądź zostali ranni w walkach w rejonie Góry Św. Anny.

W skład batalionu wchodziły wówczas cztery kompanie, przy czym w składzie każdej kompanii, z wyjątkiem 3 kompanii, były po cztery plutony. 3 kompania posiadała tylko trzy plutony. Obsada stanowisk dowódczych przedstawiała się w tym okresie następująco:

Watoła Marcin – Dow. Baonu
Gajdzik Jan – Adjutant
Joniec Stefan – of. rachunkowy
Jagła Jan – Dow. komp. I
Ciupka Franciszek – Dow. plutonu
Machajski Kasper – Dow. plutonu
Solorz Jerzy – Dow. plutonu
Tomanek Franciszek – Dow. plutonu
Duży Piotr – Dow. komp. II
Karch Franciszek – Dow. plutonu
Klamra Edward – Dow. plutonu
Latta Augustyn – Dow. plutonu
Nawrat Paweł – Dow. plutonu
Glanz Franciszek Dow. komp. III
Tynior Ignacy – Dow. plutonu
Błaszczyk Paweł – Dow. plutonu
Tomczyk Aleksy – Dow. plutonu
Wicik Piotr – Dow. komp. IV
Tomala Ryszard – Dow. plutonu
Czupryna Józef – Dow. plutonu
Pyka Robert – Dow. plutonu
Keler Teodor – Dow. plutonu



Legitymacja orderu Virtuti Militari przyznanego Marcinowi Watole

Jak już była o tym mowa, 1 kompanię batalionu, którym dowodził Marcin Watola, utworzyli powstańcy z Maciejkowic i Chorzowa. Nas w tym miejscu interesują przede wszystkim pozostałe trzy kompanie, które utworzyli powstańcy z gmin, które dziś są dzielnicami Siemianowic Śląskich.

W ewidencji 2 kompanii, którą dowodził Piotr Duży, widnieje 89 powstańców, z czego 87 to mieszkańcy powiatu katowickiego (do tego dochodził jeden mieszkaniec powiatu strzeleckiego i jeden mieszkaniec „kongresówki”). Z 87 powstańców, którzy byli mieszkańcami powiatu katowickiego, 52 urodziło się w Bytkowie, 4 w Michałkowicach, 3 w Laurahücie i 2 w Siemianowicach. 62

powstańców (spośród 87 mieszkających na terenie powiatu katowickiego) miało od 20 do 30 lat (z czego 37 urodziło się w Bytkowie, trzech w Michałkowicach i po dwóch w Siemianowicach i Laurahücie). Powstańców starszych aniżeli 30-letnich, bądź młodszych aniżeli 20-letnich w 2 kompanii było 25 (w tym 15 urodzonych w Bytkowie i po jednym urodzonym w Michałkowicach i Laurahücie). Przytłaczającą większość powstańców stanowili górnicy, których w 2 kompanii było aż siedemdziesięciu.

Z kolei zajmijmy się kompanią michałkowską... W ewidencji tejże kompanii widnieje 142 powstańców, z czego 100 było mieszkańcami powiatu katowickiego, zaś pozostali 42 pochodzili spoza powiatu katowickiego (w tym co najmniej połowa – spoza Górnego Śląska). I znów zajmijmy się tymi powstańcami, którzy byli mieszkańcami powiatu katowickiego (przede wszystkim – Michałkowic). 50 powstańców urodziło się w Michałkowicach, 4 w Siemianowicach, 2 w Bańgowie i po jednym w Bytkowie i na Przełajce. 61 powstańców (spośród omawianej setki) miało od 20 do 30 lat (z tego 28 urodziło się w Michałkowicach, dwóch w Siemianowicach i po jednym w Bańgowie i na Przełajce), 39 powstańców miało mniej niż 20 lat lub więcej niż 30 lat (w tym 22 urodziło się w Michałkowicach, dwóch w Siemianowicach i po jednym w Bytkowie i Bańgowie). Także tu zdecydowanie dominowali górnicy, których było 73 (46 w grupie powstańców w wieku od 20 do 30 lat oraz 27 starszych niż 30-letnich lub młodszych niż 20-letnich).

W ewidencji tejże kompanii odnajdujemy osoby o znajomo brzmiących nazwiskach, takich jak: Paweł Jadwiszczok (ur. 23.03.1900), Teodor Jadwiszczok (ur. 5.04.1896), Maks Guzy (ur. 14.04.1898), Jan Guzy (ur. 23.10.1900), Stefan Guzy (ur. 1.09.1899), Roman Hadasz (ur. 20.08.1902), Paweł Wicik (ur. 20.08.1902) czy Ignac Tynior (ur. 11.07.1891).

Gdy chodzi o 4 kompanię, to w ewidencji tejże kompanii widnieje 104 powstańców, z czego 84 to mieszkańcy powiatu katowickiego, a 20 – mieszkańcy „kongresówki”. Z 84 powstańców mieszkających na terenie powiatu katowickiego 29 urodziło się w Bańgowie, 28 – na Przełajce, sześciu – w Siemianowicach, dwóch w Bytkowie i jeden w Michałkowicach. 55 powstańców (z omawianej grupy) miało od 20 do 30 lat (z tego 23 urodziło się w Bańgowie, 20 na Przełajce, trzech w Siemianowicach po jednym w Michałkowicach i Bytkowie). Starszych niż 30-letnich i młodszych niż 20-letnich było 29 powstańców (z tego ośmiu urodziło się na Przełajce, sześciu w Bańgowie, trzech w Siemianowicach i jeden w Bytkowie). Także w przypadku tej kompanii zdecydowanie dominowali tu górnicy. Z 84 powstańców – mieszkańców powiatu katowickiego aż 58 to górnicy (38 w grupie wiekowej od 20 do 30 lat oraz 20 mających więcej niż 30 lat lub mniej niż 20 lat).

Reasumując, należy zauważyć, że w batalionie, na którego czele stał Marcin Watoła, zdecydowanie dominowali górnicy, a większość powstańców to osoby w wieku od 20 do 30 lat. Choć batalion w toku walk prowadzonych w III Powstaniu Śląskim poniósł ciężkie straty, a zasilający go – celem uzupełnienia strat – powstańcy w większości pochodzili spoza gmin, w których sformowane zostały poszczególne kompanie, do końca dominowali w nich mieszkańcy Maciejkowic, Chorzowa, Bytkowa, Michałkowic, Bańgowa i Przełajki.

**Z KART
HISTORII
MIASTA**

Z DZIEJÓW BUDOWNICTWA W SIEMIANOWICACH - OTTON URBAŃCZYK



W Siemianowicach w okresie gwałtownego rozwoju przemysłu trwającego od połowy XIX wieku powstały liczne osiedla patronackie dla napływających wówczas do pracy w przemyśle robotników. Zatrudnienie dużej ilości ludzi powodowało, że należało zaspokoić ich różnorodne potrzeby. Powstawały sklepy, restauracje, rozwijało się rzemiosło. Ci, którzy wzbogacili się na pracy w przemyśle, zaczęli budować własne kamienice, w których zajmowali jedno duże mieszkanie – przeważnie na pierwszym piętrze, a pozostałe mieszkania wynajmowali, z czego właściciel miał dodatkowy dochód.

Często zdarzało się, że bogaty właściciel budował więcej kamienic, co jemu i jego potomkom dawało możliwość utrzymywania się z czynszów pobieranych za wynajem mieszkań. Spowodowało to, że pojawił się nowy „zawód”: Hausbesitzer (właściciel, posiadacz domu). Księgi adresowe z początkowych lat XX w. często w rubryce zawód posiadają taki właśnie wpis. Był to więc jeden ze sposobów utrzymywania się. W związku z powyższym faktem wzrosło zapotrzebowanie na projektantów. Stale rozwijający się przemysł powodował konieczność rozbudowywania i modernizowania poszczególnych zakładów przemysłowych. Nie zawsze była możliwość, żeby taką modernizację polegającą najczęściej na dobudowie nowych hal fabrycznych, magazynów oraz pomieszczeń dla coraz bardziej nowoczesnych urządzeń projektował autor pierwotnego projektu, korzystano więc z usług projektantów zamieszkałych w gminie lub w najbliższej okolicy. W Laurahucie i w Siemianowicach na przełomie XIX i XX w. na projektach budowlanych zachowanych w Archiwum Budowlanym Urzędu Miasta powtarzają się te same nazwiska, co przy przeglądaniu akt archiwalnych pozwoliło na ustalenie, kto w tym czasie zatrudniany był jako projektant. Korzystano z usług budowniczych zamieszkałych na terenie jednej z okolicznych gmin (Siemianowice w tym czasie nie miały

jeszcze praw miejskich, a wszystkie obecne dzielnice były wówczas samodzielnyimi gminami), jak i z nieco dalszych miejscowości. Gminy wchodzące w skład dzisiejszych Siemianowic w obecnych granicach administracyjnych mają swoje wybitne budowle zaprojektowane przez znanych budowniczych, którzy pozostawili po sobie jedno wielkie dzieło. Ludwig Schneider z Opola był autorem projektu obecnego kościoła parafialnego p.w. św. Michała Archanioła w Michałkowicach. Paul Jackisch z Bytomia wykonał projekt kościoła parafialnego p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego w Siemianowicach. Louis Dame zaprojektował oranżerię i rozbudowę pałacu rodziny von Rheinbaben w Michałkowicach w stylu neogotyckim oraz willę dyrektora kopalni „Max” znajdującą się tuż za kościołem michałkowickim. Zbudowany w 1895 r. kościół ewangelicki im. Marcina Lutra był dziełem Franza Poserna z Pszczyny, pełniącego wówczas funkcję powiatowego inspektora budowlanego. Na terenie dzisiejszych Siemianowic działało wielu budowniczych. Dominik Drescher z Bytomia był autorem projektów wielu budynków w Siemianowicach, Laurahucie (narożna kamienica przy ul. Szkolnej 1) oraz w Michałkowicach (m.in. kamienice przy ul. Kościelnej 16, 17, 18, 25, 30, 55, 56 i przy Brandysa 8). Architekci Jan Biasion i Stanisław Porębski z Katowic w latach 1929-1931 dokonali adaptacji na kościół p.w. św. Antoniego Padewskiego hali targowej zbudowanej w 1914 r. według projektu Theodora Heidricha. Tadeusz Michejda z Katowic w latach 20. XX w. zaprojektował cechownię szybu Północnego kopalni „Max” oraz portiernię. Projektanci spoza gminy to m.in. Julius Litschke

z Zawodzia i Pollack – projektant willi przy ul. Pocztowej 6 z ramienia koncernu Hohenlohego. Na terenie gminy mieszkali i projektowali: Wilhelm Ritter, Paul Gawel, Tobolla – projektant szkoły przy ul. Dąbrowskiego (obecnie Centrum Zarządzania Kryzysowego), Franz Schröder, Otto Clausnitzer. Jednym z najbardziej czynnych na przełomie XIX/XX w. budowniczych laurahuckich był Wilhelm Wakkan – projektant większości ówczesnych szkół laurahuckich (m.in. obecnego Liceum im. Jana Śniadeckiego, Liceum Katolickiego przy ul. 1 Maja), a także ratusza w Laurahucie przy Richterstrasse 2 (ob. ul. Sobieskiego). W Siemianowicach z kolei działał w tym samym czasie





Otton Urbańczyk w gabinecie swojej willi przy ulicy Cmentarnej 1

Johannes Seiffert – projektant ratusza siemianowickiego i wielu efektownych kamienic w centrum miasta. Hlubok trudnił się przebudową i rozbudową hal licznych w owym czasie zakładów przemysłowych, a także zaprojektował jedną ze szkół w Michałkowicach. Emil Twrdy – z pochodzenia Czech – był autorem projektu funkcjonującej do dziś hali kąpielowej, niezbyt szczęśliwie rozbudowanej w latach 70. XX w. i zespołu budynków na terenie parku „Pszczelnik”, w tym muszli koncertowej i domku kolonijnego dla dzieci. Theodor Heidrich pełnił na początku XX w. funkcję budowniczego gminnego w gminie laura-huckiej i zaprojektował budynek szkoły podstawowej nr 3 przy ul. Szkolnej, a także szkoły ewangelickiej przy tej samej ulicy. Duże przedsiębiorstwo budowlane prowadził w Siemianowicach Robert Pietruszka – projektant szeregu eklektycznych kamienic w rejonie ulic Śniadeckiego (kamienica narożna nr 5 była własnością Roberta Pietruszki; posiadał tam mieszkanie i biuro) i Komuny Paryskiej, m.in. podziwianej do dziś kamienicy „Pod orłami” przy ul. Komuny Paryskiej 6. Na terenie gminy działali także Otton Urbańczyk, twórca projektu szkoły przy ul. Matejki oraz Franciszek Krajuszek.

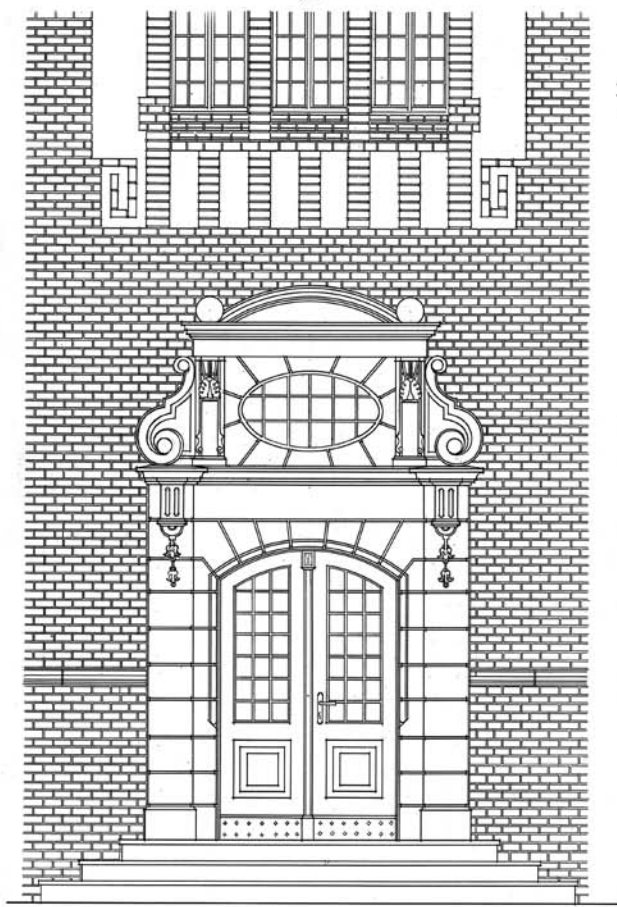
Siemianowicki budowniczey Otton Feliks Urbańczyk urodził się 26 maja 1887 r. przy ul. Wandy 34 (ob. Powstańców), w domu, który był własnością rodziny Urbańczyków. Pochodził z wielodzietnej rodziny. Jego ojciec Emil

ENTWERFEN KLJ^m

ENTWURF

BLATT 6

ZU EINEM SAMMLUNGSGEBÄUDE.



SNITT
A-B



HAUPT-EINGANG.



KATTEWITZ, W.H. 1910/11.

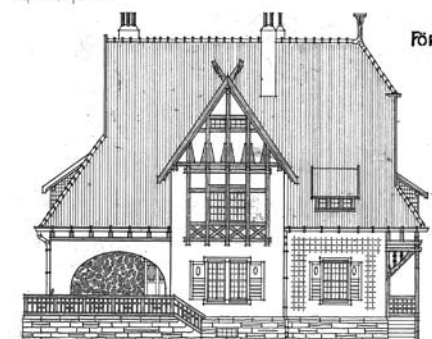
MAAßSTAB 1:20

Angefertigt na der
Königl. Baugewerkschaft
zu Kattowitz.

Отъ ЦРВАНЦЫКЪ, А.

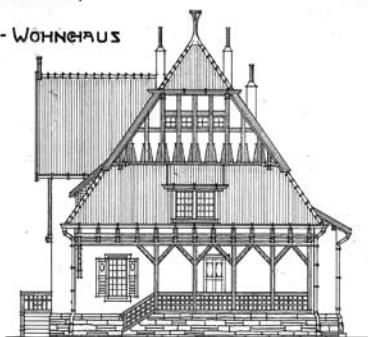
Handwritten signature

Szkolna praca O. Urbańczyka – projekt osadzenia bramy wejściowej z nadświetlem do kamienicy

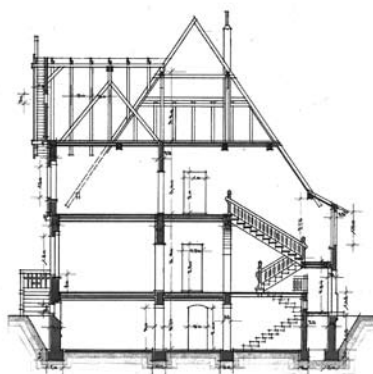
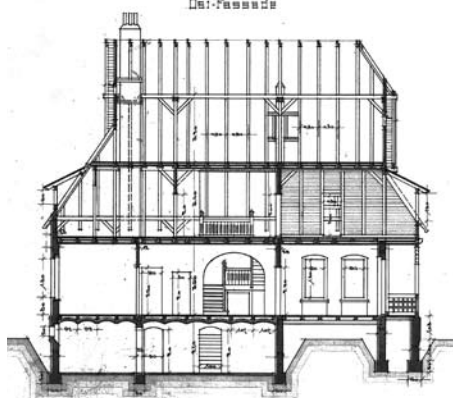


Ost-Fassade

FÖRSTER - WOHNEHAUS



Nord-Fassade



Szkolna praca O. Urbańczyka – projekt willi

Urbańczyk był żonaty z Anną Dolibok, z którą miał ośmioro dzieci. Wszyscy synowie uzyskali wykształcenie i konkretny zawód. Wszyscy też przejawiali talent do rysunków. Wiktor został kupcem kolonialnym i zamieszkał w Wełnowcu. Bruno był przedsiębiorcą budowlanym. Prowadził w Siemianowicach zakład sztukatorski. Miał bardzo duży talent do rysunków – w zbiorach rodzinnych zachowały się jego rysunki i szkice. Paul został piekarzem i osiadł w Hamburgu. Posiadał również talent malarski; wykonywany przezeń zawód nie przeszkodził mu w malowaniu obrazów. Jan ukończył Akademię Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Powołany do wojska zginął w 1915 r. we Francji. Na cmentarzu w Siemianowicach znajduje się jego symboliczny grób postawiony na pamiątkę przez rodziców i pozostałe rodzeństwo. Jerzy także zajmował się budownictwem. Obie siostry wyszły za mąż – jedna z nich mieszkała z mężem w Ochojcu. Druga została żoną Pawła Śmiłowskiego, jednego



Starsze pokolenie rodziny Urbańczyków z dziećmi

z założycieli chóru męskiego „Chopin”, późniejszego powstańca śląskiego, którego imieniem nazwano siemianowicką ulicę.

Otton po ukończeniu szkoły powszechnej zapisał się do Königlische Baugewerkschule (Królewska Szkoła Budowlana) w Katowicach, do której uczęszczał w latach 1906-1911. Podczas nauki w szkole uczył się zasad budownictwa i projektowania. Zachowane z tego okresu rysunki przedstawiają projekt osadzenia bramy wejściowej z nadświetlem do kamienicy (pokazana została również w przekroju), konstrukcję schodów w dwupiętrowym budynku mieszkalnym (z przekrojem poprzecznym i rzutem) i projekt willi (z rysunkiem fasady

i jednej z elewacji bocznych, rzutem przyziemia i poddasza i przekrojem poprzecznym i podłużnym). Na innych zachowanych z okresu szkolnego projektach widać, jak dbano wówczas o dobre wykształcenie przyszłych techników budowlanych. Zachowane z różnych lat pobierania nauki w Królewskiej Szkole Budowlanej projekty i rysunki pokazują, jak mozolnie uczyli się przyszli budowlancy różnych stylów i epok rysując „z natury” rysunki techniczne przedstawiające sposób osadzenia bramy, okna, rozplanowania wnętrza mieszkalnego. Wszystkie rysunki opatrzone są pieczęcią szkoły i datą, co pozwoliło ustalić, w jakich latach Otton Urbańczyk pobierał nauki w tejże szkole.

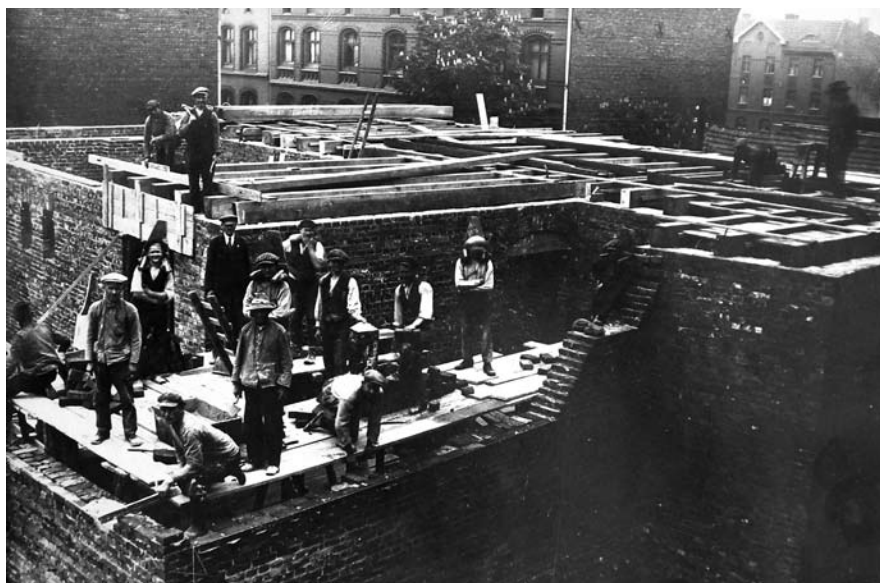
Po ukończeniu szkoły budowlanej rozpoczął pracę w Urzędzie Gminy w Chorzowie Starym w Wydziale Budownictwa. Równocześnie projektował budowle w okolicznych miejscowościach – Chorzowie, Katowicach i Siemianowicach. Własną firmę o nazwie: „Przedsiębiorstwo Budowlane Robót Pod- i Nadziemnych” założył w Siemianowicach. Firma miała siedzibę przy ul. Wandy 34 (ob. Powstańców), w domu rodzinnym, a od 1932 r. przy ul. Bocznej 10 (dom został zaprojektowany przez Ottona i zbudowany w 1929 r.). Rodzice w tym czasie mieszkali przy ul. Bocznej 15. Otton Urbańczyk był autorem projektów wielu budowli w Siemianowicach, m.in.



Kamienica Roberta Pietruszki przy ul. Śmiłowskiego 5 przed przebudową



Szkoła przy ul. Matejki w okresie międzywojennym



Budowa kamienicy przy ul. Bocznej 10



Projekt rozbudowy Fabryki Cukrów i Czekolady Hanka, 1925 r.

budynku mieszkalnego z 1928 r. przy ul. Bytomskiej 17 (ob. Świerczewskiego). Modernistyczny budynek był własnością aptekarza, Franciszka Herdego, który w parterze budynku prowadził aptekę. Apteka w tym miejscu jeszcze do niedawna istniała. Od kilku zaledwie lat obecni właściciele zmienili branżę. Inne domy zbudowane według projektu Ottona Urbańczyka to budynek przy ul. Krasińskiego 1, budynek restauracji w podwórzu posesji przy ul. Michałkowskiej 7, liczne kamienice przy końcu ulicy Powstańców, modernistyczna szkoła przy ul. Matejki. W 1925 r. Urbańczyk projektował rozbudowę Fabryki Cukrów i Czekolady „Hanka” przy ul. Szefflera. Zaprojektował wówczas nowe magazyny przylegające do ogrodzenia od strony południowej i wschodniej. W 1927 r. zaprojektował willę przy ul. Cmentarnej, w której do dziś mieszka jego rodzina. Willa w stylu modernizmu posiada kilka mieszkań, każde z oddzielnym wejściem. Została wyposażona w stylowe meble, które widoczne są na fotografii przedstawiającej budowniczego Ottona Urbańczyka siedzącego przy biurku w biurze znajdującym się na terenie willi.

Modernistyczny budynek o dwóch kondygnacjach, z użytkowym poddaszem, bardzo funkcjonalny, został nowoczesnie wyposażony. Łazienki zostały wyłożone białymi płytkami ceramicznymi. Wyposażono je w umywalki, muszle i spłuczki sprowadzone z Berlina. Armatura wykonana została z mosiądzu. Budynek od strony ulicy (zachodniej) ma trójkątny wykusz przechodzący



Kamienica przy ul. Świerczewskiego 17, widok współczesny

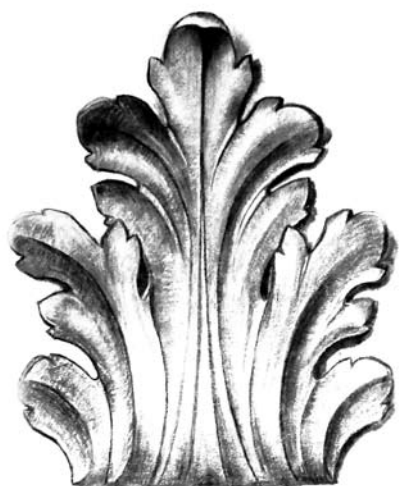




Willa przy ul. Cmentarnej, widok od ulicy i ogrodu; PONIŻEJ: kamienica przy ul. Krasieńskiego 1, widok współczesny

przez obie kondygnacje i użytkowe poddasze. Natomiast od strony wschodniej z salonu jest zejście do ogrodu, a nad nim, na piętrze znajduje się duży balkon. W salonie na suficie biegł fryz przedstawiający budowniczego, który podaje mecenasowi projekt budowli przyklękając na jedno kolano. Malowidło było dziełem jednego z braci, najprawdopodobniej Paula. Klatka schodowa jest doświetlona podłużnym oknem widocznym od ulicy, przeszklonym na całej wysokości. Ostatnio zamieniono zwykłe szkło na luksfery. W parterowej części zachowały się fragmenty dawnego wyposażenia. Willa przed wojną umeblowana była meblami w stylu art-deco z elementami secesji (zwłaszcza lampy miały secesyjną dekorację). W ostatnich latach większość wyposażenia zastąpiona została współczesnym. W okresie





przedwojennym w części parterowej od północnego-wschodu mieścił się gabinet, pełniący funkcję biura Ottona Urbańczyka.

Otton Urbańczyk od 1949 r. do połowy lat 50. XX w. prowadził własny skład budowlany. W nowej, powojennej rzeczywistości projektowanie nie było już możliwe, więc nadal zajmował się tym, co było związane z jego zawodem. Zmarł we wrześniu 1966 r. Pochowany został na cmentarzu przy ul. Cmentarnej. Pozostały budowle Ottona Urbańczyka – które też ulegają

z biegiem czasu nie zawsze dobrze pojętej modernizacji. Szkoła przy ul. Matejki – piękny, modernistyczny budynek z cegły, otynkowany z charakterystycznymi podziałami okien – została kilka lat temu ocieplona, co polegało między innymi na zamurowaniu 1/3 każdego z okien i obłożeniu elewacji styropianem. Na zakończenie pomalowano szkołę w pomarańczowo-żółte pasy. Przed wojną nad zadaszeniem znajdującym się nad wejściem do szkoły znajdowała się rzeźba orła wykonana z piaskowca.

Budynek przy ul. Świerczewskiego 17, budynek przy ul. Michałkowskiej oraz willa przy ul. Cmentarnej najlepiej przetrwały próbę czasu. Dawna siedziba Ottona Urbańczyka przy ul. Bocznej 10 istnieje do dnia dzisiejszego, jednak jest bardzo zniszczona – zwłaszcza ozdobne fragmenty fasady gwałtownie dopraszają się renowacji.

Ten krótki przegląd budowniczych działających na terenie dzisiejszych Siemianowic daje pogląd na to, jak dobre było ich wykształcenie. Szkoły uczyły dobrego rzemiosła. Nauka zawodu trwała długo – aż sześć lat. Ani jeden z nich nie posiadał tytułu architekta, ale wszyscy uczyli się wiele lat,



aby zdobyć tytuł budowniczego. Ich projekty przetrwały próbę czasu. Jeżeli ktoś zada sobie trud, żeby według starego projektu sprawdzić obliczenia w zachowanym budynku, to stwierdzi, że obliczenia mają dokładność do ułamka milimetra. Trzeba przy tym pamiętać, że były wykonywane ręcznie. Zawierały wszystkie elementy potrzebne do wykonania budowli, także obliczenia statyczne wykonywał z reguły projektant. Dziś jest to już całkiem inna osoba – projektant projektuje przy użyciu skomplikowanych programów komputerowych. Niewątpliwie ułatwia to życie, ale z pewnością nie jest tym samym, co dawny, ręcznie rysowany tuszem projekt.



POWYŻEJ I NA STRONACH POPRZENICH: Rysunki detali architektonicznych

MIGAWKI Z PRZESZŁOŚCI. CZĘŚĆ 6

Początek wojny

Na kilka dni przed wybuchem II wojny światowej nic nie było już w Bytkowie jak dawniej. W familokach i w większych budynkach mieszkalnych nikt nie przesiadywał na schodach w sieni przed wejściem. Większość mieszkańców spędzała czas we własnym gronie troszcząc się jedynie o swoje rodziny. Przez zamknięte drzwi sąsiadów – u jednych można było usłyszeć z odbiorników głośnikowych w języku polskim niezrozumiałe i zaszyfrowane komunikaty wojskowe lub odezwy i wypowiedzi znanych polityków, natomiast w rodzinach niemieckich rozbrzmiewały marsze i głosy niemieckich przywódców.

Niewątpliwie skończyła się pozorna przyjaźń międzysąsiedzka a rozpoczęła nieufność, a nawet nienawiść, która podzieliła bytkowian na dwie wrogie sobie społeczności. Tutejsi Niemcy przechwalali się niemiecką kulturą, dyscypliną i porządkiem i bezgranicznie wierzyli swemu führerowi, Polacy zaś chwalili się odniesionymi sukcesami na Zaolziu i dobrze przygotowanym i uzbrojonym Wojskiem Polskim, które miało bronić naszych granic. Na ulicach Siemianowic i w przyległych do nich wioskach w ostatnich dniach sierpnia pojawiły się grupki niemieckich młodzieńców ubranych w białe kolanówki i krótkie spodenki, z krótko obciętymi włosami i charakterystyczną trójkątną grzywką. Bez skrępowania zaczepiali polskie dziewczyny – szczególnie harcerki, by wywołać bójkę. Aby zapewnić mieszkańcom bezpieczeństwo zorganizowano kilka grup samoobrony i posterunków ruchomych, które patrolowały wyznaczone rejony. Większe wrażenie wywołało pojawienie się w Bytkowie polskiego wojska, które za zabudowaniami na ulicy Watoły ustawiło wysoką antenę i podłączyło ją do swojej radiostacji polowej. Zbiegły się wtedy chyba wszystkie dzieci z okolicy, by przypatrywać się żołnierzom z nałożonymi na uszach słuchawkami i słuchać ich niezrozumiałych meldunków. Nieco dalej od nich było widać ustawione na ściernisku „w kozły” karabiny i klęczących przy rozłożonej mapie żołnierzy.

Ostatni dzień naszych wakacji szkolnych dobiegał końca. Zacerwienione słońce chowało się za kominami pobliskich Chorzowskich Zakładów Azotowych, tylko z oddali było słychać równomierny stuk cepów i faliste wycie



Klasa II b szkoły powszechnej w Bytkowie, 1936 r.

elektrycznych młockarni i przejeżdżających po nierównym bruku „drabinio-ków” wypełnionych zbożem. W szafie w domu leżała moja zeszloroczna torba szkolna załadowana przyborami szkolnymi, którą miałem zabrać nazajutrz do szkoły.

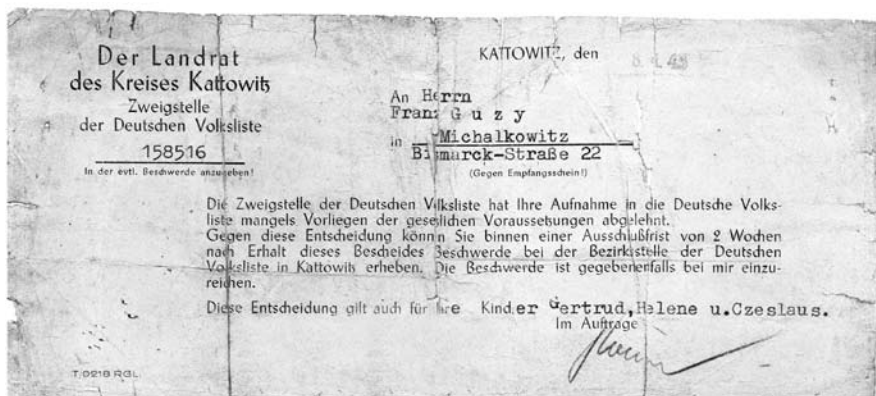
Noc z 31 sierpnia na 1 września tylko część naszych mieszkańców spędziła w spokoju. Mój ojciec – ówczesny dowódca samoobrony w Bytkowie, po sprawdzeniu na swoim terenie wszystkich posterunków składających się z ochotników i członków organizacji półwojskowych, wrócił późnej nocy do domu. Po krótkim odpoczynku znowu udał się do swojego stałego miejsca zatrudnienia, czyli do Komendy Policji w Katowicach, aby dalej pracować przy aktualizacji planu zabezpieczenia dokumentacji służbowej i ewakuacji rodzin policyjnych mieszkających blisko granicy polsko-niemieckiej. Nie tylko jemu, ale wielu mieszkańcom Siemianowic i okolicy po północy sen przerwały docierające z pobliskiej kopalni „Michał” pojedyncze i seryjne strzały karabinowe, które początkowo były przez okolicznych mieszkańców uważane jako ćwiczebne i mało znaczące. Jednak pierwsze meldunki przekazane z kopalni „Michał” i z Urzędu Gminnego w Michałkowicach alarmowały, że w nocy duża grupa bojówkarzy hitlerowskich składającą się z około 200 ludzi, uzbrojona w pistolety, karabiny i broń maszynową pod dowództwem Willego Pisarskiego przekroczyła naszą granicę państwową i wdarła się do kopalni „Michał”

zajmując magazyny i ważniejsze urządzenia techniczne. Byli to w większości niedawni bezrobotni Polacy i Ślązacy, dla których zabrakło pracy w stronach rodzinnych stronach i szukali jej w Niemczech. Zapewniono im dobrze płatną pracę, wciągnięto do swoich organizacji nazistowskich, przeszkolono i zgodnie z swoimi planami operacyjnymi przerzucono przez granicę do Polski w celu objęcia polskich fabryk, hut i kopalń.

Tej właśnie nocy nad ranem Niemcy hitlerowskie uderzyły na Polskę. Działaniom tym towarzyszyły intensywne bombardowania lotnicze oraz barbarzyńskie ataki z powietrza na miasta i ewakuującą się ludność na drogach i w wagonach kolejowych. Tego dnia, zamiast siedzieć po wakacyjnej przerwie ze swoimi kolegami szkolnymi w świeżo wymalowanej klasie V b – siedziałem w kącie wagonu kolejowego na tobołkach, w których znajdowała się większa część naszego dobytku i czekałem na chwilę, by razem z rodzicami i moimi siostrami jak najprędzej opuścić tę zaśmieconą bocznice kolejową i wyjechać w bardziej spokojniejsze strony. Byłem całkowicie pogrążony w swych dziecięcych jeszcze i mało realnych myślach. Nawet nie zauważyłem natrętnych uciekinierów, którzy na siłę wchodzili do naszego wagonu i zajmowali przeznaczone dla nas miejsca. Dalej w zamyśleniu niespokojnie przesuwiałem zawieszoną na mojej szyi twardą tekturkę z moim nazwiskiem i adresem, bo takie wtedy dzieci obowiązywały przepisy, oraz medalik, któremu się przyglądałem, jakby dopiero co został mi na szyi zawieszony.

Po chwili zobaczyłem dużą namalowaną na budynku piekarni w Bytkowie planszę o tematyce związanej z obroną przeciwlotniczą, i przeciwgazową. W jej górnej części widniały duże litery „LOPP – uczy i chroni” [Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej – przyp. red.]. Pod napisem namalowane samoloty bombardujące miasto, a niżej palące się zabudowania i jakieś postacie w ubraniach ochronnych i maskach przeciwgazowych, które wnoszą na noszach rannych omijając kałuże oznaczone nieznanymi mi symbolami chemicznymi. Nagle pomyślałem, że to co na planszy w Bytkowie widziałem mogłoby stać się realne i może się zdarzyć w tej chwili na naszej bocznicy, która stanowi dla nas wielkie niebezpieczeństwo, natomiast dla nieprzyjacielskich samolotów znakomity cel. I znów spojrzałem na medalik z Częstochowy i pomyślałem, że na pewno będzie on mnie zawsze w trudnej sytuacji chronił. Z perspektywy lat mogę stwierdzić, że dzięki tej wierze, mimo różnych nieprzyjemnych i niebezpiecznych przeżyć doczekałem się szczęśliwej starości.

Naszej rodzinie przypadła w pierwszej kolejności ewakuacja z terenów przygranicznych i zagrożonych działaniami wojennymi w okolice Polski południowo-wschodniej. Przeznaczony do tych celów pociąg składał się z wagonów osobowych, towarowych krytych i kilka platform kolejowych do



Niemieckie zaświadczenie Franciszka Guzego (ojca Czesława), 1943 r.

kobietę i przerzucili ją przez burtę do naszego wagonu. Okazało się, że nie chciała ona być razem z córką ewakuowana. Wolała pozostać w domu, w którym się urodziła i tam pragnęła również umrzeć.

Okolo północy nagłe szarpnięcie wagonem zerwało wszystkich ze snu. Pociąg ruszył – było słycać syk pary, a nad naszymi wagonami, jakby goniły się czerwono-żółciste iskry i kłęby czarnego dymu, zaś spod wagonów dochodził do nas równomierny stukot kół. Tylko na rozjazdach kolejowych rytm zmieniał się w chaotyczne dudnienie i szarpało wagonem, to w lewo, to znowu w prawo. Zmęczeni, ale pełni nadziei, że wreszcie opuszczamy te niebezpieczne tereny pogrążyliśmy się w głębokim śnie.

Nagły, niespodziewany wrzask stojących na peronie uciekinierów obudził nawet śpiąca dzieciarnię. Ktoś rzucił na już przeładowaną platformę tobołki i wózek z odzieżą. Doszło nawet do awantury pomiędzy kolejarzami i policjantami. Dwie starsze panie, które usunęły na bok swoje walizki i pomogły wejść młodej mężatce z dzieckiem z zawieszonym na szyi smoczkiem i kartonikiem z nazwiskiem i adresem.

Chyba było już po szóstej rano. W pierwszych promieniach słonecznych widoczny był XIX-wieczny budynek dworcowy z zegarem, na którym błyszczały w słońcu dwie ozdobne wskazówki i cyfry rzymskie. Budynek dworcowy nie różnił się wiele swym wyglądem architektonicznym od pozostałych znajdujących się na tej trasie kolejowej.

Według opracowanego planu nasz „pociąg nadziei” powinien być dawno za Tarnowem, natomiast z wielkim niepokojem patrzyliśmy na umieszczoną na peronie tablicę z napisem „Jaworzno”. Nie wiadomo też było na jak długo zatrzymano nasz pociąg, do którego wsiadał niemal każdy i wysiadał kiedy

chciał. Oznaczało to, że jechaliśmy pociągiem zwykłych uciekinierów – pierwszeństwo posiadały transporty wojskowe i o ważniejszym znaczeniu, natomiast nasz pociąg kierowano często na bocznice lub przytrzymywano przed semaforami na czerwonym świetle.

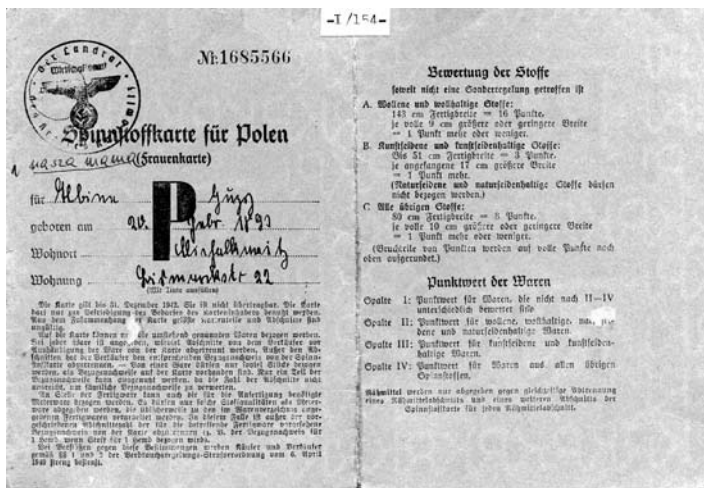
Zbliżał się kolejny dzień. Tryb życia na wagonach odbiegał od tego, do którego byliśmy w domu przyzwyczajeni. Każdy załatwiał się pod wagonami; od poprzedniego dnia nic ciepłego nie piliśmy, ani nie jedliśmy. Mycie odbywało się pod butelką z wodą, a o goleniu się brzytwą mężczyźni musieli zapomnieć. Zapominano też o wieczornej i porannej modlitwie, tylko starsza pani, gdy krzyk uciekinierów ją obudził oparła się plecami o burtę wagonu i zanuciła: „Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża rodzicielko”, ale nikt jej nie wtórował.

Był bezchmurny poranek – niedziela 3 września. Nie wiadomo nam było ile razy ciągu ubiegłej nocy nasz pociąg się zatrzymał i znów ruszał. Zajechaliśmy tylko kilka kilometrów dalej. Podczas tego postoju dokuczała nam ciasnota na platformie, bo zajmowało ją szesnaście osób, nie licząc ich tobołów, walizek, tekturowych pudełek załadowanych bielizną i innymi przedmiotami. Gdy ktoś chciał wyprostować kręgosłup lub rozruszać nogi musiał zejść z wagonu, co nie było zawsze możliwe. W południe najbardziej dokuczało nam palące słońce, pragnienie i brak wody. Niezależnie od odległości, jaka dzieliła nas od peronu, trzeba było do niego w różny sposób dojść, odszukać tam znajdujący się kran z wodą i spokojnie w kolejce czekać. Nie było to takie łatwe, gdyż pociąg nasz mógł w każdej chwili odjechać zaś powrót z napełnionym wodą wiadrem wzdłuż siedzących i leżących na peronie uciekinierów był tak trudny, że nieraz przynosiliśmy do wagonów tylko pół wiadra wody. Oczywiście taka ilość w dni upalne dla naszej pięcioosobowej rodziny była niewystarczająca. Dzieci często się gubiły mając kłopot z powrotem do swych wagonów.

Po wielogodzinnym postoju nasz pociąg znowu ruszył, ale posuwał się tak wolno, jakby ciągnął za sobą nie wiadomo jaki ciężar ładunku, lub przyczepioną dodatkową ilość wagonów. Okazało się, że na naszej kolei zapanował kompletny bałagan, a przepisy kolejowe nie miały w tamtej chwili żadnego znaczenia. Każdy maszynista parowozu jechał byle tylko do przodu i jak najdalej od posuwającego się frontu.

W poniedziałek kilka kilometrów przed Trzebiną na zachodniej części bezchmurnego nieba pojawiły się nadlatujące w naszym kierunku trzy samoloty. Ktoś powiedział, że to nasze. Pomachaliśmy im nawet, ale gdy znalazły się nad nami zauważyliśmy na ich skrzydłach czarne krzyże, a na ogonie dużą swastykę. Gdy wjeżdżaliśmy do miasta po raz pierwszy widzieliśmy na polu i łąkach głębokie leje po bombach, a na bocznicach kolejowej palące się cysterny kolejowe. Niewątpliwie sprawcami tego bombardowania były te same samoloty.

Niemiecka karta
uprawniająca do
zakupów artykułów
przemysłowych
– nazwisko
Albina Guzy (matka
Czesława), 1942 r.



Za Trzebinią w małej wiosce sznur naszych pociągów znów zatrzymał się. Jej pola i łąki przecinała szosa prowadząca do Krakowa, wzdłuż której posuwała się kolumna uciekinierów z tobołkami oraz wojskowe furmanki kryte plandeką. Mężczyźni i starsza młodzież opuszczali stojące na naspie kolejowym nieruchome pociągi i przyłączali się do posuwającej się ku wschodowi kolumnie uciekinierów. Nam natomiast wyczerpały się zapasy żywności i zmuszeni byliśmy szukać w pobliskich sklepach lub prosić mieszkańców o odsprzedanie tych towarów, które były nam najpotrzebniejsze. Większość sklepów znajdujących się w pobliżu torów kolejowych była zamknięta, zaś ich właściciele uciekli. Jeżeli ktoś zdecydował się pozostać i handlować dalej – cena towaru była kilkakrotnie wyższa.

W podobny sposób i w podobnych warunkach przeżyliśmy kolejny dzień. Dla nas – dzieci uciekinierów spędzanie upalnych dni na otwartych wagonach oraz w głębokim dziecięcym śnie ciepłych nocy mimo niewątpliwego strachu przyjmowaliśmy z pewnym humorem i nawet obojętnie. Po zmęczonych oczach rodziców i pozbawionych uśmiechu ich ustach było widać, że boleśnie przeżywają te dotychczas niezbrane im wydarzenia. Przed dziećmi starali się ukryć swój i zachować dawną twarz, ale im się to nie udawało. Choć tym samym pociągiem jechał nasz ojciec i pilnował służbowych akt oraz częściej zaglądał do naszego wagonu. Myśl o najbliższych godzinach nas wszystkich przerażała.

Podczas naszej podróży poznałem nowego kolegę, którego ojciec też pracował w policji. Nazywał się Stefan Linek i pochodził z Bańkowa. Razem chodziliśmy po wodę, wałęsaliśmy się po zatłoczonych peronach, ale najlepszą naszą zabawą było skakanie po stopniach wagonowych. Bardzo nas interesowała

też stojąca w przodzie lokomotywa. Przyglądaliśmy się każdemu jej urządzeniu, z którego wydobywała się sycząca, biała para. Zaglądaliśmy również do ciasnego i okopconego wnętrza parowozu, w którym maszynista ze swoim pomocnikiem palaczem wśród wielu przyrządów pomiarowych i różnego rodzaju dźwigni i zaworów, w piekielnym upale i potwornym smrodzie zmuszeni byli ciężko pracować.

Maszynista był przyjacielsko nastawiony do wszystkich uciekinierów jadących w jego pociągu. Pozwalał nam nalać sobie z jego parowozu ciepłej wody do mycia. Dzięki niemu w czasie dłuższych postojów mieliśmy okazję zdobyć coś do zjedzenia i zaspokoić nasz powiększający się głód i pragnienie. Znał dobrze tę trasę oraz ludzi zamieszkałych w pobliżu semaforów, przed którymi musiał się często zatrzymywać. W tych tragicznych dniach pozostawiał swój parowóz pod opieką palacza i sam z niektórymi uciekinierami chodził po wioskach i kupował dla nas żywność. Dzięki niemu niejeden uczestnik tej podróży przeżył.

Minęła kolejna noc. Z głębokiego snu zerwała nas znowu szarpanina naszym wagonem i głośny stukot kół przejeżdżających po nierównych rozjazdach torowych. Tego ranka tych rozjazdów było dużo więcej. Oznaczało to, że wjeżdżamy do większego miasta. Nasze koce, pod którymi przespaliśmy szczęśliwie tę noc tym razem były bardziej ciężkie i nasycone wilgocią mokrej rosy. Chłodny wrześnieowy wiatr spotęgowany szybką jazdą przenikliwie wyziębiał nasze ciała i usztywniał palce rąk i kolana. Tego uczucia w naszym domku rodzinnym myśmy nigdy nie doznaliśmy, marzyliśmy tylko o ciepłej pierzynie i o gorącym kozim mleku, które nam mama codziennie rano podawała.

Ktoś oznajmił, że dojeżdżamy do Krakowa. Znałem trochę dzieje tego miasta z lekcji historii w czwartej klasie, natomiast moi rodzice to miasto często zwiedzali. W tym dniu paniki, dezorganizacji życia i szalejącej wojny w Polsce my – ich dzieci miały wreszcie możliwość dawną stolicę zobaczyć.

Przed Krakowem zostaliśmy ostrzelani bronią maszynową. Nad naszymi głowami słychać było nie znany mi do tej pory znany gwizd pocisków i metaliczny dźwięk uderzających pocisków o stalowe podwozie naszego wagonu. Ktoś krzyczał, żebyśmy kładli się na podłogę, toteż dość długo leżeliśmy słuchając, że sprawcą tego była niemiecka grupa dywersyjna mająca na celu wywołać jeszcze większą panikę wśród ludności cywilnej.

Niedaleko peronów dworca głównego pociąg się zatrzymał. Po wodę ze szły z wagonów tylko dzieci, a to dlatego, by nasze miejsca nie były zajmowane przez innych uciekinierów, którzy siłą zajmowali każdy skrawek wolnego miejsca. Wreszcie udało nam się przedostać przez zajęty ludźmi i różnymi tobołami peron. Przyległa do peronu ściana budynku dworcowego



Bytkowanie w Wojsku Polskim

oklejona była różnymi propagandowymi plakatami, wzdłuż której przechodziły siostry zakonne częstujące dzieci ciepłą kawą zbożową. Niemal wszędzie było pełno dzieci, które siedziały na skraju peronu i przerzucały z ręki do ręki kamyki, potem je liczyły – była to pewnie jakaś nieznam nam gra. Nagle przez panujący tam hałas przedarł się krzyk i płacz matki rozpaczliwie nawołującej swoje zaginione dziecko. Dalej znowu słycać było przekleństwa pod adresem złodzieja, a kradzieży w tych tragicznych chwilach nie brakowało.

W głównej hali dworcowej pod nieaktualnym rozkładem jazdy pociągów na walizkach i tobołkach siedziała przerażona grupka biedoty żydowskiej, która opuściła swe

warsztaty rzemieślnicze i sklepiki, by wyjechać w strony bardziej spokojne. Ich pochodzenie zdradzały świeże jasne plamy po ogolonych brodach kontrastujących na opalonych słońcem twarzach.

Z dziecięcą ciekawością weszliśmy do restauracji dworcowej. Pod oknami leżeli jacyś ludzie bez bagażu. Przy bufecie nikogo nie było – świadczyły o tym puste półki, porozbijane kufle do piwa i kałuże rozlanego piwa na bufecie, którym poity się muchy. Pozostały po dawnej restauracji tylko porozrzucane po podłodze reklamowe podkładki pod kufle i mnóstwo papieru.

Przyległa do restauracji poczekalnia pierwszej klasy była zajęta przez młodych cywilów i harcerzy w mundurkach, którzy zgłosili się ochotniczo do wojska i czekając na rozkazy śpiewali „Wojenko! wojenko! Cóżes ty za pani, że za tobą idą chłopcy malowani” docierała do zatłoczonego peronu. Młodych słuchaczy mobilizowała i dodawał odwagi – starszych, którzy pierwszą wojnę światową szczęśliwie przeżyli – o drugiej nie chcieli nawet słyszeć. Gdy znów ruszyliśmy do przodu również, i nadzieja do nas wróciła, ale nie na długo, bo po paru minutach zatrzymaliśmy się przy wysokim hydrancie kolejowym, gdzie maszynista uzupełniał parowóz w wodę. Była to zawsze najlepsza okazja, byśmy i my zaopatrzyli się trochę używając różnych naczyń. Z tego miejsca było bardzo dobrze widać ulicę Krakowa i główną drogę prowadzącą do

Bochni, którą posuwała się niekończąca się kolumna uciekających z miasta cywilów. Na bocznych ulicach widać było stojące grupki mężczyzn z biało-czerwonymi opaskami na rękawach oraz z karabinami na ramieniu. Nikt jakoś nie przeszkadzał w plądrowaniu sklepów. Złodzieje wynosili wszystko co się dało. Było to nawet usprawiedliwione, gdyż magazyny w najbliższym czasie zostały zajęte przez Niemców. Dla dzieci był to szczęśliwy postój, bo ktoś z mieszkańców w Krakowa przerzucił nam przez burtę wagonu tekturową skrzynkę czekolad marki „Suchard”. Humory nam się nieco poprawiły, ale wolelibyśmy nieco konkretniejszych potraw.

Opuszczaliśmy historyczny Kraków – gdzieś w głębi serca pozostał żal, ale i nadzieja, że kiedyś po wojnie do niego powrócimy. Minęliśmy jakieś podmiejskie stacyjki kolejowe oraz podziurawione od pocisków broni pokładowej stawidła kolejowe i znów leje po bombach lotniczych oraz szkielety spalonych wagonów.

W nocy z czwartku na piątek, 8 września obudziła nas potężna eksplozja. Upłynęło kilkanaście minut, gdy pociąg się zatrzymał. Dowiedzieliśmy się od kolejarzy, że nasze wojsko w obawie, by pobliskie magazyny nie dostały się w ręce niemieckie, wysadziło je w powietrze. Informację tę przyjęliśmy, jak i inne – ze względnym spokojem – na przykład, że Polacy zajęli Gliwice, że Francuzi wypowiedzieli wojnę Niemcom i walczą już na froncie zachodnim. Najsmutniejsza była wieść, iż cały Górny Śląsk zajęło wojsko niemieckie. Były i takie, że jesteścieśmy okrążeni i w najbliższych godzinach zostaniemy zabrani do niewoli.

Znaleźliśmy się w Bochni. W porannych promieniach słonecznych główną drogą w kierunku Brzeska posuwała się na wschód chyba ta sama niekończąca się kolumna uciekinierów, którą widzieliśmy za Krakowem. Byliśmy wtedy świadkami ostrej sprzeczki pomiędzy naszymi rodzicami, ponieważ mama chciała opuścić wagon i schronić się z nami u jakiegokolwiek gospodarza, natomiast ojciec z dokumentami, za które odpowiadał, chciał jechać dalej wraz z innymi policjantami. Pociąg znowu ruszył – tym razem we mgle, która właśnie opadła – w taką pogodę lotnictwo nie dokonywało nalotów. Dopiero po południu, gdy mgła ustąpiła nadleciały dwa samoloty ze swastyką i ostrzelały karabinami maszynowymi idących drogą uciekinierów oraz znajdujący się przed nami pociąg. Widoczność wtedy była na tyle dobra, że na zakrętach widzieliśmy jak na dłoni wszystkie znajdujące się przed i za nami pociągi. W tym dniu z powodu częstych nalotów dzieciom nie było wolno opuszczać wagonów, toteż z powodu braku wody i niektórych artykułów żywnościowych głód i pragnienie coraz bardziej wszystkim doskwierały. Do tego brakowało nam już od kilku dni denaturatu niezbędnego do piecyka spirytusowego. Z tego powodu od kilku dni nie mieliśmy nic ciepłego w ustach. Mama, podobnie jak

w poprzednie dni, siedziała na wiklinowym koszu z bielizną z nałożoną na głowie chustą, która zasłaniała jej smutną twarz i zapłakane oczy. Z pewnością wiele myślała o najstarszym 19-letnim synu i jej 76-letniej matce, która pozostała w domu. Smutną atmosferę pogłębiał dodatkowo płacz kilkumiesięcznego dziecka, które podczas postoju zostało przerzucone z młodą mamą do naszego wagonu. Do tej pory niemowlę było spokojne – teraz z powodu braku odpowiedniego pożywienia rozchorowało się.

Wieczór, już ostatni na wagonach, był na ogół spokojny. Ruszyliśmy znowu w kierunku Tarnowa. Na ciemnym niebie pojawiały się nieregularne błyski. Jedni twierdzili, że nadchodzi burza, inni, że zbliżający się front. Do podobnych wiadomości byliśmy przyzwyczajeni, ale do ostatniej, że maszynista parowozu i jego pomocnik mają zamiar pozostawić pociąg na łasce losu, odejść i przyłączyć się do kolumny uciekinierów, nie byliśmy przygotowani. Wiadomość ta całkowicie nas przeraziła. Modliliśmy się tylko, by nasz pociąg – widmo już się więcej nie zatrzymał. Z tymi myślami kto był w stanie zasnąć na swoim legowisku to zasypiał, natomiast większość z koszmarnymi myślami nadal walczyła jeszcze przez kilka godzin. Następnego dnia w godzinach porannych z kierunku południowo-zachodniego nadleciały niemieckie sztuki, przeleciały nad naszymi głowami i poleciały w kierunku Brzeska. Usłyszeliśmy potężne wybuchy bomb lotniczych. Po kilkunastu sekundach z tego samego kierunku ponownie nadleciały i tym razem ostrzelały zarówno nasz pociąg, jak i te jadące przed nami. W tym momencie zatrzymaliśmy się – kto był w stanie z wysokiej platformy kolejowej, zszedł lub zeskoczył i ukrył się tam, gdzie tylko można było. Mama i inne kobiety z pociągu nie były w stanie zejść z wagonu. Wielu uciekinierów chowało się pod wagonami, ale my z ojcem schowaliśmy się w rowie porośniętym krzakami, którym odprowadzane były cuchnące ścieki miejskie. Po kilku chwilach względnego spokoju powróciliśmy do półprzytomnej mamy i naszych tobołków. W obawie przed następnym nalotem postanowiliśmy jak najprędzej opuścić pociąg, ale jakby na złość maszynista parowozu ruszył w kierunku zbombardowanego dworca kolejowego, gdzie czekało prawdziwe pobojuwisko. Przed szlabanami na drodze polnej leżał przy furmance zabity koń, a jego woźnica stał cały zakrwawiony machając rękami. Pociąg zatrzymał się, bo z powodu uszkodzonych bombami torów i rozjazdów kolejowych dalej nie był w stanie jechać. Opuściliśmy wagon. Zabraliśmy z sobą tylko tyle, ile byliśmy w stanie unieść. Szliśmy z tobołkami wzdłuż torów kolejowych. Dym i smród palących się wagonów i wszystkiego, co na nich się znajdowało, zapierały dech. Do dzisiaj pamiętam ludzkie zwłoki, rozprute pierzyny, z których wiatr rozrzucał po torach białe pierze i różnego koloru i kształtu papiery. Straciliśmy rachubę czasu. Słońce

było już dość wysoko i wskazywało na godziny przedpołudniowe. Na błękitnym niebie widoczne były białe pojedyncze obłoki, które zmieniały swój kształt i wolno przesuwały się ku północy. Z niepokojem patrzyliśmy na nie, gdyż często z wyłaniały się z nich samoloty ze swastykami. Nareszcie pozostawiliśmy za sobą stację kolejową Brzesko-Suchotwinę niedaleko Bogumilowic. Potem wraz z grupką uciekinierów szliśmy polną dróżką w kierunku widocznego w dali lasu, by tam schować się przed nalotami i odpocząć, a później pod osłoną nocy szukać jakiegokolwiek domu wiejskiego, by w nim choć raz jeszcze przed nadejściem frontu trochę się umyć, przespać i najeść do syta. Nareszcie dotarliśmy do lasu, gdzie w cieniu drzew w pobliżu poznanego w podróży piekarza z Chorzowa znaleźliśmy skrawek wysuszonego trawnika. Rozłożyliśmy na nim koce i zmęczeni zasnęliśmy. Nie minęła może nawet jedna godzina gdy zapach palących się gałęzi i pieczonych kartofli. Pamiętam, że ktoś nas nimi częstował ale nie pamiętam ile ich zjadłem, bo nagle zasnęłem.

Później w drodze do lasu staraliśmy się u gospodarzy coś do zjedzenia zakupić, lecz oni tłumaczyli się, że im wojsko zabrało lub uciekinierom, którzy przed nami tędy przechodzili sprzedali. Należy ze smutkiem dodać, że byli i tacy, którzy wodę ze studni po 50 groszy za litr sprzedawali. Nadeszła ciemna i bezksiężycowa noc. Długo się wszyscy naradzali, czy pozostać w lesie i pozwolić się zabrać do niewoli, czy uciekać dalej. Jednak większość, bojąc się ostrzału artyleryjskiego, zadecydowała jak najprędzej opuścić to miejsce i połączyć się z kolumną uciekinierów. Nocą szło nam się bezpieczniej i nie dokuczało słońce, a chłodne i wilgotne powietrze nie powodowało takiego pragnienia. Tylko rozjaśnione czerwonym blaskiem poszarpane chmury na niebie wskazywały na to, że gdzieś niedaleko od nas pali się wioska.

Rano dotarliśmy do małego miasteczka Radłów. Po zjedzonym tam śniadaniu mama z młodszą siostrą pozostała w gospodarstwie państwa Maliszewskich. Ja zaś z ojcem i starszą siostrą przyłączyliśmy się do uciekającego w popłochu wojska i cywilów. W tym dniu miasto Radłów zostało zajęte przez wojsko niemieckie.

Po całodniowym marszu w kolumnie uciekinierów dotarliśmy do Dunajca, przez którą to rzekę nie można było się już przeprawić, z powodu wysadzenia w powietrze jedyne w tej okolicy mostu. Do tego jeszcze potwierdziły się wiadomości, że znaleźliśmy się w kotle, czyli zostaliśmy przez wojsko niemieckie okrążeni. W tej sytuacji nie mogliśmy dalej uciekać. Jedynym wyjściem było poszukać w tej wiosce odpowiedniej stodoły, by w niej odpocząć i przeczekać do chwili przejścia pierwszej linii frontu. Wszystkie te stodoły kryte papą lub dachówkami były już przepełnione uciekinierami.

Tylko jedna stodoła kryta słomą i przylegający do niej domek gospodarza był wolny od uciekinierów, toteż ze względu na dzieci gospodarz nas przygar-
nął. Sprzedał nam trochę razowego chleba, wędzonego boczku i kwaśnego mle-
ka, potem udostępnił nam swoją małą komórkę z wyłożoną cegłami podłogą
i wrzucił do niej dość dużo słomy, by nam się na niej dobrze spało. Ojciec – stary
frontowiec z pierwszej wojny często z gospodarzem wychodził z domu i rozma-
wiali o zagrożeniach na jakie byliśmy narażeni, a to z powodu znajdujących się
dużych kopców suchego siana i słomy tuż przy naszych zabudowaniach.

Tej nocy nikt w naszej wiosce nie spał. Powodem była zbliżająca się ka-
nonada artyleryjska i coraz głośniejsze wystrzały dział i rakiet oświetlają-
cych całą naszą wioskę. Czekaliśmy tylko niespokojnie na chwilę, gdy jakiś
przelatujący nad nami pocisk artyleryjski spadnie na nas. Rano zobaczyliśmy
wstrząsający widok pobojowiska i jego uśmiechniętych zdobywców myjących
się przy naszej studni. Pałące się w polu kopce siana, w rowie pozostawione
działo artyleryjskie i skrzynie nie odpalonych pocisków, dalej na przyczepie
podziurawione pontony służące do przepławiania się przez rzekę i znowu
zabite konie. Bliżej wioski znajdowały się dwie wywrócone kołami furmanki
z rozbitymi skrzyniami i porozrzucanymi wokół nich aktami. Zobaczyliśmy też
zmęczoną grupkę polskich jeńców wojennych, którzy oczekiwali na przewie-
zienie do obozu jenieckiego. W południe, gdy w wiosce się trochę uspokoiło,
szukaliśmy czegoś do zjedzenia. Na płotach i na ścianach zabudowań zostały
już porozklejane zarządzenia niemieckich władz wojskowych, by miejscowa
ludność i przybyli tam uciekinierzy oddawali posiadaną broń palną. W przy-
padku niedostosowania się do tego zarządzenia wojskowy sąd polowy mógł
wydać karę śmierci. Drugie podobne zarządzenie dotyczyło wszystkich ucie-
kinierów, by obowiązkowo zgłosili się w urzędzie gminnym. I właśnie tam nas
zarejestrowano i spisano nasz rodowód. Polaków pochodzenia żydowskiego
natychmiast odtransportowano, natomiast nas dopiero w następnym dniu od-
wieziono do Krakowa, a stamtąd do Katowic.

W tym początkowym okresie wojennej zawieruchy nasza rodzina została
zupełnie rozproszona. 76-letnia babcia Karolina samotnie pilnowała pozostaw-
ionego w Bytkowie naszego domku jednorodzinne. Mój 19-letni brat Alojzy
już 3 września opuścił Bytków i z innymi kolegami przekroczył granicę polsko
– rumuńską, a we Francji wstąpił do Armii Polskiej gen. Władysława Sikorskie-
go. Natomiast mama z moją 14-letnią siostrą pozostała w Radłowie. Wreszcie
wracaliśmy – ja najmłodszy 11-letni chłopiec, moja 18-letnia siostra i ojciec –
z najdłuższej i dramatycznej podróży do naszego Bytkowa zupełnie wyczerpani.
Powróciliśmy wzbogaceni o nowe przeżycia i doświadczenia, które być w jakiś
sposób może pomogły nam przetrwać i nieco uodpornić się na tę okropną wojnę.

Powróciliśmy do naszego domu, do którego również ze swej tułaczki dwa dni wcześniej wróciła mama z moją młodszą siostrą i znów byliśmy razem. Wspólnie przypadło nam znosić wojenne troski i trudy jakimi nas los obdarował. Wróciliśmy do tego samego mieszkania, ale już do zupełnie innego Bytkowa. Na niektórych budynkach po uroczystościach powitalnych wojsk niemieckich wisiały czerwone flagi z czarną swastyką, a w oknach wystawowych portrety Hitlera. Ulice Bytkowa zostały już przemianowane na Göringstrasse, Bismarkstrasse, natomiast nasza szkoła na Horst Wesselschule, a Plac Wolności (obecnie Plac Skrzeka i Wójcika) na Eichendorf Platz. Wszystkie inne polskie napisy z tablic i szyldów zostały usunięte i konsekwentnie zastąpione niemieckimi. Najwięcej było rozwieszonych afiszy o treści: „Wer Polnisch spricht ist unser Feind” („Kto po polsku mówi jest naszym wrogiem”). Polacy chodzili po Bytkowie ze spuszczoneymi głowami i tylko wtedy pojawiali się, gdy musieli coś załatwić. Niemcy, natomiast upojeni zwycięstwem wykrzykiwali na ulicy swoje hasła hitlerowskie, śpiewali pieśni i słuchali przy włączonych na cały regulator odbiornikach radiowych pieśni niemieckich i tryumfalnych przemówień.

Już w pierwszych dniach po naszym powrocie do nowej rzeczywistości praca i nauka zawodu zależna była od humoru sprowadzonej z Niemiec pracownicy niemieckiego urzędu zatrudnienia, czyli Arbeitsamtu. Ona to bowiem kierowała do pracy i nauki wszystkich, którzy się nadawali oraz tych, którzy ukończyli 14 rok życia. Ojciec skierowany został do ciężkiej pracy przy wysokich piecach w hucie „Laura” (po wojnie „Jedność”), gdzie z tytułu bycia Polakiem potrącano mu 15% zarobku. Starszą siostrę skierowano do niemieckiego warsztatu krawieckiego, zaś młodsza trafiła do ciężkiej pracy w miejscowym browarze. Mnie czekały jeszcze trzy klasy niemieckiej podstawówki, które z powodu braku niemieckich nauczycieli rozpocząłem dopiero wiosną 1940 roku. Do tej pory pomagałem miejscowym gospodarzom, by tylko zarobić na chleb i maślankę, nieraz na wiadro kartofli. Należy pamiętać, że w tych latach żywność, odzież i opał były towarami reglamentowanymi, czyli na kartki żywnościowe, odzieżowe i opałowe. Natomiast Polacy – w tym i nasza rodzina posiadała karty żywnościowe z literą „P”, czyli należny przydział był jeszcze bardziej zmniejszony. Po ukończeniu niemieckiej podstawówki w lipcu 1942 roku, w wieku 14 lat, nasz Arbeitsamt wysłał mnie w głąb Niemiec na przymusowe roboty w gospodarstwie rolnym.

**WOKÓŁ PROBLEMATYKI
PIĘKNA, ARTYSTY,
DZIEŁA SZTUKI**

CZYM JEST PIĘKNO? WSPÓŁCZESNA ESTETYKA TEOLOGICZNA

O sztuce. Słuchając chóru z Zadola w Domu Księża Emerytów

*grając dotykam żółtych kości i trumiennego hebanu
malując używam sierści nieżyjących zwierząt rzeźbiąc
wstępuję jak w wąwóz w śmiertelny chłód kamienia
pisząc pokrywam czarnymi znakami całun w którym
szeleszczą zabite drzewa*

(ks. J. St. Pasierb, *Sztuka*)

*Nigdy nie wiadomo, czy się pojawi.
Więc bywa – jeśli jest – niespodzianką;
i zawsze darem.
Z wysoka. Stamtąd.*

*Najpierw robi się niewielka rana.
To skalpel sonaty nacina skórę.
Potem plamy kolorów powodują zaburzenia wzroku
a strużki ciemnej krwi wypływają spomiędzy słów zderzonych
w gęstej linii wiersza.*

*Nie zawsze przynosi to katharsis.
Czasem źródło oczyszczenia wysycha
z nieznanej przyczyny.
Musi wówczas wystarczyć dreszcz.*

*I szloch: że dzieje się to wszystko naprawdę.
I że nawet jeśli piękno nie jest możliwe teraz, to jest możliwe jego przecucie.
I że sercu coraz trudniej znieść wygnanie.*

1. Estetyczne pradoświadczenie

Opowiadając o swojej duchowej biografii, zwłaszcza o odkrywaniu powołania, Joseph Ratzinger nieraz uzasadniał swoje życiowe decyzje „odnalezieniem Boga w pięknie i tajemnicy starej liturgii rzymskokatolickiej”¹. „Aspekt

estetyczny – mówił w wywiadzie – miał tak przemożny wpływ, bo przeżywałem prawdziwe spotkanie z Bogiem”². A tam, gdzie jest prawda i Bóg, tam zawsze występuje nadwyżka piękna – to elementarne pradoświadczenie estetyczne ludzkości... Wyznania tego rodzaju są zgodne z augustyńskim znamieniem teologii (i całej postawy egzystencjalno-religijnej) Ratzingera, choć jednocześnie przyznanie tak decydującej roli pięknu i estetyce budzi niemałe zdziwienie i konsternację u tych, dla których Benedykt XVI jest wyłącznie obrońcą pewnego typu konserwatywnej „dogmatycznej” racjonalności. Tymczasem zagadnienie wzajemnej relacji piękna, rozumu i wiary, czyli odniesienia estetyka–teologia – kwestia budząca współcześnie spore emocje w debatach na temat metodologii teologii, zwłaszcza w kręgach obrońców wąsko rozumianej naukowości *scientiae fidei* – jest tak ważna dla Ratzingera, że aż decydująca dla istoty jego metateologicznej refleksji.

Jakie jest miejsce sztuki w życiu Kościoła, a tym samym w teologii? Jak głęboko sięga związek rozumu i piękna we wnętrzu teologii, w epistemologii teologicznej, w fenomenie chrześcijańskiego myślenia i poznania? Czy są istotnie od siebie zależne, czy też mogą funkcjonować niezależnie od siebie i bez szkody dla własnej i teologii tożsamości? To znaczy czy niepiękna rozumność oraz nierozumne piękno są możliwe w teologii i neutralne (przynajmniej) dla efektów jej poznania? Radykalizm ujęcia tej kwestii przez J. Ratzingera/Benedykta XVI jest – mimo wszystko, to znaczy głównie mimo znacznego augustyńskiego charakteru i temperamentu jego myślenia – zaskakujący. Oto kiedy w *Raporcie o stanie wiary* mówi Vittorio Messoriemu o sztuce jako o istotnym elemencie apologii chrześcijaństwa, sztuce „płynącej z wnętrza wspólnoty wierzących”, sztuce, dzięki której „Bóg staje się nam bliższy” (bliskość owa jest w sztuce, a nie ma jej częstokroć „w chytrych wybiegach apologetyki” – dodaje³) konkluduje:

„[...] teolog nie kochający sztuki, poezji, muzyki, natury, może być niebezpieczny. Tu bowiem ślepotą i głuchotą na piękno nie jest sprawą drugorzędną, lecz może wycisnąć piętno także na jego teologii”⁴.

Teologia, która powstaje z takim piętnem (ślepoty i głuchoty na piękno), jest – jak wynika z kontekstu wypowiedzi Kardynała – „barbarzyńska”⁵ (w starożytnym sensie tego określenia).

2. Równowaga Tajemnicy

Głębi i zdrowej równowadze w relacji piękno–rozum/wiara grożą głównie dwa niebezpieczeństwa. Pierwsze polega na deprecjacji (apriorycznej bądź aposteriorycznej, czyli wynikającej z założeń teoriopoznawczych albo też z negatywnych doświadczeń „zachwianych proporcji” na niekorzyść *ratio* w naukowych procesach poznawczych) kategorii *kalos*. Postawa ta – nierządka

w kręgach „zawodowych” teologów – podyktowana jest lękiem (niestety uzasadnionym w niektórych przypadkach) przed irracjonalizmem i estetyzmem kalocentrycznych ujęć teologicznych. Prowadzi ona do jawnego bądź zawołanego lekceważenia roli piękna w teologicznych procesach poznawczych, w pastoralnym przełożeniu tychże i we wszelkiego rodzaju ich konsekwencjach. Jak głęboko tkwi ona w świecie naukowej teologii pokazały kilka lat temu reakcje niektórych teologów na sam fakt opublikowania przez Jana Pawła II *Tryptyku rzymskiego* – poematu, a nie kolejnej encykliki. *À propos* encykliki. O swoim rozczarowaniu *Caritas in veritate*, trzecią encykliką Benedykta XVI, tak mówił tuż po publikacji dokumentu jeden z komentatorów:

„Spodziewałem się, że Benedykt XVI zabierze głos jako uniwersalny duszpasterz i wielki niemiecki profesor, a okazuje się, że jest tu sporo fraz poetyckich oraz postulatów, ale brakuje mi definicji i systematyki”⁶.

Czy zrobił to o. Maciej Zięba mniej czy bardziej świadomie, wypowiedź ta jest wyrazistą ilustracją zjawiska: poetyckość jest przeciwstawiana duszpasterstwu, profesurze, definiowaniu i systematyce. „Fraza poetycka” jest tu epitetem, definicja i systematyka – pochwałą. Jakby w każdym wypadku (i niejako automatycznie, sama z siebie) konceptualna ścisłość pojęcia wносиła do procesów poznawczych więcej światła i wiedzy niż głębia obrazu bądź metafory...⁷ W każdym razie niebezpieczeństwo tego typu teologii (nieufnej wobec kategorii piękna, niedoceniającej epistemologicznej potencji sztuki) polega m.in. na tym, że „po cichu” (nieświadomie?) wspiera ona tendencje technokratyczne w myśleniu i postrzeganiu rzeczywistości, przechodząc na „stronę racjonalistyczną”, dość odległą od kategorii Tajemnicy (*Mysterium*), naturalnej i istotnej dla *scientiae fidei*.

Drugie niebezpieczeństwo polega na emancypacji piękna, na „wyłuskaniu” go z jakichkolwiek ontycznych, egzystencjalnych i etycznych zależności, na takiej jego autonomizacji, która prowadzi prostą drogą do idolatrii bożka *kalos*. Oto estetyka w znaczeniu „nowoczesnym” (postrenesansowym, nowożytnym): „ogład piękna, które nie chce już wskazywać poza siebie, lecz będąc pięknem tego, co się ujawnia, ostatecznie wystarcza samo sobie”⁸. To wyemancypowane (od rozumu, dobra, prawdy – ostatecznie od wiary i Boga) piękno jest tak podobne do „siebie prawdziwego” jak Antychryst do Chrystusa: mieni się absolutem, spełnia rolę *Ersatz* religii, występuje z ofertą zbawienia, którego samo jest gwarancją, spełnieniem i kresem. „Piękno zbawi świat” – u Dostojewskiego i w *Liście do artystów* Jana Pawła II – budząc zachwyt i skrucę, prowadząc – przez siebie – poza siebie, w Boga. Tu, wyemancypowane, autonomiczne, oderwane od prawdy (głównie od prawdy o sobie) i w konsekwencji od aksjologii, staje się płaskie, proponuje siebie (sztukę) jako ostateczność – jak

tragiczny drogowskaz wskazujący sam siebie. Owocuje to dwoma postawami, pozornie tylko skrajnymi: zakłamaniem piękna, jego krzykliwością i pewnym „zamknięciem drogi” (porównywalnym do autoerotyzmu) oraz zwątpieniem w nie – kultem brzydoty wyrosłym na gruncie odkrycia oszustwa piękna, „nowej” (brutalnej i okrutnej) „prawdy” o świecie...

3. Sztuką – wiara, Chrystus – poezją

Do wszystkich tych odmian zagrożeń estetyki teologicznej przyjdzie nam jeszcze wrócić szczegółowiej i głębiej. Tu jedynie ich sygnalne przywołanie i opis. Dopiero bowiem na ich tle można lepiej i głębiej zrozumieć koncepcję estetyki teologicznej proponowanej przez Benedykta XVI, docenić trafność diagnozy i leku. Jest to estetyka wolna od niedoceniań, jak i od przeceniania kategorii *kalos* w ludzkim świecie, przyznająca pięknu oryginalną i nieredukowalną rolę w poznaniu teologicznym oraz – co najważniejsze – estetyka głęboko chrystocentryczna. Jest to więc refleksja typowa w swoim jednoczesnym wyważeniu i radykalizmie dla J. Ratzingera/Benedykta XVI, *par excellence* chrześcijańska, rzekłbym – świadomie paulińska w swoim radykalnym chrystocentryzmie („aby wszystko na nowo zjednoczyć w Chrystusie jako Głowie” – ἀνακεφαλαιώσασθαι, „ugłowić”, Ef 1,10). Wzorem dla Ratzingera – o czym świadczy kontekstualność jego chrystocentrycznych tez i liczne wzmianki *implicite* – są wybory młodego chrześcijaństwa, które dokonywało chrystologicznej transpozycji wielu warstw dorobku starotestamentalnej i antycznej kultury (np. psalmów⁹) oraz radykalnego wyboru Chrystusa w swoich świętych – ludzi kultury, uczonych i artystów. Z predylekcją cytuje podczas jednej ze środowych katechez linie wiersza Paulina z Noli (353/54–431): „Dla mnie jedyną sztuką jest wiara, a Chrystus moja poezją” (*At nobis ars una fides, et musica Christum* [Pieśń 20,32])¹⁰, Paulina, który po nawróceniu nie porzucił talentu poetyckiego ani uprawiania poezji, ale swoją artystyczną wrażliwość podporządkował nowej estetyce, „ugłowił” (por. Ef 1,10) swoją sztukę w Chrystusie, którego stał się piewca¹¹.

4. Ma wdzięk czy nie ma wdzięk?

Elementy rozumienia nowej estetyki są rozproszone w wielu dziełach J. Ratzingera/Benedykta XVI, ale istnieje tekst (powstały w pierwszych latach XXI wieku), który zbiera i porządkuje najważniejsze intuicje w tej dziedzinie. Nosi tytuł: *Verwundet vom Pfeil des Schönen. Das Kreuz und die neue „Ästhetik” des Glaubens – Zraniony strzałą piękna. Krzyż i nowa „estetyka” wiary*¹². I jego struktura – wzbogacona tezami z innych tekstów i poddana interpretacji niżej podpisanego – stanowi stelaż poniższego szkicu teologicznej estetyki.

Rozpoczyna ją Ratzinger od wydobycia przejmującego, obecnego w chrześcijańskiej liturgii godzin, paradoksu. Oto Psalm 45 (w brewiarzu są to nieszpory poniedziałku drugiego tygodnia), psalm będący opisem zaślubin króla, jego piękna, cnót, a w dalszej części także hymnem na cześć jego małżonki, w okresie zwykłym w ciągu roku, a także w Wielkim Poście zostaje opatrzone antyfoną, którą jest trzeci wers utworu: „Najpiękniejszy jesteś spośród synów ludzkich, wdzięk się rozlał na twoich wargach”. Natomiast w poniedziałek Wielkiego Tygodnia antyfonę stanowi werset z Deutero-Izajasza (Iz 53,2): „Nie miał On wdzięku ani blasku, aby na Niego popatrzeć, ani wyglądu, by się nam podobał”¹³.

„Jak to rozumieć?” – pyta Ratzinger¹⁴. Najpiękniejszy z ludzi staje się odpychający... Chrystus (bo On jest w odczytaniu Kościoła bohaterem tego tekstu, a Jego małżonką – Kościół) ma wdzięk czy nie ma wdzięku? Jest kimś pięknym (najpiękniejszym), czy też kimś pozbawionym blasku i wyglądu?

Ratzinger proponuje szukanie rozwiązania tego paradoksu (bo nie jest to logiczna ani egzystencjalna sprzeczność skoro od tego samego Ducha pochodzi biblijna treść obu antyfon) na – jakżeby inaczej – augustyńskiej drodze. „Grecka filozofia piękna została w tym miejscu [...] dramatycznie zakwestionowana. Trzeba [...] na nowo zapytać o to, czym jest piękno, trzeba go [...] doświadczyć w inny sposób [*podkr. J.Sz.*]”¹⁵ – pisze, powołując się na intuicje Autora *Wyznań*. W paradoksalnym zderzeniu dwóch antyfon w postaci Chrystusa – Najpiękniejszym a bez wyglądu i blasku, pełnym wdzięku i pozbawionym wdzięku zarazem, tkwi jakaś głębsza prawda o życiu i tajemnicy piękna, jakiś zarys nowego kształtu estetyki. Jaki?

Kto wierzy w Boga Jezusa Chrystusa, ten wie, że „piękno jest prawdą, a prawda – pięknem”¹⁶. I właśnie *Mysterium Christi* poucza nas, że piękno prawdy i prawda piękna obejmują „okaleczenie, ból, a nawet mroczną tajemnicę śmierci, i że piękno to można odnaleźć tylko przez przyjęcie bólu, a nie niezależnie od niego”¹⁷. Już Wcielenie jest ukryciem chwały Słowa, zasłonięciem piękna, rezygnacją z Boskiego wdzięku. Syn godzi się na uniżenie i ogołocenie (Flp 2,7–8), a człowieczeństwo Chrystusa jawi się jako „skrajny brak piękna” (Cyryl Aleksandryjski) w zestawieniu z niezrównanym pięknem Boga¹⁸. Ale dopiero męka i śmierć dotykają jądra kwestii: chodzi o miłość, która jest istotą nowej estetyki i kluczem do jej zrozumienia, i jedyną przestrzenią, w której możliwe jest zobaczenie zachwycającej prawdy tego piękna. To miłość godzi się na oszpecenie, w którym to akcie mieści się cała synteza piękna i prawdy: wolność, absolutna bezinteresowność, niezgłębiona wielkość daru z siebie, zgoda na rezygnację z piękna, z jego autonomii, podporządkowanie go dobru drugiego – miłości właśnie. Radykalizm proegzystencji. Dlatego Ukrzyżowany jest „obrazem Boga niewidzialnego” (Kol 1,15).

5. Rana miłości

Zgoda na miłość jest zarazem zgodą na zranienie; druga jest immanentnie zawarta w pierwszej. Komunikat kochającego, czyli najgłębszej prawdy na temat miłości brzmi w tej sprawie następująco: nic nie powstrzyma mojej woli miłości. Nic – nawet cierpienie, ani jego realna perspektywa, ani faktyczność. Ani jego nieuchronność – w doczesnym horyzoncie. Cokolwiek i jakkolwiek będzie – chcę i będę miłował. Ból nie powstrzyma miłości.

Że nie ma niczego piękniejszego (tu wracamy do kategorii *kalos*) od gotowej cierpieć bezwarunkowości miłości – o tym mówi i tego dotyczy w swej istocie Wydarzenie Jezusa Chrystusa, jego Osoba i dzieło. On jest najdoskonalszą syntezą piękna, miłości i bólu. Jej znakiem jest rana miłości, rana Jego serca. To o niej mówił Pius XII w poświęconej kultowi Serca Jezusowego encyklice *Haurietis aquas* z 1956 roku, cytując świetną frazę z *Mistycznej winnicy (Vitis mystica)* Bonawentury: „Rana ciała ukazuje więc duchowa ranę... Poprzez tę widzialną ranę oglądamy niewidzialną ranę miłości”¹⁹. Ona to, rana miłości, ma wewnętrzny, głęboki związek z pięknem – na nie wskazuje i przez nie bywa zadana. Piękno, raniąc, porywa w stronę miłości. Taki jest sens zadania, które płynnie przechodzi od „rany miłości” Serca Jezusowego do „rany miłości” serca Jezusowego ucznia, cały czas wiążąc organicznie piękno, miłość i ból: „w Jezusie rozblyska [...] piękno prawdy, piękno samego Boga, które nas porywa, zadając nam niejako ranę miłości, budząc w nas święty eros popychający nas wraz z oblubienicą-Kościółem ku miłości, która nas wzywa”²⁰ i ukazując nam – nie dodatkowo, obok tego procesu, ale w samym jego wnętrzu, tym samym – prawdę piękną.

6. Katharsis

Rana miłości, rana zadana przez piękno, które nas w ten sposób „porywa” każe dostrzec autentyczne korzenie tego modelu myślenia, odsyłając do tzw. teorii katartycznej, którą spotykamy w filozofii i poetyce helleńskiej już w V w. przed Chr. Znajdujemy ją m.in. u Gorgiasza, a pełniejsze jej rozwinięcie u Arystotelesa, Platona²¹. Najogólniej polega ona na oczyszczeniu wewnętrznym (*katharsis*) odbiorcy sztuki poprzez wstrząs psychiczno-uczuciowy, jakiego doznaje się obcując z pięknem. Sztuka może spełniać funkcję oczyszczającego podprowadzenia w stronę dobra – to pogląd Greków, będący już przedsięwzięciem chrześcijańskiej idei sztuki (literatury zwłaszcza) jako *praeparatio evangelica*, pojęcia związanego bezpośrednio z postacią Euzebiusza z Cezarei, ale charakterystycznego dla myślenia całej epoki Ojców²².

Ratzinger w konstrukcji „nowej estetyki” teologicznej wyraźnie nawiązuje do antycznej *katharsis*, najwyraźniej do Platona, a chrystianizację idei przedstawia następująco:

„Dla Platona decydująca była kategoria piękna: to, co piękne, i to, co dobre, czyli Bóg, są jednym. Doświadczając piękna, zostajemy do głębi zranieni, a to zranienie porywa nas w górę, ponad nas samych, budzi tęsknotę i w ten sposób prowadzi w kierunku tego, co prawdziwie piękne, w kierunku samego dobra. W teologii ikony zachowało się coś z owej platońskiej zasady, nawet jeśli platońska idea piękna została przemieniona przez światłość Taboru. Koncepcja Platona została dogłębnie przekształcona także przez związek wizji stworzenia, chrystologii i eschatologii, co nadaje elementowi materialnemu nową godność i nową wartość”²³.

Spotkanie z pięknem jest ozdrowieńczym wstrząsem, który porywa człowieka i wyprowadza go poza niego samego – oto Platon (choćby w *Fajdroście* czy *Uczcie*). Przekształcony przez Wcielenie platonizm – i właśnie taki bliski Ratzingerowi – kwintesencję piękna widzi w Chrystusie, a wyprowadzenie „poza siebie samego” wiedzie ku Bogu, w Jego stronę. Dodatkowych argumentów dostarcza tu św. Tomasz, kiedy w kontekście rozważań na temat liturgii pisze, że „przez oddawanie Bogu chwały człowiek wznosi się ku Niemu” (*...homo per divinam laudem affectu ascendit in Deum*)²⁴. Owo *ascendit* jest tożsame z „porwaniem w górę”, dokonuje się pod wpływem tego samego doświadczenia – wstrząsu/zachwytu w spotkaniu z pięknem. Na tym polega przemieniająca moc piękna – „wielkiej liturgii, wielkiej sztuki, wielkiej muzyki”²⁵: porusza wewnątrz odbiorcy, odrywa od tego, co przeciwne Najwyższemu pięknemu, wznosi ku Bogu. Zadając ozdrowieńczy ból. Właśnie to było też doświadczeniem św. Augustyna, płaczącego w Mediolanie pod wpływem śpiewającego Kościoła, płaczącego z zachwytu, wstrząsu wewnętrznego, bólu nawrócenia, doświadczenia ukojenia („Twoja prawda ściekała kroplami do serca” – pisze w *Wyznaniach*)²⁶.

Piękno boleśnie (poprzez cierpienie) wyrывa człowieka z marazmu i wygody, z leniwego uśpienia; trąca ono bowiem wewnętrzną strunę tęsknoty, napiętą i czułą, strunę przeczucia jak mogłoby być – w tym znaczeniu wytrąca z kolein, w których gnuśniej żyje: „człowieka trafia strzała tęsknoty, rani go, ale jednocześnie uskrzydla, pociąga go w górę”²⁷. Chyba nikt nie wyraził tej trudnej do wyrażenia prawdy celniej (i piękniej właśnie) niż XIV-wieczny prawosławny teolog Mikołaj Kabasilas w swojej *Księżce o życiu w Chrystusie*. Pisał:

„Ludzie mający w sobie potężną tęsknotę, która przekracza ich naturę, tak że pragną oni więcej niż to przysługuje człowiekowi, zostali zranieni przez samego Oblubieńca; ich oczy zostały dotknięte promieniem Jego piękna. Wielkość tej rany zdradza strzała, a pragnienie wskazuje na tego, kto ją wystrzelił”²⁸.

To wszystko, oczywiście, nie ma nic wspólnego ani z powierzchownym estetyzmem, ani z irracjonalizmem. Piękno jest poznaniem, a nie ucieczką od jasności i powagi rozumu czy jakąś formą „kontrkulturowego”, antyracjonalnego buntu (w teologii czy gdziekolwiek). Ratzinger dołącza w tej kwestii do chóru wielkich filozofów i teologów piękna (Platon, Kabasilas, Pieper, Urs von Balthasar), wystrzegając tezę o związku estetyki i epistemologii następująco: „[piękno] jest najwyższą formą poznania, gdyż poprzez piękno człowiek zostaje dotknięty prawdą w całej jej wielkości”²⁹.

Dlaczego? Ponieważ poznanie poprzez doświadczenie jest pełniejsze niż poprzez pouczenie (Kabasilas). Inaczej: spotkanie („zakosztowanie danej istoty”) jest głębszym rodzajem wejścia w prawdę „danej istoty” niż informacja o niej. Doświadczenie i spotkanie są dotknięciem poznającego poprzez poznawaną rzeczywistość – tym jest dotknięcie strzałą piękna raniącą wewnątrz człowieka: wejściem w prawdę bramą egzystencjalnie szerszą niż wąska, wyłącznie rozumowa furtka. Stąd teza, iż „[...] głębokie poruszenie pięknem Chrystusa jest poznaniem, które jest głębsze i bardziej rzeczywiste niż czysto racjonalna dedukcja”³⁰.

Istnieją bowiem takie wymiary rzeczywistości, które jesteśmy w stanie rozumieć jedynie sercem; rozum penetruje je i pojmuje niejako „wtórnie”, jakby prowadzony za rękę przez serce, prowadzony w obszarze, który początkowo jest dlań „niejasny”. Rozum rozumie tę przestrzeń rzeczywistości w miarę jak otwiera się na to, co mówi doń w tej sprawie serce³¹. Wydaje się, że problematyka szeroko rozumianej religii podpada pod tę regułę – jeśli tylko nie rozumieć jej skrajnie. Tę zrównoważoną zasadę epistemologiczną zdaje się też mieć na myśli wielki śląski teolog Alfons Nossol, kiedy interpretując brewiarz Andreasa Gryphiusa (*Wach auf mein Herz und denke*), powiada, iż „myślenie sercem” i „kochanie rozumem” stanowi ideał współpracy tego, co serdeczne, z tym, co rozumne³².

7. Twórczość – w duchu Logosu

I dlatego też – podkreślmy to bardzo wyraźnie – nie oznacza to negacji czy choćby pomniejszenia refleksji teologicznej, czyli dokładnego, naukowego, metodologicznie uporządkowanego ścisłego myślenia. Z racji, o której była mowa wyżej: piękno jest poznaniem i jego relacja z rozumem jest relacją współpracy i kompatybilności, a nie kontry czy alternatywy. Rozumność refleksji teologicznej pozostaje tu (dla współpracy z estetyką) czymś absolutnie koniecznym. W tym wymiarze – w obszarze tej właśnie tezy – wkład J. Ratzingera/Benedykta XVI wydaje się szczególnie znaczący.

W *Duchu liturgii* i *Nowej pieśni dla Pana* poświęcił wiele uwagi uporządkowaniu i pogłębieniu refleksji na temat relacji Logos–ars, widząc w niej nieredukowalny element (fundament wręcz) autentycznie chrześcijańskiej estetyki.

Logos jako stwórczy Boski rozum, uosobiony w Chrystusie, stanowi podstawę i punkt wyjścia, wzorzec i cel wszelkich działań człowieka – jeśli mają prowadzić ku spełnieniu, szczęściu człowieka. W szczególny sposób rzecz dotyczy sztuki – ontologiczny związek tego, co twórcze w człowieku, z rozumnością, ze stwórczym Boskim Rozumem (Logosem) jest związkiem ze Stwórcą; a jest to związek absolutnie konieczny dla powodzenia ludzkich dzieł (jakichkolwiek, w tym wypadku artystycznych). Kilka pojęć, które Ratzinger w tej refleksji eksponuje, analizuje i interpretuje, weszło do klasyki estetyki teologicznej. Na szczególnie wyróżnienie i uwagę zasługują dwa – „muzyka z ducha Logosu”³³ (tł. J. Zychowicz, oryg. *eine logosgemäße Music*³⁴) oraz „trzeźwe upojenie”³⁵ (tł. E. Pieciul, oryg. *die nüchterne Trunkenheit*³⁶).

Pierwsze z nich dotyczy tego wymiaru sztuki (wielkiej twórczości człowieka; w rozważaniach Ratzingera najczęstszym jej reprezentantem jest muzyka), który potwierdza obecność Logosu w całej rzeczywistości i w poszczególnych rzeczach³⁷. Potwierdzać tę żywą i stałą obecność stwórczego Rozumu, istnieć i rozwijać się według miary Logosu i zgodnie z Logosem (*logosgemäße*) znaczy w sztuce (muzyce zwłaszcza – w konkretnym Ratzingerowego tekście) pozytywnie: przyporządkować (*zugeordnet ist*³⁸) wypowiedź sztuki „pewnemu orędziu rozległej duchowej i w najwyższym sensie rozumowej wypowiedzi”³⁹; podporządkować strumień emocji Słowu, czyli w praktyce twórczej porządkującemu je (emocje) sensowi (o boskim Logosie mającym swe źródło i uzasadnienie) i rozumnej treści⁴⁰. W sumie: tworzyć (śpiewać) w sposób rozumiały, rozumnie (znaczy: aby to rozumieć, czyli aby to rozumiał wykonawca i aby to było rozumiałe dla odbiorcy). Ta ostatnia teza pojawia się w pismach Ratzingera w kontekście jego rozważań o muzyce kościelnej i wiąże się ze znaczeniem psalmicznego polecenia z Ps 47,8b, tłumaczonego w Biblii Tysiąclecia jako „hymn zaśpiewajcie”. Ratzinger dowodzi, że użyte tu hebrajskie *zamir*, tłumaczone w Septuagincie jako *psalate synetos*, a w Wulgacie jako *psallite sapienter* oznacza konieczny związek mądrości życia ze sztuką; śpiewać rozumnie to integrować życie i jego artystyczny wyraz z Logosem, integrować niepowtarzalność, różnorodność ludzkiej istoty w oparciu o jej najwyższe siły moralne i duchowe⁴¹; podporządkować sztukę danej od Boga prapierwotnej rozumności świata, odkrywać ją i artystycznie wyrażać⁴².

Czym nie jest twórczość artystyczna „w duchu Logosu” (*logosgemäße*). Jest zaprzeczeniem bełkotu, niejasności wynikającej z ograniczenia środków wyrazu do wyekspozowania samej zmysłowości, nie jest odurzaniem i paraliżowaniem tego, co rozumne w człowieku, nie jest „wyzwoleniem” przez szaleństwo zmysłowych doznań, które odbiera człowiekowi rozum

i wolę⁴³. Głębszemu wyjaśnieniu tej kwestii służy drugie ze wspomnianych wyżej pojęć: „trzeźwe upojenie”. Jego biblijny rodowód sięga Listu do Efezjan, w którym Paweł rozróżnia „złe i dobre upojenie”, pisząc:

„[...] nie upijajcie się winem, bo to jest [przyczyną] rozwiązłości, ale napełniajcie się Duchem, przemawiając do siebie wzajemnie w psalmach i hymnach, i pieśniach pełnych ducha, śpiewając i wysławiając Pana w waszych sercach” (Ef 5,18–19).

W tym drugim przypadku, zalecanym przez Pawła możemy mówić o upojeniu (wiarą – ostatecznie), gdyż „napełnienie Duchem” jest przekroczeniem wszelkiej możliwości czystej (wyłącznej) racjonalności. Ale upojenie owo pozostaje „trzeźwym”, gdyż –

„Chrystus i Duch przynależą do siebie, a ów język upojenia poddany jest całkowicie dyscyplinie Logosu, nowej racjonalności, która ponad wszelkimi słowami służy temu jednemu, pierwotnemu Słowu, będącemu podstawą wszelkiego rozumu”⁴⁴.

Właśnie w „trzeźwym upojeniu”, w psalmicznym wysławianiu Pana, obecna jest „trzeźwość najgłębszej racjonalności – mądrości” i „upojenie zachwytem z powodu Boga” – *sapienter psallite*. Rozum jest tu doprowadzony do zaślubin ze zmysłami – zmysły „wywyższone” przez jedność z rozumem. Nie jest to w żadnym wypadku „sztuka dionizyjska”, której „wino” depreczuje racjonalność i odurza zmysły⁴⁵. Niezbędnym kryterium jest tu wierne przyłgnięcie do Logosu.

Trzeba w tym miejscu dodać, ze względu na uczciwość intelektualną, rzetelność prezentacji tez J. Ratzingera/Benedykta XVI, że zdecydowana większość powyższych myśli na temat „sztuki według miary Logosu” i „trzeźwego upojenia” wiąże się bezpośrednio z problematyką teologii liturgii i z takiego też wyjęta jest kontekstu. Niemniej – jak zawsze u Autora *Bóg i świat* – refleksja ta wylewa się poza ścisłą tematykę liturgiczną i staje się diagnozą współczesnego stanu ducha, przyczynkiem filozofii naszej cywilizacji i teologii naszej kultury. Rozejście się dróg piękna i rozumu postrzega J. Ratzinger/Benedykt XVI jako jeden z największych dramatów nowożytności, a ponowne scalenie *ars* i Logosu – jako jedno z najpilniejszych zadań epoki.

8. Piękno prawdy, prawda piękna

Piękno oczyszcza, piękno prawdy pozwala umacniać przekonanie, iż piękno jest prawdą. Aberracje nowożytnych dziejów sztuki Zachodu nie mogą prowadzić do pomniejszania wagi wstrząsu wywołanego spotkaniem serca z pięknem jako prawdziwego poznania⁴⁶ – to ważna dla teologii, dla której związku ze sztuką muszą być czymś równie elementarnym (niezbędnym

wyposażeniem jej – *scientiae fidei* – epistemologiczno/metodologicznego warsztatu) jak naukowość. Sama rozumność, bez wrażliwości na piękno, nie wystarczy. Dlaczego? Bo „sam rozum, w tej postaci, która przejawia się w nauce, nie może stanowić pełnej odpowiedzi człowieka na rzeczywistość i nie potrafi oddać tego wszystkiego, co człowiek może, chce i musi wyrażać”⁴⁷. Dlatego też, argumentuje Ratzinger, „sztuka jest czymś elementarnym”; dodaje: „Myślę, że to Bóg tchnął sztukę w ludzkie dusze. Sztuka – obok nauki – jest najwyższym darem, jaki człowiek otrzymał od Boga”⁴⁸.

Siła i znaczenie powyższej argumentacji rośnie jeszcze, jeśli zdamy sobie sprawę, że pochodzi ona z tekstów uczonego i pasterza, który w sposób absolutnie jednoznaczny i radykalny występuje w obronie zagrożonej w ponowoczesnej antropologii koncepcji rozumności człowieka (rozumności „od początku” to znaczy „od-stwórczej”, „od-Logosowej”), czyli tym samym przeciw rozmaitym irracjonalizmom, które pojawiają się nieraz w postaci zderacjonalizowanych teorii i prądów w sztuce czy konkretnych dzieł. Czysta racjonalność („sam rozum”) nie wystarczy w służbie prawdy, w służbie człowieczeństwa, bo człowiek to nie tylko rozum. Na tym zresztą polega nieodrobiona po dziś dzień przez teologię przełomu tysiącleci lekcja estetyki teologicznej, której udzielił w czasach około-soborowych Hans Urs von Balthasar, głównie w *Herrlichkeit*⁴⁹, ale właściwie w całej swojej monumentalnej trylogii i wielu tekstach rozproszonych. W tym miejscu trzeba zacytować wywiedzione z ducha Balthasarowych intuicji bodaj najmocniejsze zdania Ratzingera w rozważanej kwestii:

„Nie jest to oczywiście wyłącznie problem teologii, ale również duszpasterstwa, które powinno prowadzić człowieka do spotkania z pięknem. Argumenty trafiają często w pustkę, ponieważ w naszym współczesnym świecie mamy aż nazbyt wiele konkurujących ze sobą argumentacji. Człowiekowi prawie spontanicznie nasuwa się myśl, którą średniowieczni teologowie wyrazili w ten sposób: rozum ma nos z wosku, tj. jeśli jesteśmy tylko dostatecznie zręczni, możemy go wykręcić w różnych kierunkach. Wszystko wydaje się przekonujące, rozsądne – komu zatem mamy wierzyć? Spotkanie z pięknem może stać się uderzeniem strzały, która rani duszę i w ten sposób otwiera jej oczy, tak że teraz – na podstawie własnego doświadczenia – dysponuje ona odpowiednim kryterium, które pozwala jej na ocenę argumentów”⁵⁰.

Otwarte oczy duszy – otwarte otwartą raną piękna – są w stanie pomóc w ocenie jakości argumentów dostarczanych przez rozum, w ich klasyfikacji, hierarchizacji. Oto istota związku estetyki i teologii, *pulchrum, ratio et fides*.

Strzała, trafiając, rani. Piękno poruszając (trafiając) duszę, wyzwala miłość – nie za darmo, miłość nie jest królikiem wyskakującym z kapelusza; miłość jest dojrzałym owocem wstrząsu, oczyszczenia, która jest cierpieniem. Ten

ozdrowieńczy ból zadaje duszy prawda (bytu, istnienia, życia), jej potężna porcja zawarta w pięknie. To *splendor veritatis*⁵¹, wewnętrzne światło sztuki prawdziwej, blask prawdy łamiący kości temu, co w człowieku budowane na kłamstwie, a przynajmniej na płaskiej powierzchni „udawania” życia, wegetacji.

Dla J. Ratzingera sztuka, do której powstania przyczynił się Kościół, jest – obok jego świętości i oprócz świętych – „jedyną rzeczywistą «apologią» jego dziejów”⁵². Na tym właśnie polega wkład Kościoła w dzieje świata, czyli dokonywana przez Kościół głęboka humanizacja świata: oddawanie Bogu chwały, wskazywanie na Niego poprzez sztukę „nie-użytkową”, „bez-interesowną”. Kościół by być sobą i robić swoje musi pozostać „ojczyzną piękna”; aby służyć autentycznemu uduchowieniu świata, nie wolno mu pod żadnym pozorem rezygnować z piękna, które jest tak ściśle związane z miłością (strzała piękna/prawdy → rana/cierpienie → miłość), że stanowi wraz z nią prawdziwą pociechę, „najlepszy sposób na zbliżenie się do świata zmartwychwstania”⁵³. Kiedy Ratzinger szuka ilustracji i wzorca dla tych tez (a właściwie syn-tez estetyki, teologii, duszpasterstwa, antropologii), przywołuje postać Jana Pawła II, którego myśl – pisał to jeszcze w latach 90. – „brała swój początek ze spojrzenia artystycznego, a jednocześnie przewodziła jej troska pasterska: kierowała się w stronę człowieka, aby wskazać mu drogę”⁵⁴.

Ponieważ wielkie, prawdziwe piękno rodzi się z wiary (źródłem piękna jest Bóg i tylko On), dlatego też spotkanie z pięknem prowadzi do wiary; piękno nie może pochodzić z pustki – to jest istota przesłania docierającej do serca „strzały”, owoc oczyszczającego wstrząsu. Przykładem jest tu dla Ratzingera wielka muzyka Zachodu (np. Bach) i wielkie malarstwo Wschodu (ikony) – zapraszające do wyjścia poza czyste zmysły, poza siebie, w stronę Tajemnicy Wiary.

Oczywiście, podkreślmy raz jeszcze: nie ma to nic wspólnego z irracjonalnością, z odejściem od Logosu i *ratio*, z czystym estetyzmem (o tym była już mowa). Ale nie ma też nic wspólnego z mroczną, „po-oświęcimską” wizją antysztuki, kiedy to zło jawi się jako tak prawdziwe i wszechmocne, że jedynie brzydota jest prawdą o życiu⁵⁵. Oto dwa skrajne skrzydła tego samego błędu, tej samej achrześcijańskiej estetyki: piękno jest albo wszystkim, albo niczym. Tymczasem chrześcijańska estetyka utrzymuje, że istnieje piękno ostateczne, najwyższe, obejmujące całość doświadczenia człowieczego losu i dziejów ludzkości. I ono jest źródłem oraz modelem wszelkiej obecności piękna w świecie i jego prawdy. Jest nim Jezus Chrystus – najpiękniejszy, który nie miał wyglądu i wdzięku. W Nim zostaje przekroczony Dionizos, Apollo, doświadczenie piekła Auschwitz, po którym „nie da się pisać wierszy”⁵⁶. A jednocześnie w Chrystusie żadne elementy prawdy obecnej w Dionizosie

(trzeźwe upojenie), w Apollu (harmonia), w doświadczeniu skrajnej udręki i „pozbawionej sensu” śmierci (los wielu, dzieje nas, ludzi) – nie zostają unicestwione, ale uwznioślone. Ostateczne piękno Chrystusa jest przekroczeniem, a nie zniesieniem i unieważnieniem tamtych estetyk. Jest to piękno miłości „aż do końca”, prawda piękna – nie kłamstwo. Ukrzyżowany Chrystus wyzwala nas od wszystkich pokus i błędów, nie tylko estetycznych. W tej ostatniej dziedzinie proponuje estetykę najwyższej próby wolności i prawdy: pozwolić się zranić, zrezygnować z zewnętrżności piękna, zaufać miłości, głębi; w sumie – samemu Bogu.

Istnieje jeszcze inny, subtelny formalnie, ale o sporej, niszczącej sile rażenia, podstęp kłamstwa wobec prawdy piękna: piękno zakłamanie, krzykliwe i jedynie powierzchowne, którego istota fałszu polega na tym, że nie budzi tęsknoty za niewyraźnym, nie odrywa od siebie, nie prowadzi ku ekstazie (= stanąć poza sobą, obok siebie), ale zamyka odbiorcę w nim samym, nie dając niczego poza przyjemnością, budząc pożądanie, żądę posiadania⁵⁷. To piękno, które – według słynnej frazy Augustyna wykrzywia serce ku sobie samemu, które jest – jak rajske drzewo – „rozkoszą dla oczu”, a jego owoce są „dobre do jedzenia” (Rdz 3,6). Nie szukaj tego, co inne, chciej przyjemności na tę chwilę, na teraz – tak brzmi przesłanie tego rodzaju „płaskiego” piękna. Skąd bierze się ten rodzaj perwersji sprzeniewierzenia się pewnych rodzajów piękna własnej istocie, sprowadzaniu duchowej potęgi piękna do kuszącego ornamentu?

Zjawisko to – fenomen zakłamanego piękna – zdaje się być skutkiem (celem? ubocznym efektem?) czegoś jeszcze znaczenie głębszego, a mianowicie antymimetycznej awersji dużych przestrzeni sztuki współczesnej. Twórczość artystyczna pojmowana jako *mimesis*⁵⁸ (naśladowująca naturę) odzwierciedla to, co Bóg ukazał jako model, i – jako taka – wymaga wewnętrznego spojrzenia na prawzór, czyli na Stwórcę i stworzenie⁵⁹. Sztuka w tym rozumieniu jest więc „współpatrzeniem z Bogiem (*Mitschauen mit Gott*)⁶⁰, uczestnictwem w Jego twórczości, odsłanianiem ukrytego piękna oczekującego już w stworzeniu”⁶¹. Tymczasem współczesne pojęcie „kreatywności” (*nota bene* termin ten powstał na gruncie światopoglądu marksistowskiego⁶²) artystycznej, oznaczające mniej więcej pomyślenie i wykonanie czegoś całkiem własnego, nowego, czego nikt jeszcze ani nie wymyślił, ani nie zrobił, otóż takie rozumienie sztuki pochodzi z zupełnie innej niż biblijna wizji rzeczywistości i antropologii⁶³. Człowiek nie jest tu poprzedzony sensem: przychodzi z rzeczywistości pozbawionej sensu (nie od Boga, ale „znie-wiadomo-skąd”) i jest brutalnie rzucony w pozbawioną sensu wolność. Nie przyjmuje więc i nie naśladuje niczego, ale tworzy w swej rozpaczliwej

i bezsensownej samotności. Twórczość nie jest mimetyką – jest czystą samowolą⁶⁴. Wolno jej wszystko, co jako sztuka potrafi, a jedyny błąd, jaki uznaje, to „błąd w sztuce”, artystyczna niesprawność – poza tym artyście wolno wszystko, nie zna granic (nie istnieją dobre i złe książki, filmy etc. tylko dobrze lub źle napisane etc. etc.)⁶⁵. Sztuka taka oderwana od Stwórcy, negująca stworzenie, konsekwentnie staje się przeciwna naturze, prawdzie, dobru; istnieje realne niebezpieczeństwo (aż jak realne – to wiek XX dowiedział się nazbyt dobrze), że twórczość płynąca z takiej idei stanie się „genialnością i wyrafinowaniem zła”⁶⁶.

9. Zbawi świat

Na wszystkie te niejasności, błędy i choroby lekiem jest Chrystus, Jego piękno, pełnia piękna w Nim obecna. „Piękno zbawi świat” – przypomniał za Dostojewskim Jan Paweł II w *Liście do artystów*. Ale trzeba pamiętać, że Dostojewski miał na myśli zbawiające piękno Chrystusa – przypomina z kolei Benedykt XVI⁶⁷. Więc –

„Musimy nauczyć się widzenia Jezusa. Jeśli nie znamy Go tylko przez słowa, lecz zostaliśmy trafieni strzałą Jego paradoksalnego piękna, wówczas znamy Go rzeczywiście. Nie znamy Go jedynie z drugiej ręki. To zaś oznacza, że spotkaliśmy piękno prawdy, która zbawia”⁶⁸.

P R Z Y P I S Y :

- 1 P. Seewald, *Benedykt XVI. Portret z bliska*, tłum. G. Popek, Kraków 2006., s. 278.
- 2 Tamże.
- 3 *Raport o stanie wiary* [rozm. V. Messori], tłum. Z. Oryszyn, Kraków–Warszawa Struga 1986, s. 111.
- 4 Tamże, s. 111–112.
- 5 Tamże, s. 111.
- 6 M. Zięba, *Encyklika bardziej duszpasterska niż społeczna* [rozm. T. Jaklewicz], „Gość Niedzielny” 86(2009) nr 29, s. 28.
- 7 „Nie sądzmy nigdy, że abstrakcja to prawda dosłowna, podczas gdy obraz antropomorficzny jest ustępstwem wobec naszej słabości. Jedno i drugie to ustępstwo, każde z osobna wprowadza w błąd, ale wzięte razem wzajemnie się korygują”. C.S. Lewis, *List do Malcolma* (cyt. za: S. Tugwell, *Modlitwa w bliskości Boga*, tł. E. Życińska, Poznań 1988, s. 25).

- 8 J. Ratzinger, *Duch liturgii*, tłum. E. Pieciul, Poznań 2002, s. 117 [dalej: DL].
- 9 J. Ratzinger, *Nowa pieśń dla Pana. Wiara w Chrystusa a liturgia dzisiaj*, tłum. J. Zychowicz, Kraków 1999, s. 161 [dalej skrót: NPdP].
- 10 Benedykt XVI, *Ojcowie Kościoła. Od Klemensa Rzymskiego do Augustyna*, Poznań 2008, s. 207 [dalej: OK].
- 11 Tamże, s. 206–207.
- 12 Korzystam z przekładu ks. J. Mereckiego – *W drodze do Jezusa Chrystusa*, Kraków 2004, s. 33–34 [dalej Wdrd]C].
- 13 Wdrd]C, s. 33–34.
- 14 Tamże, s. 34.
- 15 Tamże.
- 16 Tamże, s. 35. Por. J. Szymik, *Błękit*, Katowice 2003, s. 52.
- 17 Wdrd]C, s. 35.
- 18 Por. NPdP, s. 42–43.
- 19 Tenże, *Tajemnica Jezusa Chrystusa*, tłum. J. Płoska, Kielce 2005², s. 53, 66 [dalej skrót: T]C].
- 20 Wdrd]C, s. 33.
- 21 J. Szymik, *W poszukiwaniu teologicznej głębi literatury. Literatura piękna jako 'locus theologicus'*, Katowice 2007, s. 86. „Wywodzi się ona prawdopodobnie od pitagorejczyków, dla których «oczyszczenie» (katharsis) stanowiło naczelną koncepcję filozoficzną. Poezja jest, wg tej teorii, ważnym czynnikiem oczyszczającym wewnętrznie człowieka poprzez stwarzanie sytuacji «wstrząsu uczuciowego». Utwory poetyckie wprowadzają «do umysłów gwałtowne, a obce uczucia, wywołują wstrząs», doprowadzają odbiorcę do wyładowania i «zmniejszenia» uczuć, otwierają umysł ludzki na nowe treści. Do naczelną właściwość poezji – utrzymywali Grecy – należy bowiem jej zdolność «psychagogiczna», czyli umiejętność kierowania duszami, a także – bliska tej ostatniej – funkcja moralno-wychowawcza. «*Beltius poiein*», «robić ludzi lepszymi przez poezję» – brzmiało hasło Arystofanesa, sofistów, Isokratesa, Ksenofonta, a nawet Platona, który nie czego innego spodziewał się po poezji, kiedy potępiał poetów za brak (pożyteczności moralnej)”. Tamże. Por. W. Tatarkiewicz, *Dzieje sześciu pojęć*, Warszawa 1982, s. 97–110.
- 22 F. Drączkowski, *Euzebiusz z Cezarei*, w: *Encyklopedia katolicka*, t. 4, kol. 1352–1353; H. Wójtowicz, *Euzebiusz z Cezarei – ojciec historii Kościoła*, AK 71(1979) z. 423, s. 58–59.
- 23 DL, s. 115.
- 24 Benedykt XVI, *Święto wiary. O teologii mszy świętej*, tłum. J. Merecki, Kraków 2006, s. 112 [dalej skrót: ŚW].
- 25 Tamże.
- 26 Tamże.
- 27 Wdrd]C, s. 35.
- 28 Nikolas Kabasilas, *Das Buch vom Leben in Christus*, tł. G. Hoch, Einsiedeln 1991, s. 79–80 (cyt. za: Wdrd]C, s. 36).
- 29 Wdrd]C, s. 36.
- 30 Tamże.
- 31 Por. ŚW, s. 143–144.

32 A. Nossol, *Harmonia serca i myśli, czyli 'proprium silesiacum'*, w: J. Szymik, *Joseph von Eichendorff – dwanaście wierszy*, Katowice 2007, s. 7–9.

33 NPdP, s. 163.

34 Benedykt XVI, *Theologie der Liturgie. Die sakramentale Begründung christlicher Existenz*, Freiburg–Basel–Wien 2008, s. 597 [dalej: TDL].

35 DL, s. 135.

36 TdL, s. 133.

37 Por. DL, s. 121.

38 TdL, s. 538.

39 NPdP, s. 190.

40 Por. tamże, s. 157. „Słowo w sensie biblijnym jest bowiem czymś więcej niż «tekstem», a rozumienie sięga dalej niż banalna zrozumiałość tego, co dla kogoś jest natychmiast jasne i co można wtłoczyć w najbardziej powierzchowną racjonalność [...] chodzi [...] o Boga, który jest udzielającym siebie sensem i który udziela siebie, stając się sam człowiekiem”. Tamże, s. 190.

41 Tamże, s. 163.

42 Tamże, s. 156–157.

43 NPsP, s. 158. Por. tamże, s. 190.

44 DL, s. 127.

45 Tamże, s. 135.

46 WdrdJC, s. 37.

47 J. Ratzinger, *Sól ziemi. Chrześcijaństwo i Kościół katolicki na przełomie tysiącleci* [rozm. P. Seewald], tłum. G. Sowiński, Kraków 1997, s. 40 [dalej: SZ].

48 Tamże.

49 *Herrlichkeit. Eine theologische Ästhetik: Schau der Gestalt*, Einsiedeln 1961 (w pierwszej dekadzie XXI wieku dzieło to zostało przetłumaczone po raz pierwszy na język polski i wydane przez krakowskie Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy). Por. WdrdJC, s. 38.

50 WdrdJC, s. 38.

51 Por. J. Ratzinger, *Służyć prawdzie. Myśli na każdy dzień*, tłum. A. Warkotsch, Wrocław 1986, s. 15 [dalej: SP].

52 ŚW, s. 120.

53 Tamże, s. 120–121.

54 Benedykt XVI, *Jan Paweł II. Mój umiłowany Poprzednik*, Częstochowa 2007, s. 19.

55 SP, s. 15.

56 Por. WdrdJC, s. 40.

57 Tamże, s. 41–42.

58 E. Auerbach, *Mimesis. Rzeczywistość przedstawiona w literaturze Zachodu*, tł. Z. Żabicki, t. 1–2, Warszawa 1968.

59 NPdP, s. 163.

60 TdL, s. 597.

61 NPdP, s. 164.

62 DL, s. 151.

- 63 NpDP, s. 164.
- 64 NpDP, s. 169.
- 65 Benedykt XVI, *Na początku Bóg stworzył... Cztery kazania o stworzeniu i upadku. Konsekwencje wiary w stworzenie*, tłum. J. Merecki, Kraków 2006, s. 71–72.
- 66 Benedykt XVI, *Europa Benedykta. W kryzysie kultur*, tłum. W. Dzieża, Częstochowa 2005, s. 117.
- 67 WdrdJC, s. 42.
- 68 Tamże, s. 42–43.

JAN KAZIMIERZ NOWAK¹ (1930-2010). CZŁOWIEK-ARTYSTA I JEGO CZASY

Wstęp

Podobno istnieją artyści subiektywni i obiektywni. U pierwszych artyzm tkwi w osobowości, sztuka jest w nich, a oni są sztuką. Twórczość ich jest niemal niezależna od czasów, w których żyją i pracują. Sami będąc dla siebie prawem, przeciwstawiają się swej epoce i tworzą nowe formy, w których wyrażają buntownicze myśli i ducha. Do tego grona twórców przyporządkować można m.in. Clauda Moneta, Amadeo Modiglianiego, Pabla Picassa, Joana Miro i Jacksona Pollocka, a spośród rodzimych twórców Tadeusza Makowskiego, Leona Chwistka i Franciszka Starowieyskiego, który po spotkaniu z Tadeuszem Kantorem odkrył, że „sztuką są tylko momenty osłupienia, reszta jest tylko rzemiosłem”². Jednak żaden z nich w swym buntowniczym radykalizmie nie posunął się tak daleko, jak Jackson Pollock. Odszedł on od sztuki figuratywnej i rozwinął swój własny styl tworzenia z charakterystycznym kapaniem farbą na płótno i rozpryskiwaniem jej (tzw. *action painting* – malarstwo gestu). Była to najbardziej radykalna metoda tworzenia dzieła sztuki. Podsumowanie ewolucji ekspresjonizmu. Jeszcze inaczej w czasach nam współczesnych rozumiał proces twórczy czarnoskóry Jean-Michael Basquiat.

Jan Kazimierz Nowak należał do artystów obiektywnych. Tkwił we własnej epoce i tworzył w kręgu tych form i myśli, jakie mu ona ofiarowała. Miał jakby jedno pragnienie: przedstawienia w swoich pracach z niepowtarzalną doskonałością wszystkiego co zastał i doznał zmysłami i sercem. Wszelkie artystyczne mody, poszukiwania, dążenia i tęsknoty jego pokolenia zbiegały się w nim i odzwierciedlały. Równocześnie nie odcinał się od wielkiej tradycji europejskiego malarstwa. Był jednym z tych artystów, o których mawiano, iż „To nie oni żyją, to żyje w nich duch czasu” i miejsca. Stąd ważne jest poznanie jego biografii, otoczenia i ducha epoki oraz mistrzów, u których pobierał nauki. Jerzy Madeyski postrzegał sztukę J. K. Nowaka, jako eklektyczną, „tyle, że w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie wzorując się na określonych prądach bądź osobowościach – J. K. Nowak – brał z plastyki światowej to, co w niej było najlepszego: kompozycje z greckiej klasyki i section d’or, kolor z fauwizmu,



Pradziadkowie Jana Kazimierza Nowaka

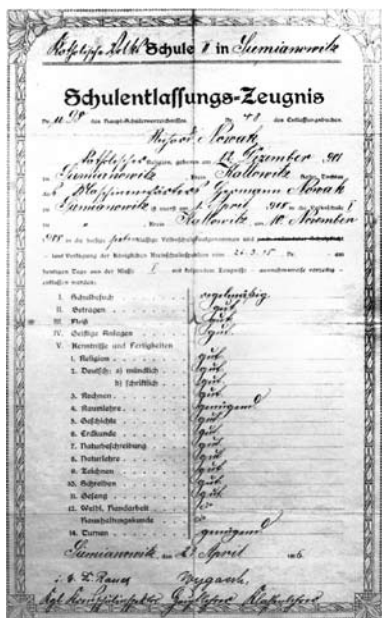
blask wewnętrzny ze sztuki światła, a cytaty ze sztuki naszego wieku. Dążył zatem do ponownego scalenia sztuki poszatowanej przez ostatnie stulecie na fragmenty, rozproszonej i zdeintegrowanej w odrębnych prądach czy orientacjach³. Jego sztuka zrodziła się „z obserwacji rzeczywistości, z doświadczeń i spostrzeżeń sumowanych od jego najmłodszych lat życia”⁴. Nie należał do grona artystów hołdujących efekciarskim czy pazerskim tendencjom chociaż nie rezygnował z poszukiwania nowych środków wyrazu. Nie tworzył dzieł wyszydających wszelkie obowiązujące do tej pory konwencje malarskie.

Dom i rodzina



Dziadek po kądzieli, Józef Kabus, siemianowicki kowal

Jan Kazimierz Nowak, wybitny malarz i grafik urodził się na Górnym Śląsku, w Siemianowicach Śląskich, miejscowości położonej na pograniczu, w pobliżu zbiegu trzech granic: Prus, Rosji i Austrii, nieopodal tzw. Trójkąta trzech cesarzy. Nie było tu bogato zaopatrzonych domów towarowych, wspaniale urządzonej oper i teatrów, sal koncertowych, wystawnych pałaców, sławnych muzeów. Za to kwitła gospodarka, na przełomie wieków XIX i XX powstawały wciąż nowe kopalnie i huty. Siemianowice były największą osadą przemysłową w Europie. W 1932 r. gdy Janek ukończył dwa lata naczelnik gminy Ferdynand Popek został pierwszym burmistrzem miasta.



Świadectwo szkolne Ryszarda Sylwestra Nowaka (ojca artysty). Siemianowice 1915

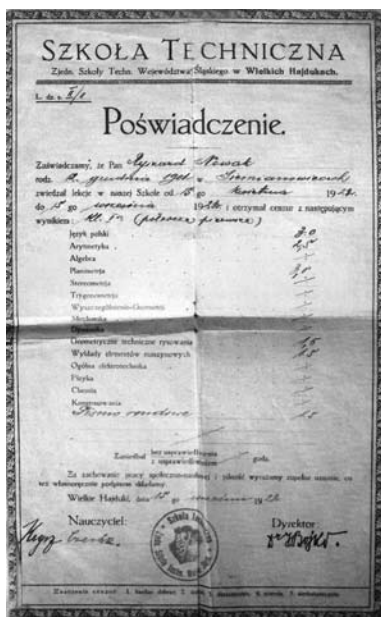
Jan Kazimierz Nowak pochodził z rdzennych Górnioślazaków, „zaprawionych w miłości do Boga i Ojczyzny”. Nazwisko to nosiło wielu polskich działaczy niepodległościowych z rejonu dzisiejszych Siemianowic⁵. Dom rodzinny znajdował się przy ulicy Górniczej (później mieszkał przy ulicy św. Jadwigi, a następnie Jana III Sobieskiego), w pobliżu nieistniejącej już kopalni węgla kamiennego „Richter” („Siemianowice”), nieopodal której rozciągał się duży staw, oddzielający zakład od placu ks. Piotra Skargi i głęboki kanion, na którego dnie biegły tory kolei żelaznej na linii Bytom-Katowice. Nad stawem górowały i odbijały się w lustrze wody wieże kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Antoniego, który jeszcze podczas pierwszej wojny światowej pełnił funkcję hali targowej.

W latach 1929-1931 adoptowano ją wznosząc dwie wieże i dobudowując prezbiterium. W lipcu 1930 r. zastalowano cztery dzwony: św. Antoniego, św. Floriana, Najświętszej Marii Panny i św. Jana Ewangelisty. Tutaj, jako mały chłopiec zetknął się po raz pierwszy z prawdziwą sztuką. Ołtarz główny wykonał znany artysta malarz i rzeźbiarz Ludwik Konarzewski, a piękne witraże powstały w siemianowickiej pracowni mistrza Fryderyka Romańczyka, do którego napływały zamówienia z całej Polski. Zakład Witraży był zlokalizowany na tej samej ulicy co kuźnia jego dziadka. U jej wylotu za starym browarem wychodziło się na plac ks. Piotra Skargi, gdzie odbywały się targi i występy akrobatów, zbierali powstańcy śląscy, ustawiano budy strzelnicze, karuzele i cyrkowe namioty.

Wszystkie te atrakcje prezentowano w cieniu huty „Laura” („Jedność”), która nocami świeciła krwawymi łunami podczas spustu surówki. Wzdłuż jej muru jeździł w stronę Katowic tramwaj zwany „betlejką”, a nieopodal, ze względu na bliskość granicy niemieckiej, mieścił się Urząd Celny. W pobliżu stał rząd hutniczych domków o spadzistych dachach i dymiących zimą kominach. Stąd było już blisko do kopalni węgla kamiennego „Ficinus”, nieustannie żarzących się hałd nazywanych Alpami Wełnowieckimi i zagłębia biedaszybów, których górnicy gremialnie odwiedzali liczne restauracje przy ulicy Jana

III Sobieskiego. Uliczki w mieście J. K. Nowaka były wąskie i chłodne, wybrukowane kocimi łbami, tworzącymi tajemnicze wzory. W podwórkach natknąć się można było na żywy inwentarz przetrzymywany w chlewikach i plotkujące gospodynie. Czasem spokój zakłócały syreny fabryk lub gołębie zrywające się gwałtownie do lotu. Niektóre z tych charakterystycznych obiektów można znaleźć w jego obrazach. Przez całe swe twórcze życie malarz uparcie sprowadzał świat wielkiej historii do wymiaru uliczek znanych z dzieciństwa.

Dziadek po kądzieli Józef Kabus był kowalem zatrudnionym na kopalni „Richter” miał też własną kuźnię na tzw. „Richterce”, tj. dzisiejszej ulicy Jana III Sobieskiego. Jego żona Agnieszka z domu Piszalska prowadziła gospodarstwo domowe i zajmowała się wychowaniem dzieci. Mały Janek darzył dziadka, mimo jego choroby i starczych dolegliwości, głębokim uczuciem i podziwem. Podobno kiedyś zimą wyszedł rozgrzany z kuźni, uległ zaziębieniu i powaliło go lumbago. Odtąd chodził aż do śmierci zgięty wpół. Zachował jednak dawną siłę w spracowanych i twardych rękach. Wnuk ogromnie mu zazdrościł tych mocarnych dłoni. Z czasem i jego ręce



Świadectwo Szkoły Technicznej w Wielkich Hajdukach, wydane Ryszardowi Nowakowi w 1923 r.



Siedmiu braci Nowaków, m.in. Ryszard (w pierwszym rzędzie w środku) – ojciec Jana Kazimierza

Franciszka Julia Kabusówna z koleżankami na kursach szycia u sióstr Boromeuszek, przy ul. Św. Barbary w Siemianowicach Śl.



nabrały innej magicznej mocy, dzięki której wyczarowywał widoki wspaniałych miast włoskich Asyżu, Mantui, Florencji i Wenecji, krajobrazy przemysłowego i zielonego Śląska, cyrki i twarze arlekinów lub robotników.

Z kolei dziadek po mieczu, Herman Nowak mieszkał przy ulicy Krótkiej, blisko parku i zespołu pałacowego, otoczonego wówczas wysokim kamiennym murem. Jego żona Franciszka z domu Borecka była prawdziwą matką rodu, oprócz córki urodziła mężowi siedmiu synów. Największą chlubą rodziny był najmłodszy z rodzeństwa, który po ojcu otrzymał imię Herman. Jako jedyny z braci ukończył gimnazjum i zdał maturę (obecnie I LO im. Jana Śniadeckiego). Niestety w 1939 r. zmobilizowany do polskiego wojska nie wrócił z wojny. Duszą rodziny była babcia Jana, Franciszka Nowakowa, do której w każdą ostatnią niedzielę miesiąca na świąteczny obiad schodzili się ze swoimi rodzinami wszyscy synowie. Z tej okazji zawsze podawano na stół pieczoną gęś. Była to jedna z 12 gęsi, które każdego roku zapędzał na podwórko Żyd Koza, by w odpowiednim momencie zgłosić się do Nowaków po zapłatę. Babcia Franciszka była wzorem pracowitości i gospodarności. Wspomnieniem tego domu była później jedna z prac Jana Kazimierza Nowaka z cyklu pt. *Okna*, w której uwiecznił uliczkę Krótką. Zdobí ona obecnie Urząd Miasta Siemianowic Śl. przy ulicy Jana Pawła II.

Duży wpływ na losy Jana wywarł (ur. 12 XII 1901 r.) ojciec Ryszard Sylwester Nowak, z zawodu blacharz i dekarz oraz matka (ur. 29 XII 1903 r.) Franciszka Julia z domu Kabus. Ślub rodziców odbył się 29 X 1929 r. w Siemianowicach⁶. W następnym roku na świat przyszedł Jan Kazimierz. Artysta urodził się pod znakiem raka, 1 lipca 1930 r. Narodziny odbyły się, typowo na tamte czasy, w domu, w skromnym mieszkaniu, w robotniczej dzielnicy, pod okiem babki Franciszki Kabusowej. Tutaj też dziecko spędziło pierwsze lata



Franciszka Julia Kabusówna (matka artysty) z koleżankami z kursów krawieckich. Siemianowice Śl., lata 20.

życia. W rodzinie obowiązywała surowa dyscyplina i szacunek do pracy. Ryszard Nowak miał wyjątkowo twardego charakter, zależało mu na kontroli nad wszystkim i autorytecie. Był pełen życia i miał niezwykły temperament. Chyba rzadko tolerował sprzeciw. Dokonywał własnych wyborów czasem łamiąc nawet stereotypy. Zamiast, jak każdy przeciętny Górnolślązak wybrać profesję górnika lub hutnika, został blacharzem⁷. Jego żona Franciszka Julia, na kursach prowadzonych przez siostry Boromeuszki nauczyła się krawiectwa, przyzwyczajona do pracy od dziecka – szybko znalazła sobie miejsce w nowym domu,



Franciszka Kabusówna i Ryszard Nowak na ślubnym kobiercu. Siemianowice, 29 X 1929 r.

którego stała się panią i duszą. Jednak czasy były ciężkie i rodzina zmuszona była żyć bardzo skromnie. Świadczy o tym wspomnienie artysty: „miałem po dziadku [...] stare skrzypce. Chyba nawet trochę opanowałem ten instrument, który jednak potem zniknął któregoś dnia. Pewnie został po prostu sprzedany, z powodu jakichś innych, bardziej istotnych w oszczędnym gospodarstwie potrzeb, z czego się rzecz jasna dzieciom nie spowiadało”⁸.

Ojciec artysty wykorzystując swą wiedzę praktyczną i umiejętności zawodowe usamodzielniał się z powodzeniem realizując zamówienia blacharskie i dekarские. Największym wyzwaniem zawodowym było przyjęcie zlecenia na



Jan Kazimierz Nowak. Zjęcie wykonane z okazji tzw. „roczku”. Siemianowice 1 VII 1931 r.

ny. Po latach jego syn wspominał: „Ojciec zabrał mnie na budowę, zamek jeszcze nie był ukończony, prace przy nim trwały chyba kilka lat, było tam wokół mnóstwo interesujących ludzi, wybitnych artystów, jak (Ludwik – Z.J.) Konarzewski⁹ (którego ołtarz zdobi do dziś kościół pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego w Siemianowicach Śl. – Z.J.) i inni. Stało się to później częścią moich najbardziej niezwykłych wspomnień z dzieciństwa; nie wiem czy nie było to przypadkiem osobliwego rezonansu i w dziwny sposób nie trąciło jakichś ukrytych strun duszy. Zjawisko bardzo trudno wytłumaczalne w tym surowym, uporządkowanym hierarchicznie świecie. Choć pewien byłem, jak większość bajtli z każdego śląskiego podwórka, że byłem typowym dla tego świata dzieckiem”¹⁰. Bawił się rzecz jasna z dziećmi sąsiadów, wspinał na mury i po drzewach, urządzał zawody w bieganiu. Nie było dla niego niedostępnych zakątków, zbyt wysoko położonych, zbyt niebezpiecznych. Często też marzył i od 5-6 roku życia dużo rysował. Ulubionym tematem były konie. Wtedy było ich w Siemianowicach Śl. mnóstwo gdyż cały transport opierał się na sile pociągowej tych zwierząt, a na kopalniach „Richter” i „Ficinus” znajdowały się stajnie. Już jako mały chłopiec miał wyostrzony zmysł obserwacji. Czasami zamiast psocić z kolegami wolał rysować patyczkiem po kurzu ulicznym, choć te pierwsze szkice zniknęły natychmiast przy najbliższym podmuchu wiatru. Gdy wpadła mu

pokrycie dachu pałacu Prezydenta II RP Ignacego Mościckiego w Wiśle na Śląsku Cieszyńskim. Zamek w Wiśle-Czarnym na stoku Zadniego Gronia, budowano w latach 1929-1931, według projektu wybitnego architekta Adolfa Szyszko-Bohusza. Obiekt powstał jako dar ludu śląskiego dla głowy państwa i zyskał miano Perły Beskidów. Był gmachem reprezentacyjnym przeznaczonym dla najwyższych władz państwowych i wszedł w rejestr takich obiektów, jak m.in. Zamek i Łazienki Królewskie w Warszawie, Wawel w Krakowie, pałac w Białowieży, czy pałacyk myśliwski w Spale. Prezydent II RP Ignacy Mościcki gościł tu księcia Kentu i Jana Kiepurę. Nic dziwnego, że Ryszard Nowak chciał pochwalić się swym miejscem pracy najbliższym członkom rodzi-



J. K. Nowak na spacerze z rodzicami w pobliżu parku hutniczego (ul. 27 stycznia). Siemianowice, lata 30.



J. K. Nowak z tzw. „tytą”. Uroczyste rozpoczęcie nauki w szkole podstawowej nr 3 w Siemianowicach Śl.

w ręce kartka papieru rysował starannie szczegóły, kamienie, drzewa i domy, jednocześnie próbując uchwycić porę roku, pogodę i światło. Tak rozwijała się pasja, która zdominowała życie małego Janka.

Gdy ukończył siódmy rok życia rodzice posłali go do szkoły. Uczęszczał do najbliższej położonej szkoły nr 3 im. Tadeusza Kościuszki, a jego nauczycielką została panna Knoblochówna.

Mimo surowej dyscypliny w domu były to czasy dziecięcej idylli. Wyprawy z ojcem do Wisły i wędrowki po Beskidzie pozostawiły trwałe ślady we wrażliwej duszy. Odtąd pobyt na łonie natury i życie w harmonii z nią stanowiły dla niego ważne i niezbywalne źródło siły. Nieprzypadkowo w późniejszych latach tak chętnie przywdziewał strój beskidzkich górali i powracał do pełnego harmonii świata przeszłości.

Jak widać ojciec poświęcał wiele uwagi swojemu pierworodnemu. Troskliwy o żonę i dbały o dom tworzył z Franciszką Julią trwałe związki, który można uznać za typową na owe czasy konstelację małżeńską. Z jednej strony mężczyzna roszczał sobie pretensje do bycia autorytetem, z drugiej „charakterna Ślżaczka”, która czasami z trudem podporządkowywała się wyobrażeniom męża wynikającym jeszcze z zasad społeczeństwa wilhelmińskiego. Ostatecznie oboje dostosowali się do reguł tego świata, w którym na dobre zapuścili korzenie.

Ryszard Sylwester Nowak był postawnym, wysokim mężczyzną o ciemnych włosach i szarych oczach. Poza obowiązkowością „szanował sztukę, zwłaszcza operę i śpiew”¹¹. Zdjęcia z tamtych lat ukazują go jako mężczyznę dobrze ubranego, przywiązującego dużą wagę do wyglądu zewnętrznego i budzącego respekt człowieka, który wydaje się zadowolony ze swego społecznego statusu osiągniętego własną pracą, a także dumnego z posiadanej rodziny. Prestiż zawdzięczał dobrze i rzetelnie wykonywanemu rzemiosłu, co wówczas na Śląsku liczyło się najbardziej. To były dobre chwile i cała rodzina mogła się cieszyć względnym spokojem i małą stabilizacją.

Doświadczenie wojny i okupacji

Wybuch drugiej wojny światowej zburzył ład i spokój nie tylko rodziny Nowaków i całej siemianowickiej społeczności. Po wycofaniu się jednostek Armii „Kraków” i Grupy Operacyjnej „Śląsk” pod dowództwem generała Jana Jagmina Sadowskiego oraz po wkroczeniu Wehrmachtu i Freikorpsu Niemcy przystąpili do organizowania na Śląsku wojskowego zarządu cywilnego. Naczelnym zadaniem szefa tego zarządu, Otto Fitznera, było jak najszybsze wprowadzenie niemieckiej administracji cywilnej oraz niemieckich zasad organizacyjnych we wszystkich dziedzinach życia publicznego, przy równoczesnym spacyfikowaniu zajętego terenu, a więc ograniczeniu swobód ludności polskiej i likwidacji wszelkich przejawów polskości, a zwłaszcza



J. K. Nowak. Fotografia szkolna – klasa II a, rok szkolny 1938/1939



Pogrzeb babci Franciszki Nowakowej. Na początku konduktu J. K. Nowak, dalej dziadek Herman senior (w meloniku) i Herman junior Nowakowie. Siemianowice Śl.

ny przez Ottona Fitznera wcielono do prowincji śląskiej, tworząc nową rejencję – katowicką. Do przejścia tych terenów Niemcy byli przygotowani znacznie wcześniej. Siemianowicom, Michałkowicom i innym miejscowościom jeszcze przed wojną przydzielono zespoły administracyjne, które przystępowały do pracy natychmiast po wkroczeniu Wehrmachtu.

Od pierwszego dnia rozpoczęto szczególnie bezwzględny terror wobec powstańców śląskich. Równocześnie utworzono straże terenowe i przemysłowe, których zadaniem było zwalczanie wszelkich przeciwników reżimu hitlerowskiego, aresztowanie każdego ujawnionego powstańca i przekazywanie go policji. W Siemianowicach te rozporządzenia były jedynie akceptacją stanu faktycznego, gdyż miejscowi Niemcy realizowali wymienione zadania niemal od pierwszych godzin wojny.



Ryszard Nowak w towarzystwie kolegów z firmy dekarskiej

kiego wyróżniał się Józef Strużyna i jego współpracownicy z Jungdeutsche Partei – Gojna i Fritsch, którzy ujawnili swą działalność, tworząc straż terenową Ortswehr. Straże tego typu, składające się z przedstawicieli mniejszości niemieckiej, a więc osób doskonale orientujących się w terenie, znających od lat miejscową ludność, oddawały okupacyjnym władzą cenne usługi, ujawniając powstańców i Polaków wracających po zakończeniu kampanii

polskich szkół, stowarzyszeń, bibliotek i nazw ulic. Odtąd plac ks. Piotra Skargi miał się nazywać Goeringplatz, plac Józefa Piłsudskiego Adolf Hitlerplatz, a ulica Bytomska – Adolf Hitlerstrasse. W gmachu Państwowego Gimnazjum im. Jana Śniadecznego rozpoczęła swą działalność szkoła niemiecka tzw. Mittel-Schule.

Chodziło o przygotowanie Siemianowic i innych miejscowości terenu byłego województwa śląskiego do włączenia do Rzeszy, co nastąpiło 26 października 1939 r. Teren zarządzany

przez Ottona Fitznera wcielono do prowincji śląskiej, tworząc nową rejencję – katowicką. Do przejścia tych terenów Niemcy byli przygotowani znacznie wcześniej. Siemianowicom, Michałkowicom i innym miejscowościom jeszcze przed wojną przydzielono zespoły administracyjne, które przystępowały do pracy natychmiast po wkroczeniu Wehrmachtu.

Od pierwszego dnia rozpoczęto szczególnie bezwzględny terror wobec powstańców śląskich. Równocześnie utworzono straże terenowe i przemysłowe, których zadaniem było zwalczanie wszelkich przeciwników reżimu hitlerowskiego, aresztowanie każdego ujawnionego powstańca i przekazywanie go policji. W Siemianowicach te rozporządzenia były jedynie akceptacją stanu faktycznego, gdyż miejscowi Niemcy realizowali wymienione zadania niemal od pierwszych godzin wojny.

Szczególną aktywnością w tropieniu powstańców rejonu siemianowickiego wyróżniał się Józef Strużyna i jego współpracownicy z Jungdeutsche Partei – Gojna i Fritsch, którzy ujawnili swą działalność, tworząc straż terenową Ortswehr. Straże tego typu, składające się z przedstawicieli mniejszości niemieckiej, a więc osób doskonale orientujących się w terenie, znających od lat miejscową ludność, oddawały okupacyjnym władzą cenne usługi, ujawniając powstańców i Polaków wracających po zakończeniu kampanii



Stryj Herman Nowak, uczestnik wojny obronnej 1939 r.



Ryszard Nowak w stroju góralskim. Wisła, lata 30.

wrześniowej do swych miejsc zamieszkania. W działania tego typu zaangażowali się SA-leiter Wilsch i Betriebsopmann Cibis działacz NSDAP oraz Ortsleiterzy Kowol, Hein i Markworth. Miasto oplakatowano obwieszczeniami, z podpisem Strużyny, nakazującymi oflagowanie domów sztandarami ze swastyką.

Jako pierwszy, już 4 września z rąk faszystów zginął ukrywający się w Michałkowicach uczestnik powstań śląskich Jan Tynior, który 1 września został ciężko ranny. W tym samym dniu w Siemianowicach został zamordowany przez hitlerowców działacz niepodległościowy i związkowy Wilhelm Jędrus. Miejscem kaźni były stare wyrobiska, hałdy i szyby – do jednego z nich prawdopodobnie strącono powstańców Wilhelma Szewczyka i Wilhelma Jędrusia. Ujętego Józefa Dreyzę prowadzono w „błazeńskim pochodzie”, bijąc, opluwając i wyszydając jego mundur „Sokoła”. Za sprawą bojówkarzy z JdP na wielu domach pojawiły się hitlerowskie flagi, a na rękawach członków różnych organizacji niemieckich – opaski ze swastyką. W chorzowskim gmachu dawnego starostwa przy ulicy Dworcowej został rozlokowany oddział operacyjny z Einsatzkommando I/1, bezpośrednio podległy SS-Stürmbanfuhrerowi Ludwigowi Hahnowi, przeznaczony do likwidacji potencjalnych wrogów III Rzeszy w Siemianowicach.

Aresztowanych polskich patriotów torturowano w gmachu dawnego gimnazjum niemieckiego (później mieściła się tam dyrekcja huty „Jedność”). Tutaj, przed straceniem, wymyślnym mękom poddawano m.in.: Wilhelma Jędrusia, Jana Niedworoka, Jana Rudzińskiego i Wilhelma Szewczyka. Wśród torturowanych znalazł się także Jan Korfanty,

brat Wojciecha, dyktatora trzeciego powstania śląskiego. Od 6 do 8 września 1939 r. wywieziono z Siemianowic Śl. i osadzono w katowickim więzieniu 186 polskich działaczy politycznych. Wielu z nich nie powróciło już do swoich rodzin. Według dotychczasowych niepełnych ustaleń w Siemianowicach ogółem zginęły 172 osoby.

W tej sytuacji ojciec artysty, Ryszard Sylwester Nowak za odmowę podpisania volkslisty został wywieziony na roboty do Niemiec i zmuszony do niewolniczej pracy w kopalni węgla brunatnego, gdzie dodatkowym zagrożeniem dla życia były alianckie naloty bombowców. W nieludzkich warunkach przymuszony do ciężkiej pracy wrócił dopiero po zakończeniu wojny ciężko chory, owrzodzony i wycieńczony fizycznie. W swym sprzeciwie wobec niemieckiego okupanta i systemu opresji nie był osamotniony. Mimo, iż postawa taka była aktem wielkiej odwagi i narażała całą rodzinę na niemieckie szykany, także i inni mężczyźni solidarnie nie podjęli służby w niemieckim wojsku. Paweł Nowak, brat dziadka Hermana, uczestnik powstań śląskich musiał ukrywać się do końca wojny. Natomiast stryj Herman junior poszedł we wrześniu 1939 r. na wojnę i wszelki śluch po nim zaginął.

Dla dziewięcioletniego Janka były to bardzo trudne i bolesne doświadczenia. Dorastał bez ojca i w ciągłym poczuciu zagrożenia. Matka musiała przejąć obowiązki obojga rodziców i zatroszczyć się o całą rodzinę. Dodatkowo czyniła staranie o uratowanie męża, który znalazł się w kolizji z niemieckim prawem wojennym. Życie nie rozpieszczęło Franciszki Julii Nowakowej ani jej jedynaka.

Głód miłości i sztuki

Jan Kazimierz Nowak urodzony i wychowany w środowisku robotniczym, jako syn blacharza, dorastający w trudnych warunkach wielkiego kryzysu gospodarczego i wojny światowej, postanowił opuścić środowisko swoich przodków i usamodzielnic się. Do celu była jednak długa droga. Musiał wybić się w świecie, który go nie rozumiał. Zdawał sobie sprawę, że nie posiada środków



Szkic portretowy dziadka Józefa Kabusa, wykonany w Siemianowicach Śl. przez młodego J. K. Nowaka



Świadectwo egzaminu czeladniczego J. K. Nowaka, Katowice 1949 r.

diów w szkołach wyższych. Niedługo po ukończeniu w siemianowickim zakładzie stolarskim Urbanika trzyletnich nauk meblarstwa, które podjął na życzenie ojca, by zdobyć jakiś konkretny fach, wyjechał na studia do Krakowa. Do tego czasu musiał liczyć się ze zdaniem chlebodawcy. Ojciec oczekiwał od syna, tak samo jak od żony, dyscypliny i bezwzględного posłuszeństwa. Zgodnie z zasadami wyniesionymi z domu trzymał rodzinę w korbach i nie znosił sprzeciwu.

Rozpoczęte w 1951 r. studia w Krakowie były okazją wymknięcia się spod żelaznej ręki ojca i autorytetu matki, która także miała rygorystyczne wyobrażenia o dyscyplinie. Jak wspominał początkowo „nawet nie pomyślał o drodze artysty” gdyż był „za bardzo trzeźwy, żeby nie zdawać sobie sprawy [...] z niezbyt głębokich w tej dziedzinie umiejętności, które by zadawały profesjonalistę”¹⁵. Mimo wszystko z czasem zaczął coraz częściej myśleć o „sprawności dłoni i bystrego oka, czyli o Akademii Sztuk Pięknych, w owianej tradycją i wypełniającą ją wspomnieniem ogromnej ilości sławnych nazwisk uczelni na placu Matejki”¹⁶ w Krakowie. Z zapałem rzucił się w wir ćwiczeń i etud rysunkowych, aby w jak najkrótszym czasie nadrobić pensum, które artysta plastyk w jego wieku powinien dawno mieć na swoim koncie. Jak zawsze w różnych sytuacjach, pokładał całe swoje zaufanie wyłącznie we własnej determinacji i ambicji. Był przeświadczony, że dzięki nim coś osiągnie. Ta wcześniej

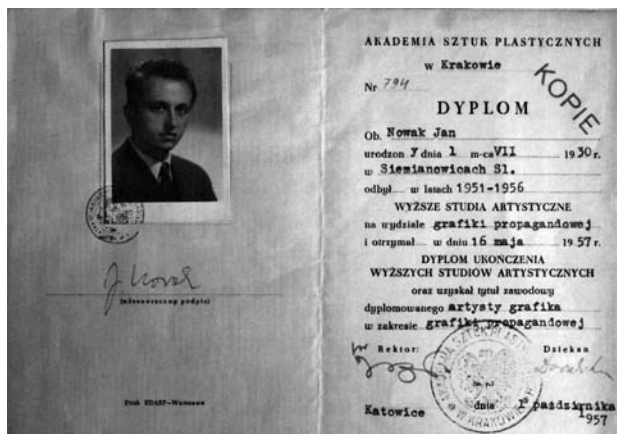
na spełnienie młodzieńczych marzeń i ambicji. Tak więc, mimo szczerych chęci i prawdziwego powołania, początki jego kariery będą bezbarwne i mdłe. 1 września 1946 r. został przyjęty do Publicznej Średniej Szkoły Zawodowej w Siemianowicach Śl. i zakwalifikowany do działu ogólnego, grupy stolarskiej. Świadectwo jej ukończenia otrzymał 25 marca 1949 r.¹² Kilka miesięcy później, 23 września 1949 r., złożył w Katowicach przed Komisją Egzaminacyjną tamtejszej Izby Rzemieślniczej egzamin czeladniczy w rzemiośle stolarskim¹³. Kolejnym etapem kształcenia była dwuletnia nauka w katowickim Liceum Sztuk Plastycznych zakończona wręczeniem 25 VI 1951 r. świadectwa dojrzałości¹⁴, które uprawniało do stu-



Studenckie figle tzw. „donkiszoteria” J. K. Nowak w roli Don Kichota z La Manchy i Franciszek Wyleżuch, jako Rosynant

rozwinęta cecha charakteru – wiara we własne możliwości, nawet jeśli reszta świata w nie wątpi – będzie ważna w jego dalszej drodze życiowej. Zdawał już sobie sprawę, iż sztuka, to jego życie i świat. Na uczelnię został przyjęty na podstawie złożonych prac konkursowych.

Rozpoczął naukę w nowym środowisku, w czasach niełatwych dla artystów, którym narzucano ostre rygory socrealizmu. Profesorowie i koledzy dostrzegli w nim bystrego i żadnego wiedzy studenta, bardzo dojrzałego na swój wiek. Akademia nie była dla niego instytucją wywołującą stres, ale miejscem, w którym przynajmniej częściowo mógł zaspokoić głód wiedzy, obejmujący najróżniejsze dziedziny poznania. Poza odrabianiem ćwiczeń akademickich rysował bez wytchnienia, co tylko mu wpadło w oko, w albumach, które kupował za zaoszczędzone pieniądze: szkice portretowe dziadka Kabusa, aktorów w kostiumach, cyrkowców, ptaki, konie, łodzie kursujące po Wiśle, fragmenty wzgórza wawelskiego. Otóż wszystkie te rysunki wykonywane w latach 1951-1952, w miarę upływu czasu stawały się coraz bardziej dokładne, starannie wystudiowane, coraz lepiej „uchwycone”. Równie duże postępy widoczne były w jego malarstwie. Dumny z osiągnięć, coraz bardziej świadomy, że staje się mistrzem, zamierzał pójść za przykładem innych artystów, którzy wystawiali



Dyplom J. K. Nowaka ukończenia Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, 1957 r.



Prof. Leon Dożycki i koledzy z roku na tle budynków uczelni. Katowice 1957

swe prace. Co więcej, komplementy, jakimi go zaczęto obsypywać, ten zachwyty, którego stawał się obiektem, tylko może nie w rodzinie, dodały mu pewności siebie; przeczuwał, że w końcu zaprezentuje wszystkie swoje możliwości.

Ponadto był pod urokiem Krakowa, w którego licznych kawiarniach i studenckich klubach, w kłębach papierosowego dymu, przesiadywali tłumnie młodzi ludzie, rozgrzewając się winem lub piwem. Ubrani ekstrawagancko, czasem biednie, gromkim głosem zmieniali świat. W namiętnych dyskusjach o sztuce czy literaturze, w każdym zdaniu, jakie padało z ich ust, roiło się od modnych wówczas „-izmów”: symbolizmu, mistycyzmu, dekadentyzmu, kapizmu, abstrakcjonizmu z wyjątkiem socrealizmu. Wśród krakowskich kolegów Jana Kazimierza Nowaka znalazł się m.in. Franciszek Starowieyski, który po wyrzuceniu z uczelni Tadeusza Kantora, dla młodzieży symbolu niezależności, trafił do pracowni Wojciecha Weissa i w tym czasie wymyślił Jana Byka. Do zacnego grona adeptów sztuk pięknych należał również Jerzy Beski, „znawca win i malarz bardzo przyjemnych akwarel śląskich” oraz Franciszek Wyleżuch ze Strumienia, nazywany „Kułakiem”.

F. Starowieyski w tym czasie zaczął rysować „sceny z burdeli” i „ukrzyżowania świętych kurew”, a jak później wspominał nagrodę młodych dostał „za fałszywego Rembrandta pt. *Nocny zrzut*. Litografii tej zawdzięczał przywrócenie praw studenckich, gdyż został wyrzucony za wspomniane burdelowe

szeny¹⁷. Jan Kazimierz Nowak tak opisywał tamte czasy: „Mieszkaliśmy w akademiku na Grzegórzeckiej, razem z Frankiem Starowieyskim. Już wtedy był z niego niezgorszy oryginał. Można by do późna w noc opowiadać o wariacjach, które wykonywał. Ja, jako Ślązak, czyli „czysty Hanys”, chyba byłem stateczniejszy. No, nieco. Chyba. Zdumiewająco bowiem wiele czekało mnie w życiu, jak na chłopca z siemianowickiego placu, odkryć”¹⁸.

Franka Starowieyskiego zapamiętał także, jako krzewiciela kultury fizycznej i zdrowego trybu życia. Każdego ranka budził ich pohukując: „lenie śmierdzące wstawajcie się gimnastykować”. Zwracał on ponadto na siebie uwagę swoim ekstrawaganckim strojem. Ubierał się w kurtkę azbestową nabytą od hutników, beret z dzyndzlem, obcisłe spodnie (dżinsy były wówczas towarem niedostępnym), a do tego na nogach miał buty na grubych, pięciocentymetrowych. podeszwach, zwanych słoniną. Tak szpanersko odziany zawsze biegiem wskakiwał do tramwaju by zwrócić uwagę płci pięknej. Strój ten także był symbolem awangardy, buntu i znakiem rozpoznawczym wielu subkultur. Modę na „słoninę” podobno zapoczątkowali greeserzy – amerykańscy fani muzyki rockabilly. W Polsce buty na słoninie, jako pierwsi zaczęli nosić bikiniarze – piętnowani przez władzę ludową miłośnicy jazzu utożsamiani z sympatykami „upadłej i zgniłej” kultury Zachodu. Właściciele takich butów byli zwalczani przez partię i młodych działaczy Związku Młodzieży Polskiej, utożsamiano ich z chuliganami, byli obiektami napaści nie tylko ze strony różnych propagandystów, autorów napastliwych filmików promujących „moralność socjalistyczną”. W tym okresie „dżolersko” odziany Starowieyski i grający muzykę jazzową Nowak byli parą niezwykłą i nawzajem się uzupełniającą.

Pewnego razu, któryś z kolegów obciął Franciszkowi Starowieyskiemu



Asystent profesora A. Raka, J. K. Nowak ze studentami Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (Filia Katowice)

„dzyndzla” przy berecie. Pograżonemu w czarnej rozpaczycy uszkodowanemu przyjacielowi Jan Nowak doradził wspólną wyprawę do kościoła Mariackiego, gdzie łatwo można było spotkać wiejskie baby, które grube „dzyndzle” nosiły przy chustach. Za radą Nowaka, Starowieyski uciął gospodyni żyletką potrzebny mu „dzyndzel”, a później w akademiku przykleił go do beretu. Czas w Krakowie wypełniały nie tylko studenckie psoty i koleżeńskie figle.



Jan Kazimierz Nowak z Alfredem Zemlokiem, projektantem reklam. Zakopane-Gubałówka ok. 1964 r.

Młody Nowak koncentrował się całkowicie na tym, by przeforsować swoje cele i zainteresowania wbrew woli rodziców, aby stopniowo uwolnić się spod ich wpływów. Odkrywał nowe pasje i fascynacje. W tamtym okresie oprócz świata dźwięków, w o wiele większym stopniu było nią malarstwo. Jednak muzykę kochał od dziecka. Jeszcze podczas praktyki w zakładzie stolarskim Urbani-ka, która miała go sprowadzić

ze świata marzeń na grunt rzeczywistości, zainteresował się grą na gitarze. Zreperował zepsuty i porzucony instrument i zdeterminowany przystąpił do pierwszych wprawek muzycznych. Codziennie ćwiczył czasami przez wiele godzin. Mimo zacięcia do muzyki jego myśli nadal krążyły jedynie wokół magicznego świata barw, pędzli i farb. Postanowił pracować i ćwiczyć tak ciężko, jak tylko potrafił, przez całe lata, jeśli będzie potrzeba, po to, by udowodnić ojcu, że może zostać prawdziwym artystą i nigdy wstydu nie przyniesie ani jemu, ani jego nazwisku, czego tak się obawiał.

Zainteresowania muzyczne pozwoliły mu osiągnąć w ograniczonym stopniu niezależność finansową i zapewnić bardzo skromne dochody na podstawowe wydatki egzystencjalne. „Druga pasja – w jego mniemaniu – przydała się [...] praktycznie, ponieważ wtedy, a zwłaszcza kilka lat później, dzięki tej wszędzie go otaczającej muzyce, mógł sobie pomóc w przetrzymaniu początkowych lat pięćdziesiątych, ogromnie biednych i szarych, a na tym tle chłodnych i głodnych czasów studenckich”. Trudy egzystencji dzielili z nim także muzykujący: Henryk Bielica, grał on w Małej Orkiestrze Rozrywkowej Rozgłośni Śląskiej Polskiego Radia w Katowicach, pod kierunkiem Jerzego Harald, pianista Sadulski i młody akordeonista Koźdoń, siemianowicki stomatolog. Zdarzało się czasami, iż J. Nowak od ojca plastyka Antoniego Halora pożyczał kontrabas, na którym grywał osobiście. Szczególnie ważną była jednak zażyłość z Koźdoniem, gdyż do jego rodziny należał Hotel-Restauracja przy ulicy H. Sienkiewicza 1. Lokal słynął z dobrej kuchni: podgardli i kiszek, „dobrze pielęgnowanych książęcotyckich piw, wódek i likierów” oraz zabaw karnawałowych “u grubiańskiego Gotlieba”. Atrakcję stanowiło strzelanie premiowe do tarczy, gra premiowa w bilard, loteria i muzyka „dżezbendowa”. Wspominając znajomych z tamtych czasów Nowak zaznaczał, iż „klezmerzył z nimi dużo i w różnych miejscach”



J. K. Nowak: *Cyrkowcy*, 1997

Crosby'ego i Franka Sinatrę, który w latach pięćdziesiątych, jako wokalista występował w wielu filmach muzycznych. Nowak oczywiście nie stworzył grupy na miarę Original Dixieland Jazz Band, Red Hot Peppers czy Jelly Morton, ale do historii przeszedł jako znakomity artysta grafik i malarz, muzykujący aby zarobić na życie.

Ówczesne powojenne realia komunistycznego PRL-u, były takie, iż nędzę cierpieli wszyscy, m.in. wyrzucony przez UB z całą rodziną z majątku w Brat-kówce, Franciszek Starowieyski, wśród którego antenatów byli wyszcze-



J. K. Nowak i jego cyrkowe grafiki

co skutkowało „grozmem zapełniającym pustki studenckiej kieszeni”. Proceder ten uprawiał aż do 1957 roku, to jest do uzyskania dyplomu. Wówczas preferował głównie muzykę jazzową gdyż była moda na big bandy grające ragtime, blues, swing, itp. Jako solistów cenił Louisa Armstronga, Binga

gólnieni w drzewie genealogicznym, m.in. Stanisław Kostka Potocki, właściciel Wilanowa, czy marszałek wielki koronny Franciszek Bieliński, dla którego pałac projektował sam Just-Aurele Meissonier, jeden z największych artystów XVIII wieku. Nawet i on przez pewien czas przemieszkował na dworcu, a pierwszym samodzielnym mieszkaniem F. Starowieyskiego stał się drewniany barak na Saskiej Kępie.

Wówczas nikt z klepiących biedę krakowskich kolegów J. K. Nowaka nie był w stanie przewidzieć, iż z tego ekscentrycznego studenta, który wcielił się w postać Jana Byka, wyrośnie wybitny polski grafik, malarz, scenograf, profesor Europejskiej Akademii Sztuk, autor dzieł o bogatej symbolice: plakatów, ilustracji, opracowań graficznych książek oraz obrazów, bohater ponad 200 wystaw w kraju i zagranicą.

Po dwóch latach drogi obu artystów się rozeszły. F. Starowieyski dalsze studia kontynuował w Warszawie, a J. K. Nowak w Katowicach. Już w 1945 r. do Katowic z Warszawy i z Krakowa przybyli: Aleksander Rak, Rafał Pomorski, Leon Dołżycki i Jan Dutkiewicz, których twórczość malarska wywodziła się w większości przypadków z różnych odmian postimpresjonistycznego koloryzmu. Jedynie Rafał Pomorski we wczesnym okresie fascynował się sztuką abstrakcyjną, a później został uznany za twórcę śląskiego pejzażu przemysłowego. Wszyscy oni byli profesorami katowickiej uczelni i to u nich J. K. Nowak zgłębiał tajniki sztuki. Malarstwa uczył się w pracowni prof. Rafała Pomorskiego. Pod kierunkiem prof. Aleksandra Raka, kierującego pracownią grafiki artystycznej, analizował dawne i nowsze techniki i technologie, ponadto wyniósł rzetelną i gruntowną znajomość warsztatu i poszanowanie dla pracy grafika. W późniejszym okresie J. K. Nowak dał się poznać, jako utalentowany autor plakatów. Studiował tę dyscyplinę u prof. Bogusława Góreckiego.

Niezwykłe, jak na tamte czasy jest przede wszystkim to, że samodzielność i suwerenność Jana Kazimierza Nowaka znalazły wyraz także w życiu uczuciowym. Jeszcze silniej niż kiedyś, gdy obstawał przy niezależności zawodowej, później walczył o wolny wybór życiowej partnerki. Barbarę Artelównę, wnuczkę Władysława Artela, syberyjskiego zesłańca spod Tomska, poznał, jako uczennicę I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Śniadeckiego w Siemianowicach Śl., kontynuującego tradycje XIX wiecznej pensji panny Gruber i przedwojennego gimnazjum, odwiedzanego przez wojewodę śląskiego Michała Grażyńskiego. Była to wówczas najlepsza szkoła w okolicy, w której nauczano, aż pięć języków (w tym dwa martwe: grekę i łacinę), a na 36 uczniów maturę zdawało 6. Liceum sąsiadowało z powszechnie znaną w całych Siemianowicach stolarnią Stańczyka i Urbanika, w której terminował młody Nowak. Już wówczas uzdolniony muzycznie grywał z kolegami na wieczorkach i zabawach karnawałowych organizowanych w licealnej auli. Jego umiejętność gry na wielu instrumentach i nieprzeciętna uroda zaskarbiły mu względy wielu dziewcząt. Imponował im dowcipem, powiedzonkami, paradoksami i lekką ironią. Jednak Nowak zwrócił uwagę na młodą Barbarę Artelównę. Gdy udało mu się z nią przywitać i pochwycić nieśmiały uśmiech już nie zrezygnował z dalszych starań i zabiegów. Najpierw poprosił ją na jednej z zabaw do tańca,



J. K. Nowak: Portret Barbary Artel-Nowak

a następnie zaczął, niby przypadkiem, coraz częściej pojawiać się na lodowisku przygotowanym na terenie kąpieliska „Bartek” i zabiegać o zgodę panny na „odprowadzki” do domu. Następnie postanowili umawiać się na wspólne spacerunki. Nowak towarzyszył pannie także podczas wyjazdów na lekcje gry na fortepianie, które pobierała w katowickiej szkole muzycznej im Mieczysława Karłowicza. Ze względu na coraz częstsze spotkania, aby uspokoić rodziców i odwrócić ich uwagę, wymyśliła, że w eskapadach towarzyszy jej koleżanka klasowa. Artelówna do

jednej klasy uczęszczała z Lusią Cupiał¹⁹ i to ona była przykrywką owego „romansu”. Jednak pewnego razu ojciec spotkał parę podczas przechadzki i tak się wydało, że „Lusia” to Jan Kazimierz Nowak. Uczucie przetrwało próbę czasu i przewyciężyło wszelkiego rodzaju przeszkody. Mimo obaw ze strony rodziców obu stron, młodzi postawili na swoim i 24 grudnia 1955 r. zawarli związek małżeński. Obdarzony bezgraniczną miłością młodej i pogodnej kobiety o twarzy rozjaśnionej bystrym spojrzeniem dużych oczu, mógł kontynuować rozpoczęte studia i realizować plany życiowe. Owocem szczęśliwego mariażu była córka Katarzyna (po mężu Zagórska), również artystka plastyk, z powodzeniem uprawiająca profesję ojca, po którym odziedziczyła talent i wrażliwość na kolory i piękno świata. Od wczesnych lat dziecięcych patrzyła na rysującego i malującego ojca, godzinami przesiadywała w jego pracowni. O swojej decyzji bycia artystką i inspiracjach twórczych powiedziała, iż „Maluje w odpowiedzi na brutalność codzienności, na szarość i brud



Katarzyna Rojek-Artłowa (ur. 1915), teściowa J. K. Nowaka



Władysław Artel (zm. 1939), dziadek Barbary Artel, rusznikarz w warszawskiej Cytadeli, zesłaniec syberyjski, właściciel cukierni przy moście Kierbedzia

w 1956 r. kończył on Wyższe Studia Artystyczne, a na dyplom artysty grafika musiał poczekać do października 1957 r. Na jego trudną sytuację rodzinną nakładał się kryzys gospodarczy i polityczny PRL oraz napięta sytuacja polityczna w Europie. Poznański czerwiec



Matka artysty

otoczenia. Bogactwo żywych, wiecznie zmieniających się form natury”. Według niej „Formy te nie są jednak tylko obrazem ogrodu, łąki, bukietu, pejzażu czy martwej natury – są marzeniem o kolorze, świetle i powietrzu”²⁰.

Taniec życia

Miłość i sztuka doprowadziły nie tylko do zwykłych wybuchów gniewu ojca i matki Jana, ale do poważnego kryzysu, a na koniec nieomal do podziału rodziny Nowaków. Kondycja materialna „kandydata na artystę” nie zapewniała bezpieczeństwa ekonomicznego żonie Barbarze i nowonarodzonemu dziecku. Dopiero i interwencja Układu Warszawskiego na Węgrzech wstrząsnęły stalinowskim systemem. Stalinogrodowi (Katowicom) przywrócono historyczną nazwę, a na dworcu kolejowym strzaskano popiersie Józefa Stalina.

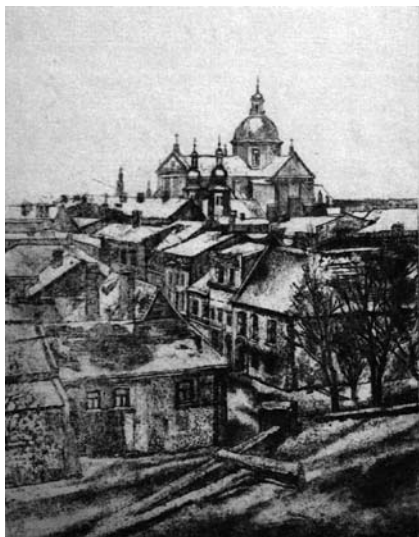
Splot tych wszystkich wydarzeń, a w szczególności trudna sytuacja ekonomiczna, rzutowały na brak perspektyw. Życie to nie tylko stan zakochania i nadzieje związane ze ślubem. Od dawna już nie wystarczało mu pieniędzy. Tym bardziej teraz, kiedy na utrzymaniu miał trzy osoby. Ostatecznie jednak to ojciec, a nie matka pogodził się z wyborami syna, który w 1960 roku na stałe osiadł z żoną Barbarą nie w Siemianowicach Śl. a w Tychach. Początki były jednak bardzo trudne. Razem z małym dzieckiem



J. K. Nowak w swoim tyskim mieszkaniu-pracowni

i młodą żoną zamieszkiwał w małym pokoiku, bez żadnych dodatkowych wygód, sztuka wymagała ofiar. Dopiero po wielu latach ciężkich wyrzeczeń udało mu się w 1972 roku zakupić małe mieszkanko przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie 6, gdzie jeden z pokoików zamienił na pracownię malarską, w której unosił się stale silny zapach świeżych farb, kleju i drewna. Nieodłącznie towarzyszyły mu żona Barbara, córka Katarzyna, a po latach ukochany wnuczek Marcin Zagórski. Niezwykłym domownikiem i przyjacielem był jamnik Kajtek (prezent od J. Moskala), który szanując trud artysty, spacerował po pracowni i mieszkaniu, umiejętnie wymijając schnące na podłodze odbitki grafik wyjęte dopiero co z prasy. Czasami z dawnych znajomych i przyjaciół odwiedzali go tu m.in. Franciszek Starowieyski, ksiądz prałat Engelbert Ramola i Wiesław Ochman.

Marzył, jak przystało na artystę, by wyrażać swoje baśniowe wizje w całkiem nowym, własnym i możliwie samodzielnie wypracowanym stylu. Fascynowała go wówczas m.in. twórczość Fernanda Legera. Postawa Nowaka wobec Legera była jednak dokładnie taka sama, jaką przyjmował wobec innych artystów. Nigdy nie starał się ich naśladować czy czerpać z nich zbyt dosłownie: dobrze wyczuwał, że gdyby to robił, byłby stracony. W każdy obraz czy grafikę wkładał całą osobowość. I jeśli zapożyczał od poprzedników



J. K. Nowak: *Miasto*

temat czy technikę, to w trakcie malowania nie mógł się powstrzymać od opracowania ich na swój sposób, zgodnie z własnymi możliwościami i środkami, które uznał za najbardziej odpowiednie. Z upływem czasu sztuka jego stawała się „zarówno bardzo prosta i oszczędna, jak złożona i bogata, tak łatwa z pozoru, choć w istocie tak trudna zarówno w koncepcji i wykonaniu, jak niepowierzchowym odbiorze”²¹.

B. Kowalska tak opisała charakter i klimaty jego dzieł: „Nowak lubi piękno, harmonię, lubi też opowiadania o radości. Piękno i harmonia objawiają się w równowadze kompozycji, w symetrii i logice jej układu,

w uproszczeniach dla zyskania ujednolicenia i rytmu form i barw. To wszystko stosuje artysta tworząc pejzaże ustawione z barwnych elementów geometrycznych, jak z kolorowych klocków, albo martwe natury na tle rozbudowanej architektury okien. Są to kompozycje dekoracyjne, ale ani na pół abstrakcyjna ich geometria, dynamiczna i prawie symetryczna, ani ulubione barwy: czerwieni, ugrów, niebieskiego i zieleni nie wyrażają radości. Te krajobrazy i kwiaty w wazonach są wymyślone i nostalgiczne. Czasem w pejzażach pojawia się postać ludzka. Jest wtedy tak uproszczona, zabawnie atletyczna, ujęta frontalnie jak postacie kobiet w litografii z lat sześćdziesiątych i jak one wyzbyte życia, jakby smutnie wykpione w tym ich nadmiernym umięśnieniu i pomnikowej postawie”²².

W latach 1958-1972 wykonywał pracę pedagogiczną w katowickiej Filii Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W gronie jego uczniów znaleźli się m.in. Tadeusz Siara, Stanisław Kluska oraz Jerzy Duda Gracz, który w 1968 r. uzyskał dyplom Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach. J. K. Nowak był już wówczas dojrzałym artystą. Wystarczy spojrzeć na jego dzieła, by uznać w nim „majstra niepośledniej miary. Równie dobrze czuł się w subtelny linearyzmie, w którym jedno przesunięcie kreski, bądź nawet zmiana jej grubości zachwiałyby kompozycją, jak w rozlewnej plamie, w graficznej, bliskiej bezprzedmiotowości syntezie, jak hiperrealizmie, w kompozycji jednorodnej, jak heterogenicznej, w ostrym światłocieniu linorytu, jak



J. K. Nowak: *Roma*
14 IX 1968

delikatnych niuansach metali”²³. Jego kompozycje rysunkowe urzeczywistniały myśl włoskiego teoretyka sztuki Federico Zuccaro (ok. 1540-1609), który głosił, iż „rysunek nie jest materią, ani przypadłością, ani substancją. Jest formą, ideą, porządkiem, regułą, wyrazem tego, co umysł poznał”. J. K. Nowak rysował bez przerwy, nawet chory, używając na przemian ołówka i piórka.

Włoska peregrynacja i magiczny świat sztuki

W 1968 r. otrzymał stypendium rządu włoskiego i wyjechał na pięć miesięcy do Italii. Zakwaterowano go w Międzynarodowym Domu Studenta w Rzymie (Casa Internazionale Dello Studente) przy Viale del Ministero degli Affari Esteri, gdzie zaprzyjaźnił się z dwoma Japończykami. Z nimi jeździł autem po całym półwyspie apenińskim. Dotarł do Wezywiusza, zwiedził m.in. Wenecję, Cremonę, Modenę, Florencję (z jej słynnymi Galeriami Pittich i Ufizzich) i Sienę (kolebki włoskiego renesansu), Pompeje, Neapol, śledził ślady św. Franciszka w Asyżu. Podziwiał *Sąd Ostateczny* Michała Anioła w Bazylice św. Piotra i Muzea Watykańskie. Wszystkie te cuda oglądał kosztem wielu wyrzeczeń. Stypendium zapewniało mu noclegi, śniadania i kolacje oraz kieszonkowe 150 dolarów na miesiąc, obiady jadał w własnym zakresie, najczęściej była to bułka z szynką i ćwiartka wina. Za to nie mógł narzekać na ucztę duchową. Po upływie wielu lat wciąż zachował pamięć o pomnikach historii Rzymu, znał tamtejsze ulice, kościoły i place.

Wystawiał i sprzedawał swoje prace w domu aukcyjnym Galeria-Galerie de Paris mieszczącym się przy Via Margetta w Rzymie, który prowadził Lionel Fioravanti Massa (1903-2003), przyjaciel artystów i malarzy, głównie skupionych w kolonii paryskiej, jak Matisse, Picasso, Bonnard, Dufy, Van Dongen, Jean Cocteau, czy Sergiusz Diagilew, współpracujący ze znakomitym rosyjskim kompozytorem Igiorem Strawińskim, Na długiej liście znajomych i przyjaciół



J. K. Nowak: Portret Lionela Fioravanti Massy, 1968



Katalog wręczony przez L. F. Massę J. Nowakowi, Rzym 1968

Massy był także światowej sławy architekt Corbusier. Dostęp do osoby tak ustosunkowanej w świecie sztuki był dużym wyróżnieniem dla talentu Jana Kazimierza Nowaka, nie wspominając o zastrzyku finansowym pozwalającym na wspólne z Japończykami wojaże po słonecznej Italii. Dodać należy, iż prace J. K. Nowaka były ponadto eksponowane w Ośrodku Kultury Włoskiej w Rzymie i spotkały się z bardzo dobrym przyjęciem zarówno ze strony krytyków sztuki, jak i oglądających. Pokłosiem wyprawy za Alpy był m.in. cykl prac pt. *Notatki z podróży*, zaprezentowany na wystawie w Katowicach, za który J. K. Nowak otrzymał wyróżnienie.

Była to uwertura zapowiadająca ciąg dalszy i kolejne dzieła na ten temat. Już wówczas krytycy zwrócili uwagę także na jego inny cykl tematyczny, poświęcony życiu cyrkowców. *Cyrki* miały bardziej skomplikowaną konstrukcję i były złożone znaczeniowo. „Clowni występowali z pomalowanymi jaskrawo twarzami, sztucznymi nosami i w czapkach pajaców, albo niemodnych kapeluszach. Ustawieni jak do pamiątkowego zdjęcia u prowincjonalnego fotografa, dęli w puzony, grali na harmonii, bębniłi w bębny, a wołyżerki jeździły na słońiach albo też powiewały w górę uniesionymi dłońmi, manifestowały beztroską wesołość, wszystko to zaś pozostawało bezradosne: ładne, kolorowe, starannie skomponowane, dekoracyjne i smutne, jak



Jean Cocteau i Lionel Fioravanti Massa. Strona przedtytułowa katalogu z dedykacją Massy dla Nowaka, Rzym 1968

na, J. K. Nowak narzuca sobie surowe rygory porządku kompozycyjnego. Szuka zatem – zdaniem J. Madeyskiego – relacji między składowymi dzieła: kreską, szkieletem budowy a płamą i światłocieniem, szuka rytmów, scala konstrukcję i wyraz również poprzez wprowadzenie lekkich dominant barwnych. Lecz że mistrza poznaje się w ograniczeniach upraszcza, by tym czyściej, tym precyzyjniej wejść w formę, by mniejszymi środkami móc powiedzieć więcej. Podobne



J. K. Nowak: *Notatka z podróży. Cremona*, olej, akryl

pożegnanie”²⁴. Według B. Kowalskiej taka jest cała twórczość Nowaka: „powierzchniowo barwna i pogodna, deformująca dla zabawy, geometrycznie uproszczona dla równowagi, rytmizowana i prawie symetryczna dla ornamentalności, a od wewnątrz ironiczna i nostalgiczna, o smutnych miastach i smutnych ludziach dla innych smutnych ludzi”²⁵.

Cyrki to także wspomnienia z dzieciństwa powracające na płaszczyznę obrazu „w postaci orkiestr podwórzowych, cyrków i pejzaży, w których się wychował. Jak każde wspomnienie są one owiane sentymentem, więc upiękzone. A że ład, jak to już zostało powiedziane, jest personifikacją piękną, J. K. Nowak narzuca sobie surowe rygory porządku kompozycyjnego. Szuka zatem – zdaniem J. Madeyskiego – relacji między składowymi dzieła: kreską, szkieletem budowy a płamą i światłocieniem, szuka rytmów, scala konstrukcję i wyraz również poprzez wprowadzenie lekkich dominant barwnych. Lecz że mistrza poznaje się w ograniczeniach upraszcza, by tym czyściej, tym precyzyjniej wejść w formę, by mniejszymi środkami móc powiedzieć więcej. Podobne dążenia i osiągnięcia określił Julian Przybós pisząc o wierszach Wisławy Szymborskiej, która »mówiąc tak mało potrafi powiedzieć tak wiele«²⁶.

Bardzo konkretnie na temat tego cyklu wypowiadał się sam J. K. Nowak. Zawsze podkreślał, iż kochał cyrk, że był on instytucją równą teatrowi, a nawet wymagającą większego nakładu pracy. Zdaniem artysty gdy aktor się pomylił, mógł się poprawić, takiej szansy nie miał cyrkowiec, którego błąd mógł kosztować życie lub trwałą utratę zdrowia. Powiadał też, iż życie nie jest tak kolorowe, jak jego obrazy,



J. K. Nowak: *Clown z papugą*, 1994, litografia akwarelowana, 28,5x19,5 cm

plenerowych i okolicznościowych wystawach. Szczególnie bliskie relacje łączyły go z mistrzami plakatu: Starowieyskim i Świeżym. Wciąż doskonalił swój warsztat grafika, by uzyskać zegarmistrzowską precyzję dawnych mistrzów. Wielokrotnie wracał do tych samych motywów, tematów, miejsc i twarzy. W latach sześćdziesiątych dużo uwagi poświęcił cyklowi pt. *Okna*. Jak zwrócił uwagę J. Dębski, były to kompozycje będące transpozycją średniowiecznych ołtarzy: dyptyków, tryptyków i poliptyków. Wielu krytykom sztuki cykl ten „wydaje się być najdojrzalszy, pełen klasycznej harmonii, rytmu i ładu”²⁸. Dopatrywali się w nim pitagorejskiego porządku figur geometrycznych i zasad złotego podziału.

Według J. Dębskiego „Piękno opierało się [...] na odpowiedniej proporcji. Często kompozycję uzupełniał wizerunek urodziwej kobiecej twarzy o regularnych rysach”²⁹. Najczęściej przedstawionej *en face* lub trzy czwarte. W całym cyklu można doszukać się reminiscencji podróży odbytych po Italii i wspomnień miejsc, które znał od wczesnego dzieciństwa. Stąd w wielu jego pejzażach obecne były panoramy starego Śląska, bliskich mu Siemianowic Śl., Katowic, Chorzowa, Tych i Gliwic. I nic w tym dziwnego gdyż urodził się, wychował i tworzył na Górnym Śląsku, którego znał topografię, obyczajowość i kulturę. Wszystkie postacie bębniistów, trębaczy i cyrkowców przywoływały sceny podwórkowe z udziałem śląskich elwów (artystów ulicznych), a później kadry filmu Janusza Kidawy *Grzeszny żywot Franciszka Buły*. Częstym atrybutem występującym w kompozycjach J. Nowaka były instrumenty muzyczne, na których grały orkiestry górnicze lub wiejskie kapele. „Górują one nad śląskim pejzażem uporządkowanym na modłę starożytno-średniowieczną”³⁰. Obrazy J. K. Nowaka to swoisty amalgamat powstały w wyniku zetknięcia się dwóch światów duchowych: antycznego Rzymu i kultury sakralnej europejskiego średniowiecza. Wyróżnia je „wyraźna, lecz oszczędna, ograniczona kolorystyka”³¹.

a codzienna praca w cyrku jest żmudna i wyczerpująca. Zawsze jednak dodawał: „moi bohaterowie nie są smutni, lecz poważni”²⁷.

Po 1972 roku, jako niezależny artysta prowadził swoją pracownię w prywatnym mieszkaniu w Tychach. Był jednak w stałym kontakcie z czołowymi artystami krajowymi, z którymi się spotykał na wernisażach, wyjazdach



J. K. Nowak w pracowni z córką Katarzyną, także artystą plastykiem

J. Madeyski zwraca ponadto uwagę, iż autor cyklów *Okna* i *Cyrki* postawił przed sobą cel ambitny i skomplikowany „jakim jest połączenie na zasadzie idealnej równowagi dwu najważniejszych składowych natury ludzkiej i tworzącego jej odbicie dzieła sztuki: logiki i emocji, tego, co w człowieku jasne i przejrzyste, więc Apollinskie i tego, co mroczne i zagmatwane, zatem Bachiczne. Tego, co płynie z kontrolującego umysłu i tego, co lęgnie się w podświadomości i tkwi w niej, by z nagłą przypuścić ostry szturm na pozycje rozumu”³².

Prace J. K. Nowaka z cyklu *Cyrki* dobrze przyjęte zostały m.in. w kręgu artystów i krytyków portugalskich. Dowodem tego była wystawa pt. *Polska miniatura graficzna* w galerii Sociedade Nacional de Belas Artes (Towarzystwa Sztuk Pięknych) w Lizbonie, która została zorganizowana ze zbiorów Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi, przy współudziale Ambasady Polskiej w Lizbonie. Z kolekcji, liczącej 8 095 prac, powstałej z darowizn artystów grafików, uczestników międzynarodowego triennale w latach 1979-1999, w Lizbonie eksponowane były prace 52 grafików polskich. W galerii Towarzystwa Sztuk Pięknych w Lizbonie eksponowane były, m.in., dwie prace J. K. Nowaka:

1. *Żonglerzy*, 1991, technika mieszana col. 12x11,6
2. *Cyrk III*, 1991, technika mieszana col., 12x14

Szanowny Panie

Jestem grafikiem, uprawiającym swój warsztat a także malarstwem - od przeszło czterdziestu lat. W najbliższym czasie, mam zaplanowaną obszerną wystawę w Katorickim BWA. Chociaż nie jest to dla mnie stawa się bezpośrednim impulsem mego listu.

Cóż pragnąłbym zaprosić - a jednocześnie poprosić - czy mi zechciałby Pan poświęcić część swego czasu i uwagi mojej pracy artystycznej i przyjąć zaproszenie do napisania kilku słów wstępu do przygotowywanego aktualnie katalogu.

Refleksje Saiskie byłyby dla mnie tym cenniejsze, że pochodziłyby od kogoś, którego autorytet w świecie sztuki cenię, ale zarazem stanowiłyby próbę opinii - a może nawet dałoby się zrobić szerszą ocenę - powstałej poza środowiskiem artystycznym w którym wyrosłem i w którym ciągle nadal się obracam.

Dla pełniejszego - choć tylko wstępnego zorientowania Pana o mojej działalności posyłam sobie przesyłać katalogową notę biograficzną. Funkcją zaś mego biletu artystycznego pragnąłbym by spełniła rolę dowcucha do listu grafika.

Jednocześnie - mi moją reprezentacją Panu osobiste przesłałem zestaw moich prac posyłam sobie listem tym serdecznie Pana zaproszenie do odwiedzenia mojej pracowni.

Będzie najmocniej zobowiązany, gdyby zechciał Pan spełnić moją prośbę i skorzystać z proskajacego w tej formie zaproszenia.

Łączę wyrazy szacunku

J. Nowak

Jan Nowak
ul. C. Skłodowskiej 6 m.9. 43-100 Tyńsk
Tel: 27 32 94.



J. K. Nowak. Z cyklu *Okna*, 1991

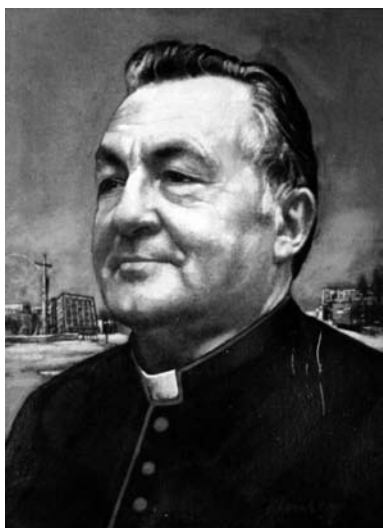
Anna Orzeszko, kurator wystawy, tak skomentowała to wydarzenie kulturalne w liście do artysty: „Wystawa wzbudziła duże zainteresowanie portugalskiego środowiska artystycznego oraz Polonii. Uroczystego otwarcia dokonał Ambasador Polski w Lizbonie, Pan Adam Halamski, gośćmi wernisażu byli prezydent Sociedade Nacional de Belas Artes, znany portugalski malarz i krytyk sztuki Pan Fernando Azevedo, prezes Związku Grafików Portugalskich, sekretarz i kurator Międzynarodowego Triennale Grafiki w Amadorze oraz przedstawiciele Fundacji Gulbenkiana. Wystawę odwiedziło około 2000 osób. Ekspozycji towarzyszyło jedynie zaproszenie i afisz informujący, które przesyłam w załączeniu”³³.



J. K. Nowak: Portret prof. Tedusza Wilczoka, Rektora Akademii Medycznej w Katowicach, olej

Zakończenie

Do końca kontynuował studia własne, często w towarzystwie kolegów: wybierał się na plenery, malował martwe natury, studia do portretów, do których pozowała nie tylko żona. Osobną grupę prac stanowiły „portrety reprezentacyjne” malowane na zamówienie osób sprawujących wysokie urzędy lub odgrywających ważną rolę w życiu społecznym. Pozowali mu m.in. arcybiskup Damian Zimon, rektor Akademii Medycznej w Katowicach, prof. dr hab. Tadeusz Wilczok, znany śpiewak operowy, tenor liryczny Wiesław Ochman, bibliotekoznawca i historyk muzyki prof. Karol Musioł (1929-1982), proboszcz tyskiej parafii pod wezwaniem



J. K. Nowak: Portret księdza prałata Engelberta Ramoli, proboszcza tyskiej parafii p.w. Jana Chrzciciela, olej

się śmierci, z którą przyszło mu się zmierzyć. W tym trudnym okresie córka Lionela Fiorentiego Massy, Donatella zaproponowała Janowi Nowakowi przygotowanie we wrześniu 2010 r., w Rzymie wystawy retrospektywnej. Artysta mimo choroby podjął wyzwanie. Nie tylko wyraził zgodę, ale zjednał dla tej inicjatywy księdza Marka Niewęglowskiego, który podjął się przewieźć J. K. Nowaka do Rzymu własnym samochodem. Niestety artysta, obłożnie chory, zmarł 5 czerwca 2010 r. w archidiecezjalnym hospicjum w Katowicach, do



Artysta z wnukiem Marcinem Zagórskim

św. Jana Chrzciciela, ksiądz prałat Engelbert Ramola (1940-2006). Wykonał także portret znanego marszanda Lionela Fioravantiego Massy, przyjaciela m.in. Jeana Cocteau i Pabla Picassa. Wyraz twarzy portretowanych zawsze był poważny, często sceptyczny. Obrazy te nierzadko pokazywały ich złożone wnętrze duchowe i określały ogólną kondycję człowieka. Wiele z tych portretów można by zaliczyć do najlepszych dzieł artysty.

Egzystencja poza pracownią interesowało go coraz mniej. Jego ostatnie lata życia upływały przy sztalugach, w samotności czystego świata kreacji, w którym potrafiła odnaleźć się tylko żona Barbara. Ona też otoczyła ciepłem i opieką ciężko chorego artystę. Nie bał się śmierci, z którą przyszło mu się zmierzyć. W tym trudnym okresie córka Lionela Fiorentiego Massy, Donatella zaproponowała Janowi Nowakowi przygotowanie we wrześniu 2010 r., w Rzymie wystawy retrospektywnej. Artysta mimo choroby podjął wyzwanie. Nie tylko wyraził zgodę, ale zjednał dla tej inicjatywy księdza Marka Niewęglowskiego, który podjął się przewieźć J. K. Nowaka do Rzymu własnym samochodem. Niestety artysta, obłożnie chory, zmarł 5 czerwca 2010 r. w archidiecezjalnym hospicjum w Katowicach, do którego został przyjęty za wstawiennictwem arcybiskupa Damiana Zimonia. Śmierć zabrała go po niespełna osiemdziesięciu latach życia. Prochy artysty złożono w grobie rodziców na siemianowickim cmentarzu parafialnym pod wezwaniem Zmartwychwstania Pańskiego przy ulicy Michałkowickiej.

Jan Kazimierz Nowak był artystą niezwykłym i bardzo wszechstronnym. Uprawiał z powodzeniem grafikę warsztatową: litografię, akwafortę, akwatintę, mezzotintę i suchą igłę. Nie stronił od malarstwa sztalugowego i fotografii. Z pasją



Warsztat grafika

Medycznym w Katowicach-Ochojcu i współpracował z jej przewodniczącym prof. dr. hab. n. med. Zbigniewem Gąsiorem. O zakresie i odbiorze społecznym tej działalności świadczyć może zaproszenie przewodniczącego Rady Fundacji skierowane do innych darczyńców: „Szanowni Państwo. Mamy przyjemność zaprosić Państwa na organizowaną po raz pierwszy przez Fundację na Rzecz Kardiologii w Górnośląskim Centrum Medycznym aukcję dzieł sztuki wybitnego artysty Pana Jana Nowaka. Cieszy nas fakt, że możemy liczyć na wsparcie



J. K. Nowak z żoną Barbarą i córką Katarzyną

rysował, fascynowała go grafika książkowa i plakat. Jego kompozycje zmuszają odbiorcę zarówno do stawiania podstawowych pytań egzystencjalnych, jak i zachwytu.

Nie lubił rozgłosu. Był człowiekiem otwartym i wrażliwym na cierpienie i krzywdę innych ludzi. O czym świadczyło jego zaangażowanie w różne akcje o charakterze charytatywnym i dobroczynnym. Aktywnie wspierał Fundację na Rzecz Kardiologii w Górnośląskim Centrum Medycznym w Katowicach-Ochojcu i współpracował z jej przewodniczącym prof. dr. hab. n. med. Zbigniewem Gąsiorem. O zakresie i odbiorze społecznym tej działalności świadczyć może zaproszenie przewodniczącego Rady Fundacji skierowane do innych darczyńców: „Szanowni Państwo. Mamy przyjemność zaprosić Państwa na organizowaną po raz pierwszy przez Fundację na Rzecz Kardiologii w Górnośląskim Centrum Medycznym aukcję dzieł sztuki wybitnego artysty Pana Jana Nowaka. Cieszy nas fakt, że możemy liczyć na wsparcie przyjaciół i sympatyków w wysiłkach czynionych dla chorych cierpiących na choroby serca.

Serdecznie dziękują Państwu za okazaną pomoc i zrozumienie. Przekazując na Państwa ręce ten katalog, kierujemy szczególne podziękowanie Panu Janowi Nowakowi, który podarował swoje dzieła³⁴ na licytację. Wśród ofiarowanych prac znalazły się:

Miasto, tempera, 55x65 cm, 1965; *Mikołów I*, akryl/olej, 70,5x70,5, 1995; *Po występie*, akryl/olej, 50x50 cm, 1985; *Clown z trąbką*, akryl/olej, 2004; *Katowice II*, akwaforta, 35x39,5 cm, 1973; *Cyrk*, akwarela 41,5x51,5 cm, 1998; *Clown z białym kotem*, akryl/olej, 50x50 cm, 2004; *Okna*, tempera/akryl/olej, 70x70 cm, 1983; *Mikołów II*, akryl/olej, 75x75 cm, 1983; *Bukiet*, akryl/olej, 50x50 cm, 1996.

Z jego pomocy korzystała m.in. także Fundacja na rzecz Wczesnego Rozpoznawania Chorób Nowotworowych u Kobiet „Godula-Hope”³⁵ i Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie. Wspierał ponadto różne inicjatywy kulturalne w kraju i za granicą, m.in. środowisk polonijnych w USA. W liście z 17 VIII 2005 r. Mirosław Gąsieniec, Dyrektor artystyczny Festiwalu *EuroSilesia* pisał: „Pragniemy serdecznie podziękować Panu za przekazanie swoich dzieł na aukcję Polskiej Sztuki Współczesnej w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku, zorganizowanej dnia 6 marca 2005 roku z inicjatywy Pana Wiesława Ochmana, z której częściowy dochód wsparł również organizowany przez nas już od początku lat 90-tych we Wrocławiu oraz innych miastach Dolnego Śląska 15. Międzynarodowy Festiwal Muzyczny EuroSilesia. Uzyskane dzięki staraniom Pana Wiesława Ochmana i Państwa serdeczności wsparcie finansowe było nam bardzo przydatne w realizacji tegorocznej edycji festiwalu. Jesteśmy wdzięczni za ten dar serca oraz bezinteresowność.

Chcielibyśmy także z przyjemnością poinformować, iż Pan Wiesław Ochman, od szeregu lat gorąco wspierający Międzynarodowy Festiwal Muzyczny *EuroSilesia*, który to projekt wszedł już na trwałe w tradycje dolnośląskiej kultury muzycznej – jest także członkiem Rady Honorowej tego festiwalu, w skład której wchodzi: min. wybitne osobistości ze świata kultury, a której od początku lat 90-tych przewodniczy jeden z najwybitniejszych dyrygentów na świecie, wieloletni szef Filharmonii Nowojorskiej Maestro Kurt Masur, urodzony pod Wrocławiem na Dolnym Śląsku. Maestro Kurt Masur jest osobiście zaangażowany w rozwój tego festiwalu, za co w 1999 r. otrzymał od Prezydenta RP Krzyż Komandorski Orderu Zasługi RP oraz przyznany mu został tytuł doktora honoris causa Akademii Muzycznej we Wrocławiu”³⁶.

List powyższy można opatrzyć następującym komentarzem: J. K. Nowak, jako osoba bardzo skromna wbrew przykazaniom biblijnym chował światło pod korzec i niechętnie mówił o swoich dokonaniach. Dowody sukcesów artystycznych i odznaczenia odkładał głęboko na dnie szuflady. W sercach kolegów i przyjaciół przetrwała pamięć o jego serdeczności, a Franciszek Starowieyski wychwalał jego brak egoizmu i wyrażał przekonanie, że te cechy przydawały wartości wewnętrznej również jego twórczości. Wyraz uszanowania dla warsztatowego kunsztu kolegi, porównywalnego z dawnymi mistrzami holenderskimi, dał on w dedykacji wręczonej na jednej z ostatnich wystaw



Serwetka z dedykacją Franciszka Starowieyskiego:
„Janowi van Nowakowi”

śląskiego artysty: „Janowi van Nowakowi”, który swoim bogactwem duszy dzielił się z innymi.

Do Siemianowic Śl., miejsca swego urodzenia powracał nie tylko myślami. Pozostawił tam wielu serdecznych przyjaciół i znajomych. Stale spotykał się i wspominał lata dzieciństwa z kolegą ze szkolnej ławy i zabaw z ulic św. Jadwigi, Norbertem Gruszką, z którym uczęszczał do szkoły podstawowej nr 3, im. Tadeusza

Kościuszki, przy ulicy Szkolnej. Utrzymywał bliższy kontakt m.in. z Antonim Halorem. Z kolei w Muzeum Miejskim, gdy placówką tą kierowała Mirosława Sikorska spotykał się z Franciszkiem Starowieyskim, a dyrektor Krystian Hadasz w Galerii „Po Schodach” zorganizował trzy wystawy indywidualne dorobku twórczego Jana Kazimierza Nowaka. Miał też wąskie grono wielbicieli talentu, którzy kolekcjonowali jego prace.

Odnaczenia i wyróżnienia³⁷

1. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Warszawa 23 IV 1986
2. Złoty Krzyż Zasługi. Warszawa 26 V 1976
3. Medal XL-lecia PRL. Warszawa 22 VII 1984
4. Odznaka Zasłużony Działacz Kultury. Warszawa 2 V 1975
5. Medal za Zasługi dla Miasta Tychy IV 1990
6. Statuetka. Nagroda za Szlachetne Serce i Pomoc okazaną Fundacji *Godula-Hope* 14 V 2005
7. Statuetka. Mikołowiczanie Roku 2000.

Udział w wystawach sztuki polskiej za granicą

Algieria: Algier, Constantine, Oran 1967 i 1968; **Australia:** Sydney 1976, Perth 1977; **Austria:** Wiedeń 1966 i 1974, Klagenfurt, Innsbruck 1966; **Berlin Zachodni** 1970; **Brazylia:** Porto Alegre, Vitoria 1968, Rio de Janeiro, Sao Paulo 1969, 1970, 1971, 1972; **Bułgaria:** Sofia 1969, 1971, 1974; **Cejlon:** Colombo 1971; **Chile:** Santiago de Chile 1967; **Czechosłowacja:** Hradec Kralove 1971 i 1974; **Dania** 1971; **Francja:** Poitiers 1968, Paryż 1971, Douai i Lille 1978; **Irak:** Bagdad, Basra, Mosul 1968; **Jugosławia:** Skopje 1966, Irenjanin 1968; Belgrad, Nowy Sad 1971 i 1972; **Nigeria** 1969; **Nowa Zelandia** 1975;

NRD 1962, 1975, 1976, 1981; **NRF**: Kolonia, Flensburg 1971, Kilonia 1971, Essen 1974, Düsseldorf, Rottenburg 1977, Trewir 1979; **Szwajcaria** 1970; **Szwecja**: Sztokholm 1971, 1975; **Tunezja**: Tunis, Kalrouan, Sousse, Bizert 1968; **Turcja**: Ankara 1971, **USA**: Baltimore 1974; **Węgry**: Budapeszt 1968, 1971, 1976, Miskolc 1974; **Wielka Brytania**: Londyn 1976; **Włochy**: Rzym, Florencja i inne miasta włoskie 1968; **ZSRR**: Moskwa 1975.



J. K. Nowak: *Cyrk VII*, 1984, akwaforta, 26x26 cm

Uczestnik wystaw międzynarodowych: Salon jesienny, Monachium 1966; Międzynarodowe Bienale Grafiki Kraków 1966, 1968, 1970; Międzynarodowa wystawa sztuki 30 zwycięskich lat, Moskwa 1975 następnie Berlin, Warszawa, Praga, Budapeszt, Sofia, Bukareszt, Havana; Międzynarodowe Targi Plastyki Barcelona 1975.

Prace jego znajdują się m.in. w Zbiorach Ministerstwa Kultury i Sztuki w Warszawie, Muzeum Narodowym w Warszawie, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Muzeum Niepodległości w Warszawie, Biblio-

tece Narodowej w Warszawie, Centralnym Biurze Wystaw Artystycznych w Warszawie, Galerii Zachęta w Warszawie, Muzeum Architektury we Wrocławiu, Muzeum Górnośląskim w Bytomiu, Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach, Biblioteki Śląskiej w Katowicach, Biblioteki PAN w Gdańsku, Biblioteki Polskiej w Paryżu, Muzeum im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie, Muzeach: w Będzinie, Chorzowie, Zabrze, Łodzi, Siemianowicach Śl., Koszalinie i Bielsku Białej; za granicą w zbiorach Muzeum Sztuki Współczesnej w Skopie, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Sao Paulo, Interart Galerie w Koloni, w Szwecji, Nowej Zelandii, Ośrodka Kultury Polsko-Włoskiej w Rzymie, w Metropolitan Museum of Art w Tokio, Library of Congress w Waszyngtonie oraz w zbiorach prywatnych.

Nagrody

Uczestniczył ponadto w kilkudziesięciu wystawach ogólnopolskich i okręgowych. Jego prace były wielokrotnie nagradzane na wystawach i konkursach w kraju i za granicą. Był m.in. laureatem Nagrody Ministra Kultury i Sztuki

w 1965 r. i Wojewódzkiej Nagrody Artystycznej, którą otrzymał w tym samym roku. Ponadto przyznano mu pierwszą nagrodę i Złotą Szpadę Górniczą za malarstwo oraz drugą nagrodę, Srebrną Szpadę Górniczą za grafikę na Ogólnopolskim Plenerze Przemysłowym w Dąbrowie Górniczej.

W 1971 r. na XII Salonie International „Paris-Sud” otrzymał Złoty Medal (nagroda zespołowa). W Latach 1972-1974, 1980-1981 na Ogólnopolskich Wystawach Malarstwa „Bielska Jesień” był wielokrotnie wyróżniony i otrzymał Brązowy Medal.



Zaproszenie na pośmiertną wystawę retrospektywną malarstwa J. K. Nowaka

Wystawy indywidualne

- 1964, 1976 – Biuro Wystaw Artystycznych w Katowicach
- 1964 – ZPAP, Bielsko Biała
- 1968 – Ośrodek Kultury Polsko-Włoskiej w Rzymie.
- 1976 – Biuro Wystaw Artystycznych w Koszalinie
- 1977 – Biuro Wystaw Artystycznych w Kołobrzegu
- 1979 – Galeria ASP w Katowicach
- 1981 – Biuro Wystaw Artystycznych w Tychach
- 1982 – Centralne Biuro Wystaw Artystycznych w Zachęcie – Warszawa
- 1983 – Muzeum Architektury we Wrocławiu
- 1986 – Stadtgalerie w Halle
- 1989 – Muzeum Miejskie w Zabrze
- 1995 – Muzeum Śląskie w Katowicach
- 1995, 1996, 1997 – Bank Współpracy Regionalnej w Katowicach
- 1996, 2000 – Galeria Miejskiego Domu Kultury w Mikołowie
- 1998, 2000, 2007 – Galeria „Po Schodach”, Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śl.
- 2000 – Galeria Foyer, Teatr Śląski w Katowicach

B I B L I O G R A F I A

Źródła rękopiśmienne

Archiwum Rodzinne Jan Nowaka [ARN. Tychy], rękopisy, dyplomy, legitymacje, korespondencja.

Relacje i wspomnienia Barbary Nowak i Katarzyny Nowak-Zagórskiej.

Źródła drukowane i opracowania

Dębski J.: *Jan Nowak (1930-2010). Grafika, malarstwo, rysunek*. Tychy 2011.

Halor A.: *Sztuka metaforyczna o sarkastycznym odcieniu [w:] Kalendarz siemianowicki na rok 2008*, s. 91-100.

Janeczek Z.: *Jan Nowak [w:] Siemianowicki słownik biograficzny*. Siemianowice Śl. 1996, s. 157-158.

Tenże: *Od Sancowic do Siemianowic. Szkice z dziejów miasta i okolic*. Katowice 1993.

Konopelska W.: *Jan Nowak – czas zatrzymany*. „Śląsk” 2010/9, s. 65-67.

Kowalska B.: *Smutna ironia Jana Nowaka [w:] „Projekt”* 1987/2, s. 29-32.

Madeyski J.: *Jan Nowak Grafika*. Związek Polskich Artystów Plastyków. Biuro Wystaw Artystycznych w Katowicach. Katowice 1976.

Meschnik M.: *Jan Nowak [w:] Grafika na Śląsku w drugiej połowie XX wieku*. Katowice 2001, s. 106-109.

Szczyпка-Gwiazda B.: *Sztuka XX wieku. Malarstwo, Grafika. Rzeźba [w:] Sztuka Górnego Śląska od średniowiecza do końca XX wieku*. Pod red. E. Chojeckiej. Katowice 2004, 498-499.

Żak A.: *Niezwykłe przystanki ludzkiego losu [w:] Jan Nowak, litografia*. Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich. Siemianowice Śl. 2000.

P R Z Y P I S Y :

1 Artysta posługiwał się głównie pierwszym, rzadziej używał drugiego imienia Kazimierz. Jednak autor tekstu świadomie wprowadził oba imiona, by uniknąć pomyłki z innym twórcą o tym samym nazwisku i imieniu, na dodatek związanym także ze Śląskiem, tj. Janem Nowakiem urodzonym w Bogucicach w 1939 r., twórcą liniorytów i suchorytów, uważanym za jednego z najlepszych śląskich grafików nieprofesjonalnych..

2 Franciszek Starowieyski: *Rok 1699*. Kraków 1999, s. 19.

3 Archiwum Rodzinne Nowaków (dalej: ARN. Tychy), maszynopis Jerzego Madejskiego, k. 3-4.

4 Tamże, k. 2.

5 Nowak Herman, wiceprezes siemianowickiego Oddziału Młodzieży Powstańczej, którego lokal mieścił się przy ulicy Jana III Sobieskiego 45; Nowak Anna, urodzona 19 VII 1896 r. w Michałkowicach, żona członka Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska (dalej: POW GŚl.), uczestnika powstań śląskich, w trzecim powstaniu żołnierza 4 Pułku Piechoty Karola Gajdzika z Przetajki, w czasie okupacji zwolnionego z pracy i wywiezionego na roboty przymusowe do Niemiec; po wojnie pracownika KWK „Michał; Nowak Jakub, zmarł 1921 r., członek POW G.Śl.,

poległ w trzecim powstaniu śląskim, walczył w 4 kompanii III batalionu; Nowak Jan (1900-1940), członek POW GŚI, uczestnik akcji plebiscytowej i powstań śląskich, w 1939 r. członek powstańczej samoobrony, aresztowany przez Niemców, zmarł w więzieniu w Habicht w 1940 r.; Nowak Maria, od 1903 r. członkini siemianowickiej Czytelnicy dla Kobiet; Nowak Stanisław (1896-1940), urodzony 5 maja w Bańgowie, zamieszkały w Michałowicach, górnik KWK „Michał”, członek POW GŚI., uczestnik powstań śląskich, sekretarz grupy Związku Powstańców Śląskich (dalej: ZPŚI.), w 1939 r. członek powstańczej samoobrony, 26 IX 1939 r. aresztowany przez Niemców, od 16 XI 1939 r. więzień Buchenwaldu, zginął 5 IV 1940 r. w Mauthausen.

6 Urząd Stanu Cywilnego w Siemianowicach Śl. Odpis skrócony aktu małżeństwa nr 301. 1929/VI.

7 Ukończył Szkołę Techniczną w Hajdukach Wielkich (Zjednoczone Szkoły Techniczne Województwa Śląskiego). Świadectwo wydane 15 września 1923 r. ARN. Tychy.

8 A. Halor: *Sztuka metaforyczna o sarkastycznym odcieniu* [w:] *Kalendarz siemianowicki na rok 2008*. Siemianowice 2007, s. 96.

9 Ludwik Konarzewski (1885-1954), polski malarz, rzeźbiarz i pedagog artystyczny; syn kompozytora Stanisława Konarzewskiego i Marii z Malinowskich; od 1902 r. studiował malarstwo w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych u Stanisława Lentza i Karola Tichego. Z obawy przed represjami za udział w wydarzeniach 1905 r. udał się do Krakowa, gdzie do 1910 r. studiował malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Ferdynanda Ruszczyca, Jana Stanisławskiego i Józefa Mehoffera oraz rzeźbę u Konstantego Laszczki. Pobierał także nauki w Paryżu i Wiedniu, ponadto odbył podróże artystyczne do Rzymu i Monachium. L. Konarzewski ożenił się w 1914 r. z córką Jadwigą Wałach, siostrą Jana Wałacha z Istebnej, przyjaciela z czasów studenckich. Tuż przed I wojną światową udał się w podróż z żoną do swego ojca Stanisława do Kamieńczyka nad Bugiem w Królestwie Polskim, skąd, pod zarzutem niedozwolonej działalności politycznej, został zesłany wraz z małżonką do Buzułuku u podnóża Uralu. Po zakończeniu wojny wrócił do Polski i w 1920 r. zamieszkał w Ustroniu, a następnie, w 1922 r., w Istebnej na Andziołowie. W latach 1923-28 powstał tu cały kompleks budynków zwany Bucznikiem, który obejmował: pracownię i dom artysty, pensjonat dla gości, obiekt przeznaczony na muzeum, szkołę rzemiosła artystycznego oraz kaplicę p.w. NMP Królowej Korony Polskiej, wzniesioną jako wotum za szczęśliwy powrót z wygnania do Rosji. Uprawiał malarstwo sztalugowe i dekoracyjne. Malował przede wszystkim pejzaże Śląska i Rosji wschodnio-europejskiej, portrety (często górali beskidzkich) oraz obrazy alegoryczne (*Polska w kajdanach*, *Polska w niewoli*) i religijne (*Królowa Korony Polskiej*, *Zmartwychwstanie*). Pod jego kierunkiem wykonywano obrazy dla kościołów, ołtarze, ambony, stacje drogi krzyżowej. Ludwik Konarzewski był również twórcą wystroju i polichromii wielu kościołów m.in. w Bukowni, Istebnej, Łętkowicach koło Słomnik i Rybniku. Ogółem ozdobił blisko 50 wnętrz w świątyniach katolickich na Śląsku, w Małopolsce, Wielkopolsce i na Mazowszu (Spała), a nawet w cerkwiach we wschodnich Karpatach. Malował też liczne kurtyny dla teatrów amatorskich na Śląsku Cieszyńskim w Istebnej, Ustroniu i Jabłonkowie oraz projektował i wykonywał meble i elementy wystroju wnętrz schronisk w Beskidzie Śląskim (Stożek, Górki koło Brennej) i szkół na Śląsku Cieszyńskim (Szkoła Rolnicza w Międzywiciu koło Skoczowa). W 1938 r., po odzyskaniu przez Polskę Zaolzia, tworzył wystrój wnętrz kościołów w Bukowcu oraz w Mostach

koło Jabłonkowa (obecnie Republika Czeska). W latach 1925 – 1927 uczestniczył w wystawach indywidualnych i zbiorowych w Cieszynie i Katowicach. W czasie drugiej wojny światowej Niemcy zniszczyli cały ośrodek na Buczniku. Artysta spędził ten okres w Krakowie, malując m.in. pejzaże z okolic Kalwarii Zebrzydowskiej. W 1945 r. uruchomił nowe ognisko plastyczne na Buczniku w Istebnej oraz w Rydułtowach koło Rybnika, ucząc m.in. rzeźby w węglu. Zmarł w Istebnej. Zob. J. Golec, S. Bojda: *Słownik biograficzny Ziemi Cieszyńskiej* t. 2, Cieszyn 1995; Ł. Konarzewski: *Ludwik Konarzewski senior*, [w:] „Ziemia Śląska”, red. Lech Szaraniec, t. 2, Katowice 1989; *Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających*, Pod red. M. Biernacka, Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2003; *Śląski Słownik Biograficzny*. Seria nowa, red. M. Fazan i F. Serafin, t. 1, Katowice 1999.

10 A. Halor: *Sztuka metaforyczna ...*, s. 95.

11 Tamże, 99.

12 ARN. Tychy. Świadectwo ukończenia Publicznej Średniej Szkoły Zawodowej w Siemianowicach Śl. 1949 r. Nr 58/32.

13 ARN. Tychy. Świadectwo egzaminu czeladniczego na czeladnika stolarskiego. Izba Rzemieślnicza w Katowicach. 1949. Nr 2657/49.

14 ARN. Tychy. Świadectwo dojrzałości Liceum Sztuk Palstycznych w Katowicach. Katowice 25 czerwca 1951. Nr 17.

15 A. Halor: *Sztuka metaforyczna ...*, s. 98.

16 Tamże, 99.

17 Franciszek Starowieyski: *Rok 1699. ...*, s. 19-20.

18 A. Halor : *Sztuka metaforyczna...*, s. 99..

19 Elżbieta Cupiał, po mężu fizyku Alfredzie – Czapurowa, w przyszłości profesorka w I LO im. J. Śniadeckiego, nauczająca matematyki, przez uczniów zwana „Fifą”.

20 Katarzyna Nowak-Zagórska urodziła się w Radomiu, Studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach. W 1981 otrzymała dyplom z projektowania książki u prof. Stanisława Kluski, z grafiki warsztatowej u prof. Wojciecha Krzywobłockiego, z malarstwa u prof. Andrzeja S. Kowalskiego. Uprawia malarstwo i rysunek. Udział w wystawach: *Tychy stare-Tychy-nowe, Tychy*; Ogólnopolska wystawa pokonkursowa im. R. Pomorskiego, Katowice 1981; Wystawa Okręgowa Katowickiego ZPAP, Katowice 1981; Wystawa pokonkursowa im. J. Spychalskiego, Poznań 1981; Bielska Jesień, Bielsko-Biała 1981; *Uroki Pszczyny*, Pszczyna 1982. Wystawa poplenerowa „Kazimierz 1999” Siemianowice Śl. 1999; Wystawa poplenerowa „Siemianowice”. Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śl. 2000; Wystawa poplenerowa „Sandomierz”. Siemianowice Śl. 2001; Jubileusz 10-lecia Galerii „Obok” Tychy 2002; *Akcja Sztuki – Kobiety*. Wystawa w MCK Tychy 2010; *Dekady*. Wystawa z Okazji 100-lecia ZPAP. Muzeum Miasta Katowice 2011; Wystawy Sztuki Polskiej za Granicą: Ostrawa i Miszkolc 2000-2006, aukcje w Nowym Jorku. Wystawy indywidualne: Tychy, Galeria „Parter” 1990 i Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śl. 2012.

21 ARN. Tychy, maszynopis Jerzego Madeyskiego, k. 2..

22 B. Kowalska: *Smutna ironia Jana Nowaka*. „Projekt” 1987/2, s. 31.

23 ARN. Tychy, maszynopis Jerzego Madeyskiego, k. 3.

24 B. Kowalska: *Smutna ironia Jana Nowaka ...*, s. 32.

- 25 Tamże.
- 26 ARN. Tychy, maszynopis Jerzego Madeyskiego, k. 2.
- 27 Wspomnienie żony Barbary Artel-Nowak.
- 28 J. Dębski: Jan Nowak. *Grafika, rysunek, malarstwo*. Tychy 2011, s. 4.
- 29 Tamże.
- 30 Tamże.
- 31 Tamże.
- 32 ARN. Tychy, maszynopis Jerzego Madeyskiego, k. 2.
- 33 ARN Tychy, Anna Orzeszko, kurator wystawy do Jana Nowaka. Łódź 20 II 2002.
- 34 ARN. Tychy. Katalog. Fundacja na Rzecz Kardiologii w Górnośląskim Centrum Medycznym. Aukcja 1. Katowice, październik 2006.
 - 35 ARN. Tychy, Krystyna Zamorska, Dyrektor Fundacji HOPE-Godula i Krzysztof Sodowski Prezes Fundacji HOPE-Godula. Ruda Śląska 8 XII 2004 Do Jana Nowaka: „W imieniu Fundacji na Rzecz Wczesnego Rozpoznawania Chorób Nowotworowych u Kobiet „Godula-Hope” składamy serdeczne podziękowania za obraz подарowany naszej Fundacji. Został on wylicytowany podczas aukcji 27 listopada 2004 r. w hotelu „Monopol” za sumę 5500 zł. Z podziękowaniami za dotychczasową współpracę i nadzieją na dalszą”.
 - 36 ARN. Tychy, Mirosław Gąsieniec, Dyrektor Artystyczny Festiwalu EuroSilesia do Jana Nowaka. Wrocław 17 VIII 2005.
 - 37 ARN. Tychy. Zbiór dokumentów rodzinnych. Legitymacje i odznaczenia

...TEGO NIE WIEM

Lubię trudne zadania, mobilizujące wyzwania i tematy zmuszające do rozmyślań. Skłaniające do przemyśleń. Dlatego się zgodziłam.

A propozycja była tyleż nęcąca – co enigmatyczna, tyleż wdzięczna, co trudna (to oczywiste i w pewnym sensie normalne), tyleż inspirująca, co zmuszająca do myślenia i pobuszowania po bibliotekach. A przynajmniej do gruntownego przewertowania książek stojących zawsze w pogotowiu na ulubionej i najbliższej półce nad biurkiem).

Napisać o pięknie...

Czym jest piękno...?

W zamyśleniu równocześnie skupionym, roztargnionym i natchnionym – ale właśnie takie było w istniejącej sytuacji najbardziej wskazane i potrzebne – podniosłam wzrok znad biurka. Jest ono jednym z moich najbardziej wypróbowanych i najstarszych przyjaciół – wiele razem przemyśleliśmy, widzieliśmy i przeżyliśmy. Znamy i rozumiemy się dobrze.

Zatem – podniosłam wzrok. Na ścianie nad biurkiem wisi kilka obrazów. Różnych. Bardzo różnych. Widok łąki w Radłowie (gdzie to jest?...), jakieś osobliwego kształtu wiejskie chaty – przed nimi – słoneczniki, za nimi drzewo niczym z romantycznego poematu. Nieco dalej wenecka weduta – Ponte Rialto wyglądałby jak żywy, gdyby nie bardzo grubo, impastami nakładana farba. Malarz z prawdziwym upodobaniem i niemąłą wprawą używał szpachli – nie pędzla. Najniżej wisi akwarelka w tonie szaro-seledynowo-różowawopopielatym (bo w akwarelkach możliwe są nawet najbardziej nieoczekiwane i zaskakujące zestawienia kolorów): czytająca dziewczynka. A właściwie pewnie tylko przewracająca kartki lub podziwiająca ilustracje w imponujących rozmiarów dziele. Na lekturę – czegokolwiek – jest jeszcze za mała. Biegłość warsztatowa, lekkość malowania, naturalny wdzięk i bogactwo kolorystyczne chroni skutecznie ten niewielki obrazek przed czułościwością i – nudą.

„Łąka w Radłowie” – choć sygnowana nazwiskiem znanym w sferach antykwarycznych i kolekcjonerskich - namalowana jest tak prosto, że – prościej już się nie da. Ale nie jest to tak pożądanym i wspaniałym rodzajem szlachetnej prostoty. To raczej pośpiech – zawsze zły doradca – pewien rodzaj dyletantyzmu

i – chyba – brak wyobraźni. Wielki cień na pierwszym planie robi wrażenie źle, bardzo nieumiejętnie rozprowadzonej farby. Właśnie farby – a nie koloru. Bo jak wiedzą wszyscy miłośnicy, znawcy i wyznawcy starej szkoły – farby są w tubkach i na palecie. Kolory są w naturze. Autor „Łąki w Radłowie” ograniczył się do stosowania farb. O kolorach zapomniał. Piękno...?

Wiejski krajobraz z chatami (dumny tytuł „Chaty podolskie” i tajemnicza sygnatura, co do której nawet zdania znawców przedmiotu są podzielone) to czarujący popis kompozycyjnej niefrasobliwości: ludzkie siedziby wyglądają tak, jakby składały się tylko ze słomianych dachów (a gdzie podziały się okna, a przede wszystkim drzwi? nie wiadomo), słoneczniki na pierwszym planie mają rozmiary kaczeńców, a drzewo w tle jest większe, wyższe i bardziej rozłożyste od najstarszego dębu w najgłębszym mateczniku. Zupełnie, jakby nie istniała perspektywa. Żadna. Jakby zagadkowy WZ z Galicji Wschodniej – autor obrazu – nigdy nie słyszał o trwających całe stulecia dociekaniach, rozmyślniach, próbach i eksperymentach malarzy, filozofów i matematyków z całej Europy. A może i słyszał, ale nie wziął sobie tych nauk do serca. Pomyślał, że jego nie dotyczą. Piękno...?

„Ponte Rialto” malowany jest mocno, gwałtownie, dynamicznie. Od razu widać, że to dobra krakowska szkoła. Koloryzm, ekspresja, dziedzictwo postimpresjonizmu. Asystowałam – nie, nie przy rozstawianiu sztalugi nad weneckim kanałem – ale przy kupnie serii pocztówek, które posłużyły jako niezbędny materiał pomocniczo-wspomnieniowy w procesie twórczym. A także przy powstawaniu pierwszego szkicu kompozycji, gdy potracali nas przechodnie i turyści różnych narodowości, a wodę potrzebna do rozprowadzania farb (szkic powstawał w podręcznym brulionie i był, a jakże, akwarelowy) zaczerpnęliśmy wprost z kanału.

Wreszcie pochyłona nad książką dziewczynka w zielonym fartuszkach to nie jest postać z bajek Jachowicza lub opowiadań Pani Elizy. To – ja. Po prostu.

Piękno...

Jednak każdy z tych obrazów ma swoje niezaprzeczalne, niezwykłe, sobie tylko właściwe walory.

Nieumiejętnie namalowana łąka spod radłowskiego lasu została zakupiona w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu na Placu Wilhelmowskim 18. Obraz oprawił pan Jan Józwiak z ulicy Jezuickiej – róg Wodnej, blisko rynku, tel. 5157. Oprawił bardzo dobrze i fachowo – w ciągu dziewięćdziesięciu paru lat rama odnawiana była tylko raz – i to wyłącznie dlatego, że ucierpiała przy przeprowadzce (teraz rozumiem, że dla uniknięcia przykrych niespodzianek na pudle z obrazami należało napisać „Ostrożnie, szkło” – i to dużymi literami w jaskrawych, krzykliwych kolorach). Oto piękny

okruch świata, którego już nie ma. A który wydawał się trwały i niezniszczalny jak granit. A przynajmniej – jak dębowe meble w jadalni. Albo brylant w zaręczynowym pierścionku.

Ujrzałe w niebywalej perspektywie wiejskie chaty (zresztą – kto wie? może są – a w każdym razie były kiedyś – słoneczniki ledwie wychylające się z trawy i słomiane dachy tak bardzo spadziste, strome i ciężące ku ziemi, że zakrywały zupełnie okna, okiennice, schodki i słupki ganku oraz drzwi...) wisiały kiedyś wśród innych pejzaży w rozległym salonie. Szklane drzwi na przeciwległej ścianie prowadziły wprost do ogrodu, między ukwiecone krzewy i szumiące brzozy. Ukośnie padające promienie zachodzącego słońca nadawały szarym brązom, oliwkowym zieleniom i żółcieniom tycjanowskiej szlachetności. A wokół panowała cisza. Harmonia ciszy i światła tworzyła piękno.

Mocne, szorstkie impasty pejzażu z Wenecji budzą wspomnienia: pierwsze wakacje na ziemi włoskiej, gołębie i lody na Placu świętego Marka (oczywiście, przy stoliku jednej z kawiarenek pod arkadami, gdzie czas się zatrzymał...) Rumaki Lizypa, koronkowa fasada Pałacu Dożów, bizantyjskie mozaiki, dach legendarnego więzienia... Tylko gondole okazały się niezupełnie takie, jakie chciałabym zobaczyć, ale... Piękne wspomnienia! – nieuchwytnie, a przecież ciągle żywe.

Z kolei akwarelowy portrecik przypomina mi jaka byłam: skupiona, cicha, spokojna, pogrążona w marzeniach i bardzo świata ciekawa. Chciałabym taka pozostać.

Czym jest piękno ...

Przenoszę wzrok dalej – od obrazów na półkę z książkami.

A książki – wiadomo – mają swoje losy. Oprócz tego każda z nich posiada własną niepowtarzalną osobowość. Niektóre chcą być ciągle, nieustannie czytane i przeglądane – dlatego same wchodzi w ręce, nawet nieoczekiwane i nieproszone. Właściwie nie wiadomo, skąd się biorą na biurku, na stoliku, w kręgu światła lampy. Inne – przeciwnie. Dumne arystokratki, odgradzają się od czytelniczkiej codzienności. Nie lubią opuszczać swych miejsc. Nie chcą zmieniać położenia w szafkach i na półkach. Trzeba ich szukać, docierać do nich, starać się je zdobyć i odnaleźć. Niektóre, łącząc usposobienie wyniosłe i figlarne, potrafią ukryć się i przepaść w miejscu i stronie sobie tylko wiadomych na całe tygodnie. Albo i miesiące. Stary album z reprodukcjami malarstwa renesansowego za nic nie wychynie zza krzykliwych okładek „literatury wagonowej”. A znów tomik ulubionych wierszy wyraźnie przekomarza się ze mną i uśmiecha filuternie spoza szarej okładki gramatyki łacińskiej. A może włoskiej... Dobrze, aluzje zrozumiałam.

Dzisiaj też kilka moich ulubionych dzieł i dziełek postanowiło się ze mną zabawić. Ale nie w kotka i myszkę. Ani w chowanego. Raczej była to zabawa z cyklu: „Mówisz i masz”. A właściwie: „Myślisz i masz”.

Ten album po prostu otworzył się sam.

Przypudrowane róże, dyskretne niebieskości, złociste i łagodne brązy i żółcienie. Delikatność i wdzięk. wyprawy na Wyspę Afrodyty – albo inną wyspę, której nie ma. I powroty stamtąd – równie czarujące i niefrasobliwe. Krynoliny, wachlarze, zalotne uśmiechy. Tancerki, tancerze, Pierrotty, amorki i nimfy. *Les fetes galantes* – z pozoru poetyckie i nierealne a stanowiące w istocie niezbędną, codzienną część życia dworu. Ale niezaprzeczalny geniusz Antoniego Watteau nadał im głębsze, bardziej niezwykle i zastanawiające znaczenie.

Oto w jednym z najpiękniejszych obrazów (niech nas nie zwodzi prosty tytuł – „Zebrań w parku”) mała, samotna postać stoi w głębi, niemal zatracona i zagubiona w zielonkawej szarości odległych, gęstych, fantastycznie splecionych zarośli. Nie bierze udziału w dworskiej i dwornej zabawie o erotycznym nastroju, charakterze i posmaku. Owa postać zdaje się spoglądać z intensywnym zaciekawieniem w ciemną dal. W przyszłość. Jest prawie niewidoczna – a przecież umieszczona tak, by na nią właśnie kierowała się uwaga i wzrok uważnych widzów, wnikliwych odbiorców. Czyli nasza. Z góry wskazuje na tajemniczego człowieka – raczej: człowieczka – kolumna niebieskawego światła, a z dołu – trójkątny układ pierwszego planu kompozycji. A wszystko to sprawia, że zabawa w parku zamienia się w dramat. Barwny i uroczy – ale dramat. To jest piękno melancholii i niepokoju. Piękno rozstań, pożegnań i podróży w nieznanie. Przecucia i doświadczenie mówią, że z takich podróży nie wszyscy wracają, ale oczekiwanie też ma swój czar. A o pięknie wspomnień wiemy przecież od dawna.

Właśnie ta niezwykle epoka różowej melancholii, atlasowych pantofelków i czytanej przed snem „Umowy społecznej” jest mi niezmiernie bliska. Tak bliska, że często myślę, iż byłam pokojówką Marii Antoniny. A przynajmniej pani de Larnage. Chociaż – równie dobrze mogłam być panną respektową w Puławach. Albo kamerdynerem wielkiego Diderota (czy Diderot miał kamerdynera? – nie wiem, ale przecież mógłby i powinien...).

Teraz okładki kolejnych książek otwierają się same. Ukazują następne obrazy i reprodukcje. A te budzą refleksje, skojarzenia, pytania. I wspomnienia.

Dostrzegam, podziwiam i przypominam sobie eksperymenty i wynalazki. Odkrycia i innowacje. Niewiarygodną odwagę w łamaniu konwencji i niezmierną pomysłowość w tworzeniu nowych. Widzę bogactwo wyobraźni i pracowitość. Radość tworzenia. Upór i nonszalancję. Intelkt i intuicję. Zamiłowanie do artystycznego ryzyka. Cudowną, niespożytą gotowość do

podejmowania nowych wyzwań i zadań. Widzę greckie boginie. Rzymskie rydwany. Rembrandtowskie cienie. Renesansowe jasności. Cylindry z obrazów Degasa. Szalone dziewczyny z szalonych akwafort Goyi. Rokokowe pudelki. Sowy. Kwiaty. Gitary. Sztalugi i trapezy. Wiatraki i oberże. Malarzy i modelki. Kochanków i rajfurki. Rosynanty i konie trojańskie. Koty i minotaury. Głód. Szaleństwo. Tęsknotę. Namiętność. Przerażenie. Obłąd. Strach. Czy ja wiem co jeszcze? Wszystko. Po prostu – wszystko. A nad owym wszystkim niczym duch nad wodami unosi się pytanie: Czym jest piękno? Pytałam Dürera, Rubensa i Ludwiga Richtera. Pytałam boskiego Sandra, Giulia Romano i Piotra Michałowskiego. Pytałam kamieniarzy znad jeziora Como, mnichów w skryptoriach i Caravaggia. I wszyscy odpowiadali: Nie wiem. Z przekonaniem i pokorą, a po głębokim namyśle.

Więc czym jest piękno tego nie wiem. Ale wiem, że istnieje. Na pewno.

**OMÓWIENIA
OPINIE
RECENZJE**

ŚLADAMI BOLESNEJ PRZESZŁOŚCI - NOWA KSIĄŻKA O HISTORII NASZEGO MIASTA

Od kilku już lat w zamyśle Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem było wydanie książki „pomnika” – poświęconego mieszkańcom Siemianowic Śląskich, którzy przeszli przez piekło obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau.

Czas mija nieubłagane. Powoli zaciera się ludzka pamięć. Młode pokolenie Polaków rzadko sięga do swojej przeszłości, dlatego taka publikacja jak wydana wspólnie z Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich: „*Śladami bolesnej przeszłości*” – *Śląskie tropy w KL Auschwitz, Siemianowicki podobóz Laurahütte*” musiała powstać. To nasz hołd oddany tym, którzy poświęcili swoje życie na ołtarzu ojczyzny.

Dużo czasu pochłonęło wertowanie archiwów Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, by utworzyć listę naszych mieszkańców, którzy trafili do największego nazistowskiego obozu zagłady. Dzięki uprzejmości PMA-B otrzymaliśmy dostępne kopie dokumentów oraz zachowane fotografie niektórych więźniów. Zdajemy sobie sprawę, że lista jest niepełna. Niestety nie zachowały się wszystkie dokumenty, a nasze opracowanie oparliśmy tylko i wyłącznie na dostępnych materiałach. Marzeniem naszym było, by biogramy wzbogacić o dodatkowe informacje, a to wiązało się z dodatkową długą i żmudną pracą. Mamy jednak nadzieję, że nasza



Praca zbiorowa
Śladami bolesnej przeszłości – Śląskie tropy w KL Auschwitz. Siemianowicki podobóz Laurahütte

Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem we współpracy z Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich
Siemianowice Śląskie 2011
88 stron

publikacja zacznie żyć własnym życiem i znajdą się osoby, które pomogą nam uzupełnić luki, których niestety nie udało nam się uniknąć.

W książce, dla większej przejrzystości umieściliśmy także krótką monografię nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz-Birkenau, która pozwoli czytelnikom wejść w klimat naszej publikacji. Nie mogło też braknąć historii podobozu KL Auschwitz – „Laurahütte”, który mieścił się na terenach byłej huty „Jedność” i działał około dziewięciu miesięcy w naszym mieście. Rafał Grzywocz w swoim artykule przybliżył nam postacie siemianowickich harcerzów w KL Auschwitz, a Wojciech Kempa wzruszająco opowiedział o swoim dziadku Konstantym Kempie, który został zamordowany w KL Auschwitz, w ostatniej egzekucji 6 stycznia 1945 roku. Do książki dodaliśmy także tekst o mało znanej historii, a mianowicie katowickiej gilotynie, która działała w katowickim więzieniu przy obecnej ulicy Mikołowskiej. Od października 1940 roku do stycznia 1945 roku, życie na niej straciło 552 osoby w tym także pięciu mieszkańców naszego miasta.

Mamy nadzieję, że nasze wydawnictwo zostanie dobrze odebrane przez Czytelników, być może dzięki niemu pogłębimy swoją wiedzę o tragicznych losach mieszkańców naszego miasta podczas II wojny światowej i być może zachęci nas do odkrywania historii naszego miasta i jego mieszkańców. Serdecznie zapraszamy do lektury, a także do współredagowania kolejnych naszych wydawnictw poświęconych czasom II wojny światowej widzianej oczami mieszkańców Siemianowic Śląskich.

A teraz kilka słów o samym **Towarzystwie Opieki nad Oświęcimiem**.

Od blisko trzech lat działamy na terenie naszego miasta jako jeden z oddziałów krajowych TOnO. Towarzystwo sięga korzeniami do roku 1947 kiedy to byli więźniowie zawiązali stowarzyszenie „Opieka nad Oświęcimiem”, które miało za zadanie zachować dla potomnych teren byłego obozu koncentracyjnego wraz z urządzeniami. Kiedy pieczę nad obozem objęło państwo i utworzono Państwowe Muzeum, stowarzyszenie uległo rozwiązaniu.

W 1958 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie po raz drugi powołano do życia stowarzyszenie „Opieka nad Oświęcimiem” – tym razem celem organizacji była zbiórka na budowę Pomnika Pamięci na terenie byłego obozu Birkenau. Po odsłonięciu Pomnika w 1968 roku stowarzyszenie rozwiązało się ponownie.

W czerwcu 1982 roku podczas spotkania byłych więźniów z Warszawy i Krakowa na terenie Państwowego Muzeum Oświęcimskiego podjęto decyzję o powołaniu stowarzyszenia, które stałoby na straży prawdy o KL Auschwitz. Członkami – założycielami – była warszawska grupa 28 osób

oraz krakowska – 26 osób. Opracowano Statut Towarzystwa i 25 stycznia 1983 wpisano do rejestru stowarzyszeń w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy jako: **Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem**.

W statucie TOnO: **Rozdział II – Cel i środki działania § 7** czytamy:

„Celem Towarzystwa jest szeroko pojęta opieka nad byłym hitlerowskim obozem zagłady Auschwitz-Birkenau w zakresie dbałości o zachowanie i należyte utrzymywanie jego terenu i urządzeń oraz działalność oświatowa i popularyzatorska, mająca za zadanie zachowanie i utrwalanie w szerokich kręgach społeczeństwa, przede wszystkim wśród młodzieży, pamięci o obozie koncentracyjnym i obozie zagłady Auschwitz-Birkenau oraz innych miejscach pamięci narodowej. Celem Towarzystwa jest również roztaczanie opieki nad byłymi więźniami KL Auschwitz-Birkenau i innych hitlerowskich obozów koncentracyjnych.”

Towarzystwo przyjęło charakter edukacyjny. Podjęliśmy współpracę z placówkami edukacyjnymi, kulturalnymi, muzeami. Przygotowujemy cykle warsztatów edukacyjnych dla nauczycieli i młodzieży, organizujemy turystykę historyczną po kraju i za granicą. Wydajemy swój biuletyn informacyjno-historyczny oraz inne publikacje tematyczne. Organizujemy wyjazdy młodzieży szkolnej na tereny byłego obozu Auschwitz-Birkenau. Uczestniczymy w patriotycznych uroczystościach krajowych i zagranicznych.

Skład Zarządu Głównego to: Mirosław Domin – Prezes, Stefania Kozioł – Wiceprezes, Andrzej Chłopecki – II Wiceprezes, Iwona Pieronek-Tokarz – Sekretarz, Nina Bryś – Skarbnik. Siedziba Zarządu Głównego znajduje się na terenie Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.



IV Krajowy Zjazd TOnO – Oświęcim 1994 rok. Na zdjęciu jeszcze bardzo liczna grupa byłych więźniów KL Auschwitz Birkenau Stowarzyszenie posiadało 17 oddziałów terytorialnych. Dziś zostało ich tylko 8



Członkowie siemianowickiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem

W roku 2010 grupa inicjatywna członków TOnO skupiona na terenie naszego miasta oraz miast ościennych zdecydowała o założeniu swojego oddziału w Siemianowicach Śląskich. Wybrano zarząd oddziału w składzie: Lucyna Stasiowska – Prezes, Przemysław Kubicz – Wiceprezes, Piotr Świerczyński – Sekretarz, Joanna Jonek – Skarbnik.

Już na inaugurację naszego oddziału przygotowaliśmy prelekcję dla mieszkańców miasta i nauczycieli na temat naszej historii i działalności oraz warsztaty tematyczne: „Kto ratuje jedno życie...” poświęcone Polakom ratującym życie Żydom podczas II wojny światowej.

Kalendarium działalności TOnO w 2011

31 stycznia 2011 r., w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich uroczystie otwarta została wystawa pt. „Śladami bolesnej przeszłości”. Była to monografia Nazistowskiego Obozu Koncentracyjnego i Zagłady Auschwitz-Birkenau zawarta na tematycznych planszach, przygotowana przez Dział Wystawienniczy Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Otwarcie zostało uświetnione spektaklem słowno-muzycznym pt. „Marzenie”, wystawionym przez Kawiarenkę Teatralną „To i Owo” z I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Śniadeckiego w Siemianowicach Śląskich pod kierownictwem Pani Sabiny Szkaradek. Gościem honorowym i prelegentem był sam autor wystawy Mirosław Obstarczyk, pracownik Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Wystawa udostępniona była dla zwiedzających do dnia 25 lutego 2011 r.

Podczas trwania w naszym Muzeum wystawy Prezes TOnO Mirosław Domin prowadził zajęcia historyczne z młodzieżą szkół siemianowickich, a także z młodzieżą szkół katowickich i chorzowskich. Wystawę odwiedziło i prelekcji wysłuchało ok. 600 młodzieży.

10 lutego 2011 r. w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Prezes TOnO Mirosław Domin wygłosił prelekcję dla słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

6 kwietnia 2011 r. na zaproszenie grona pedagogicznego oraz społeczności uczniowskiej Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących „Meritum” wzięło udział w żywej lekcji historii.

15 kwietnia 2011 roku siemianowicki oddział TOnO jako Gość Honorowy uczestniczyło w „Dniu Śląskim” w I Liceum Ogólnokształcącym im. J. Śniadeckiego w Siemianowicach Śląskich.

16 kwietnia 2011 roku odbyła się wycieczka dla członków naszego oddziału TOnO na trasie: Sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej w Czernej – krakowskie muzeum Fabryka Oscara Schindlera – zamek w Tęczynie. Wycieczka miała charakter edukacyjny i integracyjny. Wiele wrażeń dało nam zwiedzenie Muzeum Historycznego Krakowa 1939-1945 mieszczące się w dawnej fabryce niemieckiego przedsiębiorcy Oskara Schindlera.

28 kwietnia 2011 roku zaproszeni zostaliśmy do zaprzyjaźnionego Zespołu Szkół Zawodowych i Technicznych im. Mariana Batko w Chorzowie na „Święto Patrona”. Prelekcję wygłosił Mirosław Domin.

W maju 2011 roku Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem współorganizowało międzyszkolny konkurs historyczny upamiętniający 90. rocznicę wybuchu III powstania śląskiego. Na przeprowadzenie konkursu otrzymaliśmy dotację z Urzędu Miasta Siemianowice Śląskie. Finał i rozdanie nagród odbyło się w Willi Fitznera w dniu 5 maja 2011 roku. Przy realizacji konkursu pracowali siemianowiccy nauczyciele: Beata Marczevska, Magda Wiśniewska i Henryk Lazar.

20 maja 2011 roku siemianowicki oddział Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem wzięło udział w Europejskiej Nocy Muzeów w Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich. Uczestniczyliśmy w „Nocnych-północnych spotkaniach z historią”, gdzie pełniliśmy rolę gościa honorowego.

W dniach 14 – 16 października 2011 roku członkowie oddziału siemianowickiego TOnO wzięło udział w wyjazdowych warsztatach edukacyjnych na trasie: Oświęcim – Ujazd – Sandomierz – Kazimierz Dolny – Warszawa – Treblinka – Niepokalanów – Oświęcim. Warsztaty dotyczyły „Roku św. Maksymiliana Kolbego” oraz zbliżającego się „Roku Korczakowskiego”. Warsztaty przygotowane były przez ZG TOnO. Całość materiałów edukacyjnych, trasę opracował Mirosław Domin.

27 października 2011 roku uczestniczyliśmy w Centrum Sztuki Filmowej w Katowicach w uroczystej gali przedpremierowej emisji filmu dokumentalnego: **„Bez jednego drzewa las lasem zostanie”** wyprodukowanym dla TVP i wyreżyserowanym przez Dagmarę Drzazgę (mieszkanke Siemianowic). Film opowiada o życiu młodego kapłana Jana Machy z Chorzowa Starego, który został skazany na śmierć przez władze okupacyjne i ścięty na katowickiej gilotynie 3.12.1942 r. Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem miało także swój mały wkład w realizację tego pięknego i przejmującego obrazu.

Na koniec roku 2011 wraz z Miejskim Muzeum w Siemianowicach Śląskich nasz oddział przygotował i wydał publikację: **„Śladami bolesnej przeszłości”** podejmującą takie tematy jak: „Historia KL Auschwitz” – „Podobóz Laurahütte w Siemianowicach Śląskich” – „Siemianowicki harcerski ślad w KL Auschwitz” – „Polskę umiłował nad życie – wspomnienie o Konstantym Kempie” – „Mieszkańcy Siemianowic Śląskich w KL Auschwitz” – „Katowicka gilotyna w zbiorach Muzeum Auschwitz-Birkenau”.

Zarząd Oddziału Siemianowickiego TOnO podjął także plany działania na rok 2012. Na wniosek Rzecznika Praw Dziecka został uchwalony przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej **„Rokiem Korczakowskim”**, w związku z czym Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem – Oddział Siemianowice Śląskie postanowiło zorganizować cykl imprez kulturalno-edukacyjnych związanych z osobą znakomitego pedagoga, lekarza, pisarza. Zamierzamy zorganizować



konkursy międzyszkolne, przygotować tematyczną wystawę poświęconą Januszowi Korczakowi i jego dzieciom, przeprowadzić warsztaty edukacyjne dla młodzieży siemianowickich szkół oraz przygotować spektakl paradokumentalny opowiadający o życiu i działalności Korczaka. Tymi działaniami pragniemy przybliżyć postać Starego Doktora młodemu pokoleniu oraz mieszkańcom naszego miasta.



WSZYSTKICH CHĘTNYCH DO POZNAWANIA HISTORII NASZEGO
KRAJU ZAPRASZAMY W NASZE SZEREGLI.

Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem

Oddział Siemianowice Śląskie.

Adres korespondencyjny:

Muzeum Miejskie

ul. Chopina 6

41-100 Siemianowice Śląskie

e-mail: mdomin@tono.com.pl

Więcej informacji o naszej działalności na facebook-u:

Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem oddział Siemianowice Śląskie

MAREK URBAŃCZYK:
OCHRONA I KONSERWACJA ORGANÓW ZABYTKOWYCH
NA TLE ROZWOJU SZTUKI ORGANMISTRZOWSKIEJ

Książka Marka Urbańczyka pt. „Ochrona i konserwacja organów zabytkowych na tle rozwoju sztuki organmistrzowskiej” (wydanie II poprawione i uzupełnione o omówienie siemianowickich organów w kościołach p.w. św. Krzyża i ewangelickim), będąc rozprawą habilitacyjną, ukazała się dzięki wsparciu finansowemu naszego miasta decyzją prezydenta Jacka Guzego – w uznaniu jej wybitnych walorów naukowych.



Marek Urbańczyk
*Ochrona i konserwacja organów zabytkowych na tle
rozwoju sztuki organmistrzowskiej – wybrane problemy*

Wydawnictwo Akademii Muzycznej w Katowicach
Katowice 2011
Wydanie II poprawione i uzupełnione
623 strony

Muzyka organowa, która od wielu wieków zachwyca ogromnym bogactwem i różnorodnością repertuaru, stanowi osobny dział *artis musicae* rządzący się swoimi prawami, warunkowanymi specyfiką wspaniałego instrumentu zwanego nie bez powodu „królem instrumentów”. Naturalnym jej przedłużeniem jest organmistrzostwo, które obejmuje problematykę budowę *sensu largo* tego ze wszech miar wyjątkowego instrumentu. Przytoczony we wstępie książki cytat prof. Juliana Gembalskiego – to swoiste motto, które w skondensowany sposób ujmuje całokształt tej problematyki:

W sposób najbardziej doskonały idea syntezy sztuk dokonana się w ponad dziesięciowiekowej historii budowy organów – instrumentu, której historia określiła mianem „króla instrumentów”. Nazwa ta, pojawiająca się już w wiekach średnich, jednoznacznie określiła wyjątkowość

organów i ich roli na przestrzeni dziejów. Można śmiało powiedzieć, że będąc na usługach jednej sztuki – muzyki – organy zespoliły w sobie wiele elementów sztuk przedstawiających, odnoszących się przede wszystkim do zmysłu wzroku. Dopełnieniem tego swoistego „ogrodu sztuk” jest istnienie w organach całej strefy techniczno-konstrukcyjnej, łączącej w sposób nie mający odpowiedników w innych dziedzinach sztuki (może z wyjątkiem niektórych obszarów teatru) – wyrafinowaną myśl techniczną z najbardziej wzniosłymi ideami muzycznymi. Myśl muzyczna, jej filozofia i sfera znaczeniowa istniejąca w ścisłej koegzystencji z prawami architektury, nauk ścisłych i najszerzej pojętą techniką¹.

Książka Marka Urbańczyka – to rzetelne, obfitujące w liczne przykłady, kompendium wiedzy o sztuce organmistrzowskiej, poparte wieloletnim doświadczeniem. Wedle słów Autora dotychczasowa literatura przedmiotu kładzie główny nacisk na „historię organów, budowę, problemy wykonawcze gry organowej, estetykę brzmienia instrumentów, rzadziej zaś zajmuje się analizą struktury architektonicznej w konfrontacji z metodami konserwatorskimi”. Dopiero ostatnie dziesięciolecia przyniosły opracowania traktujące instrument jako ważny element wnętrza architektonicznego.

W pierwszej części książki przedstawiono szeroko rozumianą problematykę historyczną ze szczególnym uwzględnieniem architektury i rozwoju budownictwa organowego w Polsce i Europie. Nie do przecenienia jest też problematyka *sacrum*, ponieważ instrument jest przede wszystkim najważniejszym elementem sfery kultu Kościoła. Część druga – to szerokie omówienie praktycznych działań konserwatorskich zrealizowanych przy instrumentach w kościele św. Wawrzyńca w Mokrem, bazyliki Najświętszej Marii Panny w Gdańsku, kościele św. Jadwigi w Legnickim Polu, kościele ewangelicko – reformowanym w Warszawie oraz kaplicy Chrystusa Zbawiciela przy parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Katowicach.

Niezwykle istotne są wnioski końcowe, które można sprowadzić do kilku zasadniczych zagadnień. Jednym z ważniejszych to fakt, iż do każdego instrumentu należy podejść w sposób indywidualny, choć w wielu instrumentach zakres działań konserwatorskich może się powtarzać. Jakże doniosły jest apel, by brak środków finansowych nie usprawiedliwiał odkładania lub zaniechania prac konserwatorskich w stosunku do instrumentów o szczególnej wartości zabytkowej. Zdaniem Autora: „Wartość kulturowa jest najważniejszym kryterium waloryzacji zabytków i jako niewymierna nie powinna podlegać ocenie ekonomicznej”. Oczywiście ten stopień świadomości społecznej możliwy będzie z jednej strony przez intensyfikację działalności dokumentacyjno – inwentaryzacyjnej, z drugiej – poprzez upowszechnianie problematyki ochrony dziedzictwa kulturowego w szerokich warstwach społecznych.

Dr Marek Urbańczyk należy do najbardziej aktywnych przedstawicieli życia kulturalnego naszego miasta. Nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat jest organistą w kościele św. Krzyża w Siemianowicach Śląskich. Pełnił też funkcję radnego Rady Miasta Siemianowice Śląskie w kadencji 1990-1994. Jego pasją życiową jest organmistrzostwo, czego efektem są liczne wybudowane od podstaw i poddane renowacji unikalne instrumenty w kościołach naszego regionu. Do znaczących Jego dokonań należy m.in.: restauracja i remont organów Ch. W. Schefflera z 1778 r. w Mikołowie Mokrem (razem z Mieczysławem Klonowskim); rekonstrukcja organów H. Durschläga z 1864 r. w Krzyżowicach koło Żor (wspólnie z Mieczysławem Klonowskim); zbudowanie organów w Domu Generalnym Sióstr Boromeuszek w Mikołowie, przebudowa i adaptacja 28-głosowych organów B. Stegerhoffa z Dalhausen (Niemcy) do kościoła Wniebowzięcia NMP w Bystrej Śl.; budowa 29-głosowych organów w kościele Chrystusa Króla w Świerklańcu. Jest adiunktem Akademii Muzycznej w Katowicach oraz wykładowcą Studium Organistowskiego w Katowicach, członkiem Archidiecezjalnej Komisji Muzyki Sakralnej.

Książka Marka Urbańczyka godna jest szczególnego polecenia wszystkim znawcom i miłośnikom muzyki organowej, których grono wydaje się ciągle powiększać dzięki coraz bardziej popularnym festiwalom tej muzyki w różnych ośrodkach sakralnych na terenie całego kraju. Dodatkowym walorem jest bogaty materiał fotograficzny przedstawiający wizerunki najdawniejszych instrumentów europejskich po najnowsze – w USA, Niemczech, Japonii. Osobny dział stanowią instrumenty w kościołach naszego regionu, gdzie szczególne miejsce zajmują XIX-wieczne organy w kościele p.w. św. Krzyża w Siemianowicach Śląskich.

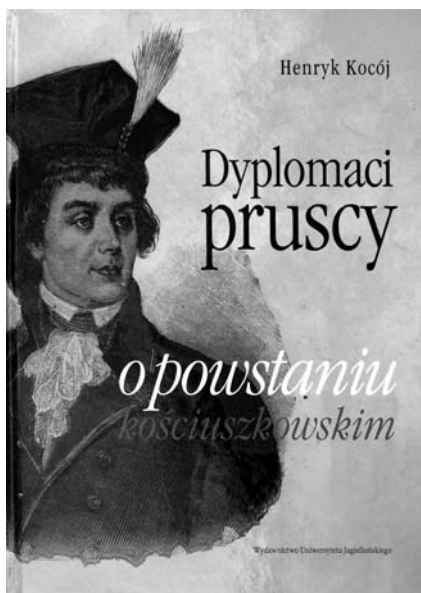
P R Z Y P I S Y :

1 J. Gembalski, *Piękno zintegrowane. Organy jako synteza sztuk*, w: „Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne” 1997, nr 30, s. 175-179

HENRYK KOCÓJ: *DYPLOMACI PRUSCY O POWSTANIU KOŚCIUSZKOWSKIM*

Prof. Henryk Kocój, wybitny znawca tematyki epoki Sejmu Wielkiego oraz powstań narodowych: kościuszkowskiego i listopadowego, zajmuje się głównie dziejami dyplomacji skupiając swą uwagę na relacjach polsko-pruskich, polsko-rosyjskich, polsko-francuskich, polsko-saskich, a także bada postawy Anglii i Austrii wobec tych ważnych wydarzeń, które miały wpływ na losy Polski w końcu XVIII wieku i pierwszej połowie XIX stulecia.

Mimo ukończonych 80 lat wciąż czynny zawodowo, pełen inwencji twórczej i pasji badawczej kontynuuje dzieło życia. Uczniowie mistrza, zadziwieni jego życzliwością i nadzwyczajną wielkodusznością, odnoszą wrażenie, iż wciąż narasta w nim przeświadczenie, że powinien podzielić się swą wiedzą na temat Polski i Europy z zainteresowanymi czytelnikami i słuchaczami wykładów. Prof. Henryk Kocój wyniki swych badań prezentował na wielu międzynarodowych sympozjach i konferencjach naukowych w Polsce i w Niemczech, a także w Paryżu, Neapolu i Brześciu Litewskim. Dzięki jego ogromnej pracowitości i znajomości obcych języków, umożliwiającej mu penetrację archiwów w Merseburgu, Dreźnie, Berlinie, Wiedniu i Paryżu, możemy zgłębiać tajniki dyplomacji mocarstw zaborczych i ocenić ich stosunek do kwestii polskiej. Kolejne edycje źródłowe H. Kocója stanowią istotny wkład do historiografii



Henryk Kocój
Dyplomaci pruscy o powstaniu kościuszkowskim

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego
Kraków 2011
708 stron



Komitet Kopca Kościuszki w Krakowie – gratulacje z okazji wydanej książki *Dyplomaci pruscy o powstaniu kościuszkowskim*.

muje aż 472 pozycje, z czego 70 to książki wydane w językach polskim, niemieckim i francuskim. Jego niesłabnąca pasja sprawiła, że w ostatnich latach od 2003 do 2009 r., opublikował aż 10 książek o łącznej objętości około 3500 stron. Ta opasła, bezgranicznie fascynująca i doskonale zredagowana skarbnica nieznanych faktów przeznaczona dla historyków i studentów nauk humanistycznych, może być ze względu na liczne analogie do czasów współczesnych, także pouczającą lekturą dla polityków, szczególnie dla tych którzy próbują uciec przed historią, a których ideowych protoplastów w przeszłości besztal Józef Piłsudski słowami: „Kto się boi Maciejowic, ten nie ma Raławic”¹. Książki te burzą spokój oraz naiwną i nieuzasadnioną wiarę Polaków w bezinteresowną pomoc państw sąsiednich, europejskich i światowych mocarstw.

Najnowsza publikacja prof. H. Kocijka pt. *Dyplomaci pruscy o powstaniu kościuszkowskim*, zawierająca oryginalne relacje posłów pruskich z Warszawy, Petersburga, Wiednia, Konstantynopola i Londynu, przesyłane królowi pruskiemu Fryderykowi Wilhelmowi II ukazała się na rynku księgarskim dzięki Wydawnictwu Uniwersytetu Jagiellońskiego². Praca ta zawiera ponadto listy ministra spraw zagranicznych Karla Philippa Alvenslebena, jeden memoriał

polskiej i europejskiej, a także są żywym dowodem, iż wciąż nie zamierza porzucić Klio. Nie przestaje myśleć o pisaniu i wciąż planuje nowe pozycje wydawnicze. W przeszłości szuka faktów, analogii i wzorców moralnych. Bliska mu historiografia baroku, w której kochano cytaty. Najwyższym autorytetem osoba naczelnika Tadeusza Kościuszki, obrońcy Ojczyzny i wolności republikańskiej. W podzięce za wkład w badania kościuszkowskie mianowano go honorowym członkiem Obywatelskiego Komitetu Budowy Pomnika Tadeusza Kościuszki (budowanego w Warszawie od 1817 roku), który przez Prezydenta RP został odsłonięty 16 XI 2010 roku.

Bibliografia prac katowickiego

historyka za lata 1959-2010 obejmuje aż 472 pozycje, z czego 70 to książki wydane w językach polskim, niemieckim i francuskim. Jego niesłabnąca pasja sprawiła, że w ostatnich latach od 2003 do 2009 r., opublikował aż 10 książek o łącznej objętości około 3500 stron. Ta opasła, bezgranicznie fascynująca i doskonale zredagowana skarbnica nieznanych faktów przeznaczona dla historyków i studentów nauk humanistycznych, może być ze względu na liczne analogie do czasów współczesnych, także pouczającą lekturą dla polityków, szczególnie dla tych którzy próbują uciec przed historią, a których ideowych protoplastów w przeszłości besztal Józef Piłsudski słowami: „Kto się boi Maciejowic, ten nie ma Raławic”¹. Książki te burzą spokój oraz naiwną i nieuzasadnioną wiarę Polaków w bezinteresowną pomoc państw sąsiednich, europejskich i światowych mocarstw.

Najnowsza publikacja prof. H. Kocijka pt. *Dyplomaci pruscy o powstaniu kościuszkowskim*, zawierająca oryginalne relacje posłów pruskich z Warszawy, Petersburga, Wiednia, Konstantynopola i Londynu, przesyłane królowi pruskiemu Fryderykowi Wilhelmowi II ukazała się na rynku księgarskim dzięki Wydawnictwu Uniwersytetu Jagiellońskiego². Praca ta zawiera ponadto listy ministra spraw zagranicznych Karla Philippa Alvenslebena, jeden memoriał

Girolamo Lucchesiniego i 181 depeš tego monarchy będących instrukcjami, do których stosowali się dyplomaci pruscy akredytowani u obcych dworów. Uzupełnieniem tego cennego wyboru źródeł są nieznanne dokumenty z archiwum z Merseburga o stosunku rządu pruskiego do powstania kościuszkowskiego. O wadze tych relacji wspominał ponad sto czterdzieści lat temu Ernst Hermann, autor niedostępnej dziś pracy *Diplomatische Correspondenzen aus der Revolutionszeit 1791-1797*³. W rozdziale pt. *Die polnische Erhebung im Jahre 1794* pisał, że depeše Ludwiga Buchholtza mają duże znaczenie dla opisanie ówczesnej sytuacji międzynarodowej.

Raporty dyplomatów obcych dworów są bardzo ważnym zasobem informacji m.in. ze względu na brak pamiętników z tego okresu na co już zwracał uwagę Wacław Tokarz⁴. Ze względu na ważne miejsce Prus wśród państw zaborczych, problemy relacji prusko-rosyjskich, wynikające z ekspansji Berlina w Europie Środkowej, znalazły omówienie w licznych pracach historycznych. Jednak książka H. Kocója wnosi wiele nowych istotnych szczegółów. Autorowi udało się wnikliwie zaprezentować przebiegłe zabiegi dyplomacji Hohenzollernów, aby skłonić Katarzynę II do nowego rozbioru Polski i jednocześnie ukazać Prusy, jako najbardziej oddanego i lojalnego sprzymierzeńca carycy w walce z Polakami. Nie przeszkadzało to Ludwигowi Buchholtzowi prowadzić podwójnej gry i od czasu do czasu wyrzekać w obecności Polaków na niegodziwy „alians w Grodnie z Moskwą zrobiony”⁵. Opinie tego typu szczególnie miłe były sercu Ignacego Potockiego, odpowiedzialnego za politykę zagraniczną władz powstańczych. Już na początku powstania było wiadomo, że nie ma widoków na jakiegokolwiek poparcie materialne Danii i Stanów Zjednoczonych. Fakt wyjazdu do Francji Franciszka Barssa jako agenta dyplomatycznego napawał I. Potockiego nadzieją na otrzymanie od rządu rewolucyjnego pożyczki 12 mln na hipotekę starostw, sądził ponadto, że Komitet Ocalenia Publicznego zachęci Portę do wystąpienia przeciwko Rosji i Austrii. Można przypuszczać, że kombinacja ta dominowała w polityce marszałka w pierwszej fazie powstania. Później kierownik polskiej dyplomacji zrażony postawą Paryża, pokładał nadzieje w poróżnieniu Prus i Rosji oraz życzliwej neutralności Austrii. Ignacy Potocki gotów był przyjąć każdą pomoc, nie pytając od kogo ona pochodzi. Był politykiem, który wyzbywał się dla tej idei sentymentów i animozji.

Niestety także wszelkie rachuby związane z Austrią były nierealne. Wiedeń nie chciał się narażać Berlinowi i Petersburgowi, by w przyszłym rozbiore Polski nie zostać wykluczonym z podziału łupów. Kres polskim nadziejom położyło doniesienie o wkroczeniu w granice Rzeczypospolitej wojsk austriackich. Dostosowując się do sytuacji również pruska dyplomacja łudziła przez

pewien czas mirażem pozornej życzliwości, aby zyskać na arenie międzynarodowej atut do prowadzonej przez siebie gry, której celem był rozbiór Polski. Wielu historyków wspominało o roli, jaką odegrał Ludwig Buchholtz w czasie insurekcji. Jan Reychman wskazał na ważną, a zarazem perfidną rolę L. Buchholtza w Warszawie. Historyk ten powoływał się na bliżej nie znane relacje, z których miałyby wynikać, że L. Buchholtz miał jakoby osobną deklaracją zaręczyć marszałkowi Ignacemu Potockiemu neutralność Prus. Depesze jego są sprzeczne z tym co mówił Polakom. Króla pruskiego ostrzegał: „Obojętnie, czy będzie to system oparty na Konstytucji 3 Maja, czy jakobiński [...] jedno i drugie będzie szkodliwe dla Prus i całkowiec nie do przyjęcia”.

W innej depeszy snuł rozważania: „Jestem przekonany, że pragną zyskać na czasie, gdyż zabiegają tu albo o krótkotrwałe porozumienie z Prusami – aby można było podjąć z nimi negocjacje, gdyby sprawy przybrały niekorzystny obrót – albo też zamierzają starać się o ich mediację”.

Zdaniem L. Buchholtza „polityka Polski zawsze polegała na tym, żeby szukać oparcia w jednym z trzech ościennych dworów i wówczas podjąć walkę z dwoma pozostałymi [...], fakt ten może doprowadzić do wojny z Rosją”. Analiza korespondencji pruskiego dyplomaty wyjaśnia jego sztywne stanowisko wobec noty Ignacego Potockiego, o której pisał: „Ja nie odpowiem na notę, ale muszę zaznaczyć, że jest dla mnie jeszcze jednym atutem, ażeby domagać się stąd wyjazdu”.

Jest znamienne, że I. Potocki, mimo oziębłych stosunków panujących między pruskim ministrem a RNN, złożył mu wizytę. „Ludzie dobrze zorientowani – pisał saski dyplomata – domyślają się, że I. Potocki szuka sposobów wybrnięcia z sytuacji, a zwłaszcza odkąd się przewiduje, że Prusacy mogą zająć Warszawę”.

Obserwując bieg wydarzeń, Jakub Patz w kolejnej depeszy odnotował: „Mówi się, że poseł angielski [William – Z.] Gardiner ma być pośrednikiem króla pruskiego i sądząc po pozorach, pogłoska ta wydaje się prawdziwa [...] Potocki spotyka się często z generałem Gardinerem, a przed kilku dniami był u niego na prywatnym obiedzie”.

Niepowodzenia zabiegów dyplomatycznych marszałka o mediację pruską w wojnie z Rosją obrazuje nota Benedykta de Cachego z 18 VI 1794 roku: „Całkiem niespodziewanie zostały opublikowane tutaj dwa polskie manifesty będące oficjalnym wypowiedzeniem wojny Prusom i Rosji. Z których jeden skierowany jest do wojsk polskich T. Kościuszki, a drugi do całego uzbrojonego społeczeństwa polskiego. Oba te dokumenty zostały podpisane w imieniu RNN przez cieszącego się powszechnym zaufaniem, nazywającego się obywatelem, pana hrabiego Ignacego Potockiego”.



Podziękowanie prof. zw. dr. hab. Henrykowi Kocójowi. Polska Fundacja Kościuszkowska. Warszawa 17 XI 2011 r. za „trwającą wiele dziesiątków lat pracę badawczą dziejów Powstania Kościuszkowskiego oraz za liczne publikacje naukowe i popularno-naukowe na ten temat”.

Najnowsza publikacja źródłowa H. Kocója rzuca nowe światło na kulisy polityki pruskiej weryfikując niektóre z ocen roli Ludwiga Buchholtza w Warszawie. W sprawie tej wypowiedzieli się zarówno pamiętnikarze epoki, jak Stanisław Wodzicki oraz historycy, m.in.: Bronisław Szwarce, Walerian Kalinka, Tadeusz Korzon, Waclaw Tokarz, Janina Muszyńska-Zygmańska i Andrzej Zahorski, a Jan Reychman w artykule *Prusy a insurekcja kościuszkowska*, zamieszczonym w „Przeglądzie Zachodnim” pisał o deklaracji Buchholtza, która miała zagwarantować Polakom neutralność Prus. Wszystkim wymienionym autorom nieznaną jednak były relacje L. Buchholtza z Warszawy i instrukcje płynące od Fryderyka Wilhelma II z Berlina. Z ich treści trudno jednak wywnioskować o jakichkolwiek pruskich sentymentach do Polski. Słusznie więc zauważa H. Kocój: „Nie ulega wątpliwości, że powyższa wypowiedź powinna być szczegółowo zweryfikowana, gdyż relacje posła pruskiego na nic takiego nie wskazują”⁶

Korespondencja Ludwiga Buchholtza jest interesującym przyczynkiem do poznania polskich planów powstańczych, zagadnienia redukcji armii polskiej i marszu gen. Antoniego Madalińskiego. Ważne są zwłaszcza dane dotyczące nastrojów ulicy warszawskiej, przebiegu wydarzeń z 17 i 18 kwietnia 1794 r., rozpraw orężnych pod Raclawicami i Szczekocinami oraz zajęcia Krakowa przez Prusaków. Wiele uwagi poświęca roli Stanisława Augusta Poniatowskiego, Radzie Najwyższej Narodowej i działającemu w stolicy korpusowi dyplomatycznemu. Zawiera również wiele nieznanych dotąd informacji dotyczących postawy Austrii wobec insurekcji i polskich zabiegów mających na celu zapewnienie jej neutralności.

W świetle badań H. Kocója i prezentowanej korespondencji L. Buchholtz okazał się gorącym rzecznikiem ścisłej, zarówno militarnej, jak i dyplomatycznej, współpracy prusko-rosyjskiej oraz ostatecznego rozbioru Polski. Wierzył



Karykatura polskiego satyryka W. Daszewskiego pt. *Żywe obrazy: Katarzyna II (Cziczerina) i Fryderyk Wielki (Stresemann). Z powodu spotkania pp. Gieorgija Cziczerina i Gustava Stresemanna*. „Cyrulik Warszawski” 29 VI 1927, nr 27. Artysta kierujących wówczas radziecką i niemiecką dyplomacją polityków przedstawił, pochylonych nad mapą Europy, w strojach z XVIII w.: radzieckiego komisarza w eleganckiej sukni balowej, a czolowego polityka Republiki Weimarskiej w żołnierskim uniformie „Starego Fryca”. Rysunek nawiązywał do imperialnych planów obu państw, od traktatu w Rapallo będących w bliskiej zażyłości politycznej, pogłębianej paktem Hitler–Stalin.

tersburgu – Leopolda Heinricha Goltza, którego misja spełniała w dużej mierze rolę wywiadowczą. W depeście z 11 VII 1794 roku Goltz pisał: „cała Rosja domaga się rozbioru Polski i wymazania imienia Polskiego”⁸. Dwór carscy mówił o okrutnej zemście, nie wykluczając całkowitego zburzenia Warszawy, której zamierzano zgotować los Kartaginy. Wśród podejrzanych o wrogość względem Rosji, nie licząc przyrównywanego do Hannibala marszałka Ignacego Potockiego, wymieniano księcia Józefa Poniatowskiego i księcia Adama Czartoryskiego, którym zamierzano skonfiskować majątki rodowe. Nienawiść do Polaków mieszała się z obawami przed ewentualnym konfliktem zbrojnym z Szwecją i Turcją, który mógł osłabić interwencję w Rzeczypospolitej. W tej sytuacji Rosja dążyła do spacyfikowania w pierwszej kolejności Semigalii

w zwycięstwo mocarstw zaborczych nad osłabioną i zrewoltowaną Rzeczypospolitą. Swój pogląd co do ostatecznego rozwiązania kwestii polskiej zaprezentował w słowach: „Burza zostanie zażegnana i wtedy nasze dwory porozumieją się, aby zniszczyć całkowicie to gniazdo ciągłych rewolucji. Jeżeli Polska zachowa dla siebie nawet sto mil kwadratowych, nie będzie nigdy spokojna”⁷.

W miarę jak sytuacja Polski stawała się coraz trudniejsza i widmo klęski zawisło nad Warszawą, Ludwigi Buchholtz i Fryderyk Wilhelm II dawali wyraz głębokiemu zadowoleniu z sukcesów odniesionych przez armie Katarzyny II. Monarcha pruski, podobnie jak rosyjska imperatorowa, był przekonany, że walka u boku Rosji z powstaniem kościuszkowskim jest jego głównym celem, a zarazem spełnieniem testamentu Fryderyka Wielkiego, by przez kolejny rozbiór ugruntować i zapewnić przyszłą potęgę domu Hohenzollernów.

Podobne akcenty pobrzmiwały w relacjach posła pruskiego w Peters-

i Litwy. Dlatego z zadowoleniem przyjęto w Petersburgu wiadomość, iż Fryderyk Wilhelm II stanął na czele pruskiej armii, która wkroczyła do Polski by tłumić powstanie.

Analiza zebranego materiału źródłowego zaowocowała wnikliwą konkluzją autora tego monumentalnego dzieła, będącego równocześnie przestrożą i zachętą do głębszej refleksji nad przeszłością, terażniejszością i przyszłością. „Przyjaźń prusko-rosyjska, o której tak często wspominał w swych depeszach do podwładnych dyplomatów Fryderyk Wilhelm II, miała być odtąd wytyczną polityki tego państwa, zwłaszcza w okresie powstania listopadowego i styczniowego, gdyż zarówno Berlin jak i Petersburg rozumiały, że ich żywotne interesy sprowadzają się do tego, by wszelkie próby wybicia się na niepodległość niepokornych Polaków musiały spotkać się z bezwzględny i stanowczym sprzeciwem i w rezultacie zakończyć niepowodzeniem. Ta polityka sojuszu prusko-rosyjskiego, zapoczątkowana przez Piotra I i Katarzynę II oraz Fryderyka II, będzie jeszcze wielokrotnie odżywała w historii – nie tylko w XIX i XX wieku, ale dotrwa w swej zmienionej nieco postaci aż do czasów współczesnych”⁹.

Wartości publikacji nie pomniejszają drobne mankamenty, jak np. brak indeksu osób i miejscowości. Ponadto odczuwa się w komentarzu brak głębszej oceny polskiej dyplomacji i jej kierownika marszałka Ignacego Potockiego, który stał na czele Wydziału Interesów Zagranicznych Rady Najwyższej Narodowej i musiał się zmagać z propagandą antypolską i antypowstańczą.

Książka H. Kocója *Dyplomaci pruscy o powstaniu kościuszkowskim* nie tylko wzbogaca naszą historiografię poświęconą wydarzeniom 1794 roku, godna jest lektury każdego miłośnika XVIII wieku i dziejów insurekcji kościuszkowskiej.

P R Z Y P I S Y :

- 1 Przemówienie w Radzie Stanu z 26 kwietnia 1917 roku.
- 2 Depesze Ludwiga Buchholtza do Fryderyka Wilhelma II z Warszawy, Łowicza i Wrocławia (2 stycznia – 14 grudnia 1794); Depesze Fryderyka Wilhelma II do Ludwiga Buchholtza (10 stycznia – 2 grudnia 1794); Depesze pośła pruskiego Leopolda Heinricha Goltza przesłane z Petersburga do Fryderyka Wilhelma II (21 marca/1 kwietnia – 18/29 sierpnia 1794); Depesze Fryderyka Wilhelma II przesłane do pośła pruskiego w Petersburgu Leopolda Heinricha Goltza (11 kwietnia – 22 sierpnia 1794); Depesze Girolamo Lucchesiniego i Cesara postów pruskich z Wiednia do Fryderyka Wilhelma II (2 kwietnia – 10 października 1794); Depesze Fryderyka

Wilhelma II z Berlina do Girolamo Lucchesiniego i Cesara posłów pruskich w Wiedniu (4 kwietnia – 5 października 1794); Depesze Jacobiego-Kloesta posła pruskiego z Londynu do Fryderyka Wilhelma II (20 czerwca – 31 października 1794); Depesze Fryderyka Knobelsdorffa posła pruskiego w Konstantynopolu do Fryderyka Wilhelma II (18 stycznia – 25 listopada 1794); Depesze Fryderyka Wilhelma II do posła pruskiego w Konstantynopolu Fryderyka Knobelsdorffa (28 lutego – 29 grudnia 1794); Memoriał Girolamo Lucchesiniego o początkach powstania kościuszkowskiego.

3 E. Hermann: *Diplomatische Correspondenzen aus der Revolutionszeit 1791-1797*, Gotha 1867.

4 W. Tokarz: *Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku*. Kraków 1911, s. 1.

5 H. Kocój: *Dyplomaci pruscy o powstaniu kościuszkowskim*. Kraków 2011, s. 17.

6 H. Kocój: *Dyplomaci pruscy o powstaniu kościuszkowskim...*, s. 16.

7 Tamże, s. 28.

8 Tamże, s. 84.

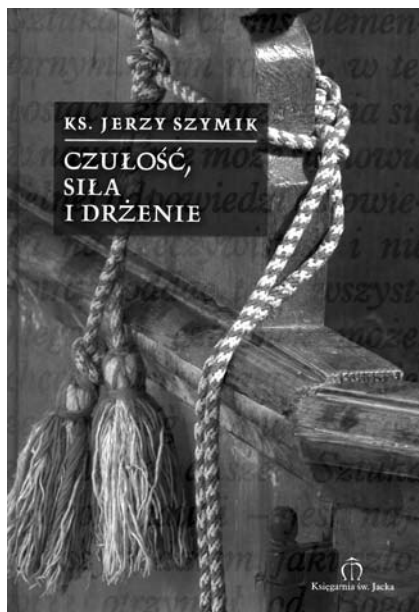
9 Tamże, s. 90.

BYĆ W RĘKU BOGA

Czytając teraz, latem 2012 roku, nową książkę poetycką ks. Jerzego Szymika, dochodzę do wniosku – przypomniawszy sobie dwa inne moje teksty poświęcone dorobkowi tego znakomitego poety kapłana, o tomach *Błękit* (2005) oraz *Cierpliwość Boga* (2006) – że przedstawiając nowy etap twórczej samorealizacji księdza profesora, warto zajrzeć na jego stronę internetową, do autoreferatu.

Dowiemy się z niego, że pierwszą pracę naukową poświęcił obecności Ewangelii w powieściach Fiodora Dostojewskiego, następna stanowiła opis i interpretację teologicznych treści dzieła literackiego Czesława Miłozsa. Jednym słowem, jak zapisał w 2004 roku nasz autor: „...tzw. naukowy dorobek dotyczył zawsze styku Kościoła i świata, wiary i kultury, teologii i literatury. Czyli teologii dogmatycznej uprawianej pod ewangelizacyjnym kątem, w nieustannym dialogu ze współczesnością”. I na koniec owej autoprezentacji istotne podsumowanie: „Taka też jest idea uprawianej przeze mnie teologii, pokorna i śmiała zarazem: wszystko – teologię, poezję, życie – zjednoczyć w Chrystusie”.

Czy to sprzężenie ma jakiś walor wyjątkowości? Może tak, może nie. Każdy znany mi znaczący poeta kapłan (myślę o paru ulubionych twórcach przełomu stuleci) stara się godzić dogmat, myśl duszpasterską, posługę kapłańską z literaturą. Każdy przecież przede wszystkim jest człowiekiem, kapłanem, podróżnikiem, rozmówcą, myślicielem czy choćby zamyślonym, refleksyjnym przedstawicielem naszego gatunku.



Ks. Jerzy Szymik
Czułość, siła i drżenie

Księgarnia św. Jacka
Katowice 2009

Jaki więc jest wyróżniający rys postawy (i liryki) ks. Szymika? Wydaje się że: skoncentrowanie się na cierpieniu, wywiedziona z wiary wiedza o Krzyżu (i krzyżu niesionym przez każdego z nas), wyjątkowy – skomplikowanie miłośny - związek z rodzinną ziemią śląską, najbliższą sercu okolicą.

Każda nowa książka twórcy dojrzałego jest relacją z przebytej drogi, rachunkiem zasług i błędów, sprawozdaniem z nauk, które pobraliśmy, świadectwem nowych spotkań i lektur. Tak i tu: dziesiąta książka Szymika składa się z dziesięciu różnych – przede wszystkim tematycznie, ale i gatunkowo – części: teologicznych, egzystencjalno-podróżnych, „domowych”, modlitewnych.

Pierwszej patronuje obecny papież, jego myśl, jako teologa, kapłana, nauczyciela, przewodnika Kościoła w tym niełatwym czasie. Lekcja Ratzingera, jako wyraziciela myśli pokrewnych Szymikowi, bliskich jego praktyce żywo-twórczej, warta jest zacytowania: „Sztuka – obok nauki – jest najwyższym darem, jaki człowiek otrzymał od Boga”. I znaczący fragment z *Raportu o stanie wiary*: „... teolog niekochający sztuki, poezji, muzyki, natury, może być niebezpieczny. Ta bowiem ślepotą i głuchotą na piękno nie jest sprawą drugorzędną, lecz może wycisnąć piętno także na jego teologii”.

Po zakończeniu lektury tej bogatej książki przychodzi refleksja, iż dzieło zasługuje na obszerny esej, a niektóre teksty o charakterze traktatowych, teologicznych rozważań, powinny doczekać się uczonych, specjalistycznych komentarzy. Poprzestaśmy więc na niektórych tylko wrażeniach, interpretacyjnych sugestiach i odpowiedziach, mogących być może ułatwić komuś przyszlą lekturę.

Książkę otwiera ironiczny wiersz, tonem i stylistyką nawiązujący do Miłosa, a dedykowany Adamowi Zagajewskiemu – wiersz „sytuujący” wśród klasyków i poetów klasycyzujących, wskazujący na dominację określonej dykcji i opowiadanie się po stronie wartości rudymenarnych:

*Ale po co wiedzieć, czym są:
strzelisty płomień wiersza
i pragnienie Boga. Czy nie wystarczy,
że z nich siła i drżenie?*

Ironia i sarkazm powoli przeistaczają się tu w mówienie poważne, istotną prawdę o człowieku.

W cyklu *Wiersze Ratzingerowe* uwagę przyciąga wiersz *Godzę się; włócznie drży*, mówiący o trudnej zgodzie na wiarę, aprobacie dla cierpienia, pokorze, o ciągle na nowo budowanym przymierzu z Bogiem. Inne wiersze tego cyklu to analiza Boskiego planu poprzez szczegóły, z punktu widzenia człowieka, kobiety i mężczyzny, zbiorowości ludzkiej. Tu jeszcze domaga się koncentracji

poemat *Moria* nawiązujący przecież nie tylko bezpośrednio do nauki Ratzingera, ale tego samego tropu (góra *Moria* to miejsce „niedoszłej” ofiary Abrahama) w poemacie teologicznym polskiego papieża.

W rozdziale *Rozmowy* natrafi czytelnik na dyskusje autora z Mistrzami poetyckimi, których szczególnie ukochał: Miłoszem i Herbertem. Wiersze paschalne pokazują, że wybiera ich Szymik nie dla samego mistrzostwa czy maestrii ich utworów, ale z powodu wykorzystywania podobnych motywów: śmierci i cierpienia, pamięci i trwania. To taka c z u ł a lektura, pełna wiary i zrozumienia, twórcze poczucie wspólnoty.

Dalej następują wiersze „z tęsknoty” i liryki podróżne. Podobać się może, że dokądkolwiek twórca podróżuje – czy to będzie stacyjka gdzieś w Polsce czy afrykańskie bezdroża, wszędzie podróż wydaje się „jedynie” powodem do autorefleksji, podpatrywania samego siebie, przeglądania się w Obcym i ufne-go oswajania Nieznanego. Są to więc wiersze traktujące o upływności naszego życia, przemianach, odwiedzaniu miejsc dawno poznanych i nigdy nie widzianych, także takie, które pokazują poetę jako „podróżnego świata” po obszarach kultury zachodnioeuropejskiej (szczególnie piękny przykład: *Hesja, jesień*).

Wiersze śląskie pisane są sercem, to liryki szczególnie wzniosłych uczuć i głębokich wzruszeń, poświęcone matce autora, rodzinnej ziemi, przyrodzie, chwilom, zapamiętanym porom dnia i pejzażom. I charakterystyczny motyw, swoiście oksymoroniczny: raju jako „kamienia”, owej „ciężkości”, ale i „opoki” realnie wymiernego, ludzkiego trudnego losu:

tu,
w śląskim raju, który jest kamieniem...

Wiersze włoskie oraz *Wiersze afrykańskie* potraktować możemy jako zapisy dziennika podróży o różnym stopniu złożoności, koncentracji, to świadectwa różnych stanów świadomości i różnorodności percepcji, od prostej wrażeniowości, świadectw zachwycenia po „poczucie dziwności istnienia” w pejzażach obcych doświadczeniu Europejczyka.

Wiersze z Ziemi Świętej to prawdziwa ozdoba, „perła w koronie” tego zbioru. Istotę tamtych przeżyć przekazuje niezwyklej urody wiersz *Jerycho*:

/.../
Mam gęsią skórę, suchą twarz.
Nie śpię od kilku godzin.

Bóg szuka do mnie drogi,
przeciera szlak swojemu i mojemu sercu.
Powtarza stare znaki, tworzy nowe.

*Patrzę na gwiazdy, które widział Jezus.
Piłem wczoraj wodę z tej samej, co On, studni.
Na podniebieniu przechowuję smak oliwki zerwanej w Getsemani.
Noszę w kieszeni ziarnko gorczycy.*

Czasem więc uwierzyć to znaczy „dotknąć”, ale też utożsamić się z Tamtym, poczuć powszedniość tamtego życia, bliskość tamtego cierpienia z dzisiejszym światoodczuciem.

Tom wieńczę dwa utwory *stricte* religijne: *Missa de spe* – Masza święta nawiązująca do tragedii pomordowanych w grudniu 1981 roku górników w kopalni „Wujek” oraz piękna *Litania do Matki Boskiej Pszowskiej*, tej, która od maleńkości jest Przewodniczką księdza poety po jego ziemskich ścieżkach.

Jakie korzyści płyną z lektury nowego tomu poezji ks. Szymika? To mądra, głęboka, nienachalnie pouczająca i prawdziwie inspirująca twórczość, pokazująca możliwości odczuwania Wiary jako całozyciowej przygody człowieka pięknie myślącego.

KS. JERZY SZYMIK – WIERSZE

LUBLIN. MANDRAGORA

*Tu litewskie już wieją wiatry.
Tu szlachta piła zdrowie króla i unii.
Tu krwawił księżyc nad ulicą Żółtą, kiedy konał Czechowicz.
Tu Chrystus mi wybaczył i objął mnie czule, wtedy, głosem
kapucyna.*

*Tu pachnie mandragora.
Tu w listopadzie jesiony ciągle szemrzą w jidysz.*

*Tu żyłem mocno,
może najmocniej żyłem tu w życiu.*

*Tu szarość schodzi z nieba na ziemię i staje się ludzka.
Siwa oblepia nieraz to miasto,
całe wtedy w barwie ołowiu,
wilgotne, skulone, czekające na wielkie śniegi, długie mrozy.*

*Cóż to były za lata
w tym kresowym, prowincjonalnym mieście...
Należy im się pieśń, bez wątpienia,
a spotyka je milczenie.
Bo któż by jej chciał słuchać
w mojej ciemnej ojczyźnie
zapatrzonej w swoje własne blizny, przewagi i marzenia.*

*Tu się zdarzyło wszystko
(wiecie dobrze, co znaczy „wszystko”,
przecież wszyscy jedziemy na tym samym wózku).*

Wielkie szczęście Wielki płacz

Lublin, 19 listopada 2006 r.

ANTYLOPA KUDU

*Misjonarzom z Chilongi,
dawnym i obecnym,
także tym, których ciała spoczywają na tutejszym cmentarzu
– Kubie, Marianowi, Wszystkim*

*jej niewidzące oczy,
migdałowe szklane kulki,
patrzą od wielu lat
(od tamtego strzału i noża)
na wąski korytarz katolickiej misji w Chilonga
należącej do diecezji Mpika w północnej Zambii.*

*Antylopa o tym wszystkim nie wie
Jej skóra jest ozdobą kremowej ściany.*

*Historia jej śmierci jest legendą w kilku sprzecznych
wersjach.*

*Jej życie było częstką afrykańskiej sawanny,
krwawego płatu ziemi między równikiem a zwrotnikiem,
w słodkich i zwariowanych latach 80-tych XX wieku
(że takie one były, wiemy z radiostacji nadających non stop
muzykę pop),*

w którym zginęło kilkaset tysięcy jej siostr i braci
od ludzi, lwów i pasożytów, od głodu, wody i ognia.

Była kozłem. Młodym choć ofiarnym.
Miała rogi, brodę i sprężyste ciało.

Myślałem o niej niemało latem 2009 roku
(że jej pięknie na tej ścianie. I ścianie jest pięknie z nią.
Ale antylopiość i śmiertelność budziły we mnie żal).

Jest w myśli Bożej, nieustannie
(bez tego by jej nie było,
A ściana plebanii w Chilondze byłaby pusta).

Co wiedziała – nie wiem;
co wie – nie wiem.
Była i jest kudu – zapewne.
I ma być kudu na wieki – zapewne.
W tym jej siła i miejsce dane z Wysoka. Zapewne.

Chilonga, Nabwalya, 17-19 lipca 2009 r.

Pszów, 5 sierpnia 2009 r.

BYĆ ŚLĄSKIM KSIĘDZEM

Przyjaciołom z katowickiego rocznika święceń 1979

Był tam ogród, do którego wszedł On i Jego
uczniowie, [...] a Jego pot był jak gęste krople krwi
sączące się na ziemię
J 18, 1b; Łk 22, 44b

Nie spod figowców,
ani spośród gęstych koron sykomor,
ani ze szpaleru cyprysów
nas wezwał.
My jesteśmy spod cherlawych brzoźek,
spod lęklwych topoli, ze środka konających lasów
świerkowych.
Wielu z nas lepiej zna kąkol niż pszenicę,
bo dorastaliśmy wśród białych łąk i kopalnianych stawów.

*Szedł skrajem familoków
jak pękniętym jarem Pustyni Judzkiej
i wyraźnie potrzebował naszej pomocy.
Wołał nas.*

*Rozumieliśmy z tego niewiele,
ale jednak najważniejsze:
że Jemu się nie odmawia.
Dlatego
dołączyliśmy do tamtych,
nie wiedząc,*

*że oto spełnia się marzenie
śląskich chłopaków:*

*mieć mocne życie,
nie dać się bele czymu,*

*chronić bezbronnych,
wybierać Boga.*

*Idziemy za Nim.
Całymi latami oglądaliśmy jedynie Jego plecy.
Ale teraz, pod wieczór,
coraz częściej zdaje się odwracać głowę*

*jakby nas liczył,
jakby pytał, czy nadal może na nas liczyć,
jakby liczył dni, kiedy ujrzymy Go twarzą w twarz, jakim jest.*

*Póki co, pocę się
jakbym krwawił*

*Jerycho, 23 września 2009 r.
Katowice, 29 września 2009 r.*

NIEŚMIERTELNE PLATANY, TAJEMNICE PRACOWNI I BARWY SZAROŚCI

W zaiste przebogatej, wypełniającej setki przepastnych i głębokich bibliotecznych szaf literaturze dotyczącej historii sztuki, dziejów pięknych przedmiotów, recepcji słynnych i znakomitych dzieł w różnych czasach i epokach znalazłam dawno już temu kilka fragmentów, kilka zdań, które cenię szczególnie. Jednym z takich właśnie fragmentów jest słynne zdanie o konieczności i potrzebie postradania wszelkiego poczucia ścisłości bo to, by mówić o sztuce romantycznej. Zdanie to powiedział – a raczej napisał – wybitny znawca malarstwa, człowiek nadzwyczaj utalentowany, wykształcony i odczytany. Znający życie sztuki – i sztukę życia. Dlatego lubię to zdanie i przytaczam, powtarzam, przypominam je często. Powtórzę je i teraz – acz z nieco zmodyfikowanej, zmienionej, odmiennej formie.

Otóż – trzeba postradać wszelkie poczucie ścisłości, by mówić o wystawach zbiorowych

Naturalnie, nie oznacza to wcale, że o tego rodzaju ekspozycjach mówić nie należy. Rzekłabym iż przeciwnie – mówić o nich należy i trzeba, i to w dodatku dużo i często. Nic tak bowiem nie pomaga w mówieniu i pisaniu o sztuce, jak odrobina szaleństwa. Kontrolowanego szaleństwa.

Ale – życie (także życie sztuki i życie sztuką) czasem bywa bardziej jeszcze skomplikowane. Wystawa zbiorowa to znaczny stopień trudności. Znamy jednak jeszcze stopnie wyższe, komplikacje bardziej zaawansowane i dlatego właśnie nader pociągające i inspirujące. Inspirujące do przemyśleń, dociekań, porównań i wszelkiego rodzaju refleksji. Taką swego rodzaju „wyższą szkołą jazdy” (posłużymy się tutaj malowniczą terminologią z innej dziedziny ludzkich umiejętności i człowieczego geniuszu) mogą być wystawy z cyklu „mistrz i uczeń”, „profesor i wdzięczni wychowankowie”, grupa studentów pracująca pod kierunkiem wybitnego twórcy – czyli tajemnice pracowni. A raczej – tajemnice akademii.

Taką właśnie wystawą była prezentowana w Galerii „Po Schodach” ekspozycja rysunku studentów pracowni profesora Janusza Karbowniczka.

Zadanie jest wielce trudne, skomplikowane, złożone – lecz pomimo to, a może właśnie dlatego, nader wdzięczne.



Katarzyna Piotrowicz
studium postaci

O czym pisać? O różnicach – czy o podobieństwach? O uleganiu wpływom – czy przeciwstawianiu się im? O jedności przeciwieństw – czy przeciwieństwach ukrytych w jedności? O tym, jak zostaje się sobą – czy jak zaczyna się być kimś innym? W dodatku w obu tych wypadkach postawić należy pytanie – dlaczego tak się dzieje? Z jakiego powodu? dla jakiej przyczyny? w jakim celu?

Jaki jest idealny Mistrz? Jakie cechy, przymioty i zalety powinny charakteryzować idealnego ucznia? Oraz – czy te pedagogiczne i studenckie ideały są potrzebne? Komu i kiedy? I – przede wszystkim – dlaczego? Pytania można mnożyć, tworzyć nowe, dodawać następne. Tylko, że dobrych odpowiedzi nie ma. Prawidłowe odpowiedzi nie istnieją. I to z nader prostej przyczyny: bo być ich nie może. Bo stawianie takich i podobnych pytań brzmi trochę tak, jakbyśmy szukali odpowiedzi w kwestii, w czyich oczach świat odbija się lepiej. Lepiej, pełniej i wyraziściej. A czy naprawdę chcemy to wiedzieć? Czy tego rodzaju wiedza komukolwiek z nas jest potrzebna? Do czego?

Jednak od czegoś trzeba zacząć.

A zacząć można na przykład tak: w pewnym górzystym choć ciepłym zakątku Europy rósł kiedyś gęsty gaj szumiących platanów i drzew oliwnych. W cieniu tych drzew spotykali się ludzie ciekawi świata, pożądamy wymiany myśli, skłonni do refleksji. Poszukujący wiedzy. To była pierwsza akademia. Jeszcze nie artystyczna. Akademia Platona. O jej znaczeniu i randze niech świadczy fakt, że owe podmiejskie gaje oszczędzane były przez wrogów i zdobywców. I dopiero srogi i surowy Sulla nakazał ścięcie drzew (ach, gdyby one mogły opowiedzieć o wszystkim, co usłyszały...) i użycie drewna do budowy machin oblężniczych. Tak to mądrość i szlachetność ustąpić musiała



Paulina Stargała, studium postaci

przed brutalną siłą – nie ostatni raz w dziejach ludzkości. Jednak zwyciężyła siła dobra – platan y odrosły. Widział je wielki Horacy bawiąc w Atenach.

Potem akademie bywały różne. Te dla poszukujących i pragnących doskonałości. Dla wierzących w nieomyślność i autorytety. W geniusz starożytnych – nie mający sobie równych. W geniusz natury. W konieczność poszukiwań i własnych dociekań. W jedynie prawdziwą i godną podziwu przeszłość – i w nieodgadnioną przyszłość. Porównywano akademie do kuźni Wulkana, siedziby Muz albo miejsca przebywania Trzech Gracji (Giorgio Vasari, Wilhelm von Kaulbach). Statuty akademii układali – mniej lub bardziej udanie, mniej lub bardziej trafnie – wielcy tego świata – kardynał Richelieu, minister Colbert (choć może ciut lepiej znał się na finansach niżli szkoleniu artystycznym...), wielcy książęta Toskanii, artyści, uczeni, a nawet car Piotr I (który, jak powszechnie wiadomo, znał się absolutnie na wszystkim – więc zapewne na pracy z modelem też). W Madrycie wymyślono akademię, w której nie było modeli i studium aktu – ale po drugiej stronie Pirenejów wszystko jest możliwe. A w każdym razie było... Z kolei

pewien malarz z oddaniem i zaangażowaniem służący swym ogromnym talentem dwóm potęgom, które miały być wieczne (w każdym razie zdołały zmienić mapę Europy, a to już coś...) wołał publicznie i w uniesieniu: „Pozwólcie nam unicestwić wszystkie te posępne akademie!” Jakobini, żyrondyści i inni deputowani do Zgromadzenia Narodowego słuchali i ze zrozumieniem kiwali głowami. Ów malarz przeszedł zresztą do historii – bardziej wszakże ceniony i znany jest jako autor „Przysięgi Horacjuszów” niż demagogiczny mówca parlamentarny.

O akademii można więc nieskończenie.

Akademie ciągle są miejscem, w którym artyści różnych pokoleń, temperamentów i talentów oczekują, poszukują i odkrywają. Jednym słowem – znajdują. I niechaj tak będzie zawsze. Chrońmy platan y i oliwki przed zaciężnymi oddziało mi bezmyślnych nowatorów i reformatorów.

Na zakończenie – dwa słowa o szarości. Bo nie można mówiąc o Januszu Karbowniczku, o szarości nie wspomnieć.

Szarość na tej wystawie wywołuje niepokój. Dziwny, przejmujący niepokój, któremu bardzo jest blisko do melancholii – ale i do radości. Radości nie zwyczajnej, ale wzniosłej i podniosłej, pełnej chmurnego wdzięku. Taka radość rzadko się uśmiecha, częściej marszczy brwi. Lecz ileż w tych zmarszczonych brwiach i opuszczonych rzęsach kryje się zniewalającego, urzekającego piękna!

Szarość przybierać może różne tony i odcienie, różne walory i natężenia, różne nasycenia i gęstości. Bywa lśniąca, matowa, srebrzysta lub perłowa. Antracytowa. Grafitowa. Szarość zmierzchu, poranka, mgieł i oparów – zawsze niepewna i ulotna. Szarość dymu – tak łatwo się rozwiewa... Szarość kurzu – migotliwa i nietrwała. Szarość króliczego futerka – trwożliwa i płochliwa. Szarość zasuszonych kwiatów – pełna smutku za tym, co było. Szarość źrenic głębokich jak jeziora. Szarość skrzydeł gołębic – ta może poszybować daleko i wysoko. Szarość codzienności – ale ta jest najczęściej złudzeniem.

Szarość lubi szept, milknące w korytarzu kroki, książkę wpół otwartą zostawioną na biurku.

A bywa też, że szarość krzyczy...

Czyli – o szarości też można nieskończenie.

A teraz – stój, Muzo moja. Obiecuję, że z największą radością – w miarę moich umiejętności i możliwości – omówię wystawę każdego z twórców prezentujących swe dzieła na wystawie studentów i wykładowców pracowni prof. Janusza Karbowniczka – jeśli tylko zechcą wrócić do Galerii „Po Schodach”. O twórczości Pana Profesora miałam okazję pisywać już kilkakrotnie.

Wystawa rysunku studentów pracowni prof. Janusza Karbowniczka.
Galeria „Po Schodach”, Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich.
kwiecień-maj 2011, wernisaż 15 IV 2011.

Przygotowując powyższy krótki tekst autorka sięgnęła do kilku ulubionych i niezastąpionych książek, m.in. do monografii prof. Marii Poprzęckiej „Akademizm” (Wyd. Artystyczne i Filmowe, Warszawa, 1977). Przydały się także wspomnienia, zasoby pamięci oraz niewielka książeczka pt. „Moja Pracownia” (wyd. Naukowe Śląsk, Katowice 2011) – autorstwa piszącej te słowa.



Iga Wilczyńska, studium postaci

JUBILEUSZ 25-LECIA DZIAŁALNOŚCI SIEMIANOWICKIEJ GRUPY PLASTYCZNEJ „SPICHLERZ '86”

Poniższy tekst Katarzyny Młynarczyk stanowi przedruk z katalogu wystawy jubileuszowej, która miała miejsce w Galerii „Po Schodach” Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich od czerwca do końca sierpnia 2011 r. Wernisaż odbył się w dn. 17 czerwca jako jedna z imprez w ramach obchodów XXIX Dni Siemianowic Śląskich z udziałem prezydenta miasta Jacka Guzego, przewodniczącego Rady Miasta Adama Cebuli, sekretarza Miasta Piotra Madeji, radnych i licznie zebranych gości. Wszystkim członkom Grupy wręczono pamiątkowe dyplomy z okolicznościowymi życzeniami. Wernisaż uświetnił koncert siemianowickich muzyków: Bohdan Lizoń Trio oraz Bogdan Wantuła – fortepian, puzon, Katarzyna Müller – śpiew i uczniowie szkół muzycznych, a także promocja tomików poetyckich „Do przyjaciół” Joanny Łackiej oraz „Pomaluj...” Jarosława Englera – długoletnich członków SGP „Spichlerz '86” (przyp. red.).

Wszystkiego najlepszego.

Na początku było – nie, wcale nie słowo. Na początku była kolorowa plama. A nawet mniej – był tylko kolor. I trzeba było wiele czasu i wysiłku, dobrej woli i wyobraźni, fantazji i bystrego oka, by z bezkształtnej i nijakiej kolorowej magmy wyłoniło się coś, co kapryśne i rozedrgane, nieokreślone i skłonne do zmian, miało już swój, początek i koniec, miało kontur i kształt. To coś było plamą. Tak narodziło się malarstwo – choć nie brak i zwolenników teorii odmiennej, przeciwnej, ale także interesującej. Twierdzą oni, że pierwsza była linia, kreska, precyzyjny kontur, który powoli i z rozmysłem wypełniał się kolorem. Hmm... może to i prawda, bo ciekawie zaczęło być dopiero wtedy, gdy połączyły się z sobą, związały i zespoliły kształty i barwy, formy i kolory.

Określona konturem, ograniczona linią plama miała bardzo bogate życie wewnętrzne. Podobało jej się przybierać różne kolory – mogła więc wyrażać tysiące uczuć. I wcale nie twierdziła, że jedno uczucie tylko z jednym kolorem bywa związane. Plama była kokietką – pracownia malarska to idealne miejsce dla prawdziwych – kokietek – i lubiła zaskakiwać. Znała urok radosnych

czerni i przewrotność rózu, który czasem spoglądał na świat smutno. Albo wręcz ponuro. Plama potrafiła rozzarzyć błękity i kobalty niczym drwa na kominku, a oranże, karminy i czerwienie zmieniała tak, że marzły przy nich palce. Plama lubiła zmiany i ruch. Była swobodna i płynna. I tę swobodną ruchliwość zdawał się cenić ponad wszystko. Kolorowych plam – radosnych, mądrych, wytwornych, czułych, niepokojących, delikatnych lecz silnych, kapryśnych choć stanowczych – było coraz więcej. Pokrywały płótna i ściany, pergaminy i sklepienia, arkusze papieru i zwoje jedwabiu. Wyglądały z ram i stron książek, szkicowników i sztambuchów. Z palet i pędzli przepływały, przefruwały, przenosiły się na biurka, biureczka, stoły i sztalugi.

Potrafiły czynić życie piękniejszym i szlachetniejszym. Ozdabiały i umiły – ale niektóre z nich posiadały też sztukę przerażania widza. Bywały jasnym uśmiechem – lub mroczną tajemnicą. Poszukiwaną i pożądaną odpowiedzią – albo dręczącym pytaniem. Były wszystkim. Były sztuką. I takie są do dzisiaj. I takie są ciągle. Takie będą zawsze.

Plamy pojawiają się w pracowniach i galeriach, muzeach i salonach, buduarach i salach ekspozycyjnych. Wszędzie czują się dobrze. Wszędzie wyglądają pięknie. Wszędzie są oczekiwane i podziwiane. I właśnie to niezwykle, osobliwe i piękne zjawisko barwnych plam ułożonych, umieszczonych, uporządkowanych na płaskiej powierzchni fascynuje mnie od zawsze. Zachwyca mnie i czaruje, inspiruje do przemyśleń, dostarcza niezapomnianych wrażeń. Odkrywa przede mną tajemnice, niespodzianki i zagadki. Pomaga i pozwala zrozumieć i ujrzeć we właściwej, odpowiedniej perspektywie naturę, przyrodę, codzienność, najbliższe otoczenie i przyprawiający o zawrót głowy, rozległy kosmos.

Bo przecież w malarstwie zawiera się wszystko. Wszystko można w nim odnaleźć i odczytać. Trzeba tylko umieć patrzeć, mieć dobre chęci i być cierpliwym. Takich wrażeń doświadczam – a sądzę, że nie jestem w swych



Okładka katalogu jubileuszowej wystawy z okazji 25-lecia Grupy Plastycznej „Spichlerz '86”



Pamiętkowa tablica członków Grupy

odczuciach odosobniona - w salach muzealnych i galeriach. Takich refleksji doznaję zwiedzając i podziwiając wystawy malarstwa.

Także wystawy Siemianowickiej Grupy Plastycznej „Spichlerz ‘86” – których obejrzałam już kilka. I właściwie żałuję trochę, że nie miałam okazji i możliwości towarzyszyć istnieniu i działalności grupy od początku – czyli od roku 1986. A więc od dwudziestu pięciu już lat. Wrażenia moje byłyby szczególnie bogate i różnorodne, bo przecież członkowie Grupy uprawiają różne dziedziny i dyscypliny sztuk plastycznych – oprócz malarstwa także rysunek, grafikę i rzeźbę. Kwiaty i zachody słońca, polne ścieżki i miejskie ulice,

twarze i ludzkie postacie, sceny rodzajowe i alegoryczne wszystko to znaleźć można w twórczości i na wystawach twórców zrzeszonych w Siemianowickiej Grupie Plastycznej „Spichlerz ‘86”. Są tu wspomnienia, sny, wizje i obserwacje. Są marzenia, fakty i wyobrażenia. Jest przeszłość, przyszłość i teraźniejszość. Jest wiedza, fantazja i doświadczenie. Są refleksje, liryzmy i sentymenty. Są westchnienia i chwile ciszy. Są myśli i uczucia. Jest intymna rozmowa z widzem i zaproszenie do dalekich podróży – w odległe światy i w głąb siebie. Po prostu – są kolory, formy, kształty i linie, w których mieści się i zawiera wszystko. Cały świat.

Dwadzieścia pięć lat to ćwierć wieku. Dwadzieścia pięć lat to szmat czasu. Dwadzieścia pięć lat to piękny jubileusz. Czego można życzyć członkom Siemianowickiej Grupy Plastycznej „Spichlerz ‘86”? Pasji. Talentu. Inwencji i nieustannej pomysłowości. Twórczych poszukiwań. Płynących zewsząd inspiracji. Materiałów plastycznych w obfitości i najlepszym gatunku. Hojnych mecenasów. Szczerze zainteresowanych kolekcjonerów. Plenerów w ciekawych miejscach. Częstych wystaw. Profesjonalnie opracowanych katalogów z dobrymi reprodukcjami. Kwiatów na wernisażach. Następnym dwudziestu pięciu lat... O nie, nie – następnych dwustu pięćdziesięciu lat. Co najmniej. Krótko mówiąc – wszystkiego najlepszego.



Jubileuszowa wystawa z okazji 25-lecia Grupy Plastycznej „Spichlerz '86”

Siemianowicka Grupa Plastyczna „Spichlerz '86” powstała pod kierunkiem Jacka Gladosa w 1986 r. znajdując swą siedzibę w XVIII-wiecznym spichlerzu, którego większość pomieszczeń zajmowała ówczesna Miejska Izba Tradycji Ruchu Robotniczego i Perspektyw Miasta a później Muzeum. Grupa skupiła kilkudziesięciu przedstawicieli różnych profesji, których połączyła wspólna pasja malarstwa, rysunku i rzeźby. Spośród dawnego grona artystów do dnia dzisiejszego należą Marcin Guzy, Andrzej Breguła, Mieczysław Błaszczuk. Problemy organizacyjne sprawiły, że od roku 1990 nastąpiła przerwa w działalności trwająca aż do 1996 r., kiedy to patronat nad „Spichlerzem '86” objął Urząd Miasta. Opiekę merytoryczną przez wiele lat sprawował artysta plastyk Józef Antoni Kramarz. Stroną organizacyjną licznych przedsięwzięć Grupy a zwłaszcza udziałem w konkursach plastycznych (m.in. „Rudzka Jesień”, konkurs im. P. Wróbla, „Śląskie Gody”), plenerach, wystawach zajął się Marcin Guzy. Do niezwykle cennych i wyjątkowych przedsięwzięć należy zaliczyć utworzenie w Szpitalu nr 2 w Siemianowicach Śl. „Galerii pod Dwójką”, co stało się możliwe dzięki inicjatywie Józefa A. Kramarza i psycholog Oddziału Rehabilitacji – Ewy Cabalskiej. Aktualnie stała ekspozycja „Spichlerza '86” ma swoje miejsce w nowej galerii mieszczącej się w niedawno odnowionej Willi Fitznera. Prace członków znalazły się też w wielu prywatnych kolekcjach spośród których szczególnie miejsce zajmuje kolekcja G. S. Trefonia w Rudzie Śląskiej.



Jubileuszowa wystawa z okazji 25-lecia Grupy Plastycznej „Spichlerz '86”

W chwili obecnej w skład Grupy wchodzi: Marcin Guzy, Michał Lemaszewski, Leszek Nowak, Mieczysław Błaszczuk, Joanna Łącka, Franciszek Sowa, Ryszard Żłobiński, Edward Czech, Stanisław Łakomy, Jan Urbańczyk, Krystyna Ptaszek, Teresa Podgórska, Jarosław Engler, Wanda Malik, Ireneusz Malik, Ewa Cabalska, Sybilla Nowak, Leszek Piec, Halina Baron, Andrzej Sodowski, Barbara Sitek, Stanisław Pilarczyk, Zbigniew Koncewicz, Henryk Bujoczek, Józef Szendzielorz. Grono osób współpracowało lub nadal współpracuje z Siemianowicką Grupą Plastyczną „Spichlerz '86”: T. Ptasznik, A. Breguła, J. Skrzypczyk, M. Połomski, P. Troncik, A. Woźniczko, H. Jaworek, T. Pronobis, S. Sitko, P. Woźnica, P. Trocha, J. A. Kurawski, M. Manek, Z. Kamiński, H. Wandzik, J. Wójcik, H. Kwiatyński, L. Ceglarek, S. Sorek, S. Bednarek, E. Kowolik. Należy wymienić też tych członków Grupy, którzy odeszli w ostatnich latach: Jacka Gladosa, Jana Podhalańskiego, Edwarda Machowskiego, Maksymiliana Woellera, Zbigniewa Jaskułę, Grzegorza Ptasznika, Ludwikę Zmarzły. (przyp. red.)

IN MEMORIAM

ANTONI HALOR (1937–2011)

Wierzyć się nie chce, że minęło już ponad półtora roku od chwili gdy odszedł od nas Antoni Halor, plastyk, reżyser, pisarz, związany wyjątkowo mocno z Siemianowicami Śląskimi.

Tu się urodził 75 lat temu (w lipcu byłby obchodził piękny jubileusz), tu spędził dzieciństwo i wczesną młodość, tu zdał maturę w Liceum Ogólnokształcącym im. J. Śniadeckiego, stąd wyruszył na studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a następnie, po jej ukończeniu, na wymarzoną reżyserię w Wyższej Szkole Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej w Łodzi. Potem przyszły pierwsze sukcesy – laury na festiwalach filmów krótkometrażowych w Krakowie, nagrody w Londynie, we francuskim Tours, w fińskim Tampere. Związany etatowo z Wytwórnią Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie, mógł się przenieść do stolicy, mógł wybrać karierę za granicą, ale nie... on nigdy nie zmienił swojego stałego miejsca zamieszkania. Pracując w Warszawie i gościnnie w innych miastach Polski jako reżyser przyjeżdżał do Siemianowic na soboty i niedziele i kiedy tylko mógł, bo tutaj miał najbliższą rodzinę. Kręcił tutaj swoje filmy, w tym ten pierwszy – jeszcze w czasach studenckich: *Kolejka* i ten ostatni: *Ulica, o której trochę wiem*, kiedy był już w wieku bardzo dojrzałym. A wiedział o swoim mieście tak wiele jak chyba mało kto.

Potem, kiedy już zdrowie nie pozwalało na kontynuowanie pracy reżyserskiej, poświęcił się pisaniu, a jedną z pierwszych książek były *Opowieści miasta z rybakiem w herbie* z 1997 r., w których ożywił długą i barwną historię Siemianowic wraz z oplatającymi ją legendami i tradycjami. Dla tego miasta zainicjował i prowadził przez wiele lat serię wydawniczą *Biblioteka Siemianowicka*, w ramach której powstało kilkanaście książek, nie tylko jego autorstwa, poświęconych dziejom miasta a przede wszystkim wybitnym, a często już zapomnianym jego

mieszkańcom. Dzięki niemu Siemianowice Śląskie stały się jedynym chyba miastem w Polsce, wydającym swój własny kalendarz: *Kalendarz Siemianowicki*. Długo by można wyliczać mniejsze i większe dzieła Antoniego Halora związane z jego rodzinnym miastem. Jedno jest pewne. Kolejne pokolenia siemianowiczian będą miały skąd czerpać wiedzę o swoim mieście i swoim regionie, o Śląsku.

I trzeba powiedzieć, że miasto odwdzińczyło mu się w sposób, który na pewno ująłby go za serce; w maju tego roku Rada Miasta stosowną uchwałą nazwała jego imieniem skwer przy ul. Katowickiej na osiedlu Tuwima, niedaleko domu, w którym mieszkał przez wiele lat. Skwer jest bardzo ładny, tonie w zieleni. A zieleń – o czym pewnie nie wszyscy wiedzą – była ulubionym kolorem Antoniego Halora.

Bogumiła Hrapkowicz-Halorowa
Redakcja *Siemianowickiego Rocznika Muzealnego*
Dyrekcja i Pracownicy Muzeum Miejskiego
w Siemianowicach Śląskich

NASZE PODRÓŻE

Wspomnienia są jak lawina zasypująca bezustannie umysł. Co wybrać z nich, żeby przelać na papier cząstkę pamięci o najbliższym człowieku, moim mężu, Antonim Halorze?

Był twórcą w pełnym tego słowa znaczeniu, poruszającym się samotnie własnymi drogami i ścieżkami. Nie przeszkadzało mi to zupełnie, bo sama uprawiałam fascynujący zawód – dziennikarstwo. Każde z nas miało swój krąg zainteresowań, które często się zbliżały do siebie, przenikały, ale pozostawały na swoich płaszczyznach. Między nimi rozciągał się duży obszar spraw wspólnych: tych samych wartości, zbieżnych poglądów na to, co się działo wokół nas, podobnego przeżywania dobrych i złych chwil, jakie przynosił kolejny dzień, miesiąc, rok. Jedną z tych wspólnych, silnie łączących nas, spraw było zamiłowanie do podróży. Nie udawało nam się, z wielu, bardzo prozaicznych zresztą, powodów, spełniać go w takim stopniu, jak tego pragnęliśmy. Oboje jednak należeliśmy do pokolenia „głodnego świata”, zamkniętego za „żelazną kurtyną”, która dopiero w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, zaczęła się trochę uchylać, by w następnej dekadzie zamknąć się znowu – i to bardzo szczelnie (chyba że ktoś chciał wykupić bilet tylko w jedną stronę...). Dla współcześnie żyjącego pokolenia, to zupełnie niezrozumiałe rzeczy – wszak jedyną barierą utrudniającą wyjazd dokądkolwiek jest brak wystarczających środków finansowych, ale to można pokonać. My byliśmy w zupełnie innej sytuacji. Dla nas więc każda okazja wyjazdu za granicę, za każdą granicę, była czymś szczególnym. Jakże głęboko rozumieliśmy Ryszarda Kapuścińskiego, który w wydanych w 2004 r. *Podróżach z Herodotem* pisał o latach swojej wczesnej młodości: *[...] największe moje pragnienie, które nie dawało mi spokoju, nęciło mnie i dręczyło, było nawet skromne, bo mianowicie chodziło mi o jedno tylko – o sam moment, sam akt, najprostszą czynność przekroczenia granicy. Przekroczyć i zaraz wrócić, to by mi, myślałem, zupełnie wystarczyło, zaspokoilo mój niewytłumaczalny właściwie, a jakże ostry głód psychologiczny.[...]*

Wyjątkowo bliskie było nam to wyznanie. Zresztą to pierwsze wydanie *Podróży...*, z zakreślonymi na żółto ręką mojego męża fragmentami, leży do dziś na podręcznej półce obok *Dziejów* Herodota; i obie książki po równo „zacytane”.



Antoni Halor na tarasie zamku w Mosznej na Opolszczyźnie

Nam w dzieciństwie i wczesnej młodości towarzyszyły podobne odczucia i pragnienia. Zaczęły się trochę spełniać w latach siedemdziesiątych. Mojemu mężowi w większym stopniu, bo w ślad za sukcesami odnoszonymi na filmowym polu w Polsce, pojawiły się zaproszenia z zagranicy. Niedalekiej zresztą, kończącej się na Paryżu, Wiedniu, czy Moskwie. A największą przygodą życia stał się dwumiesięczny rejs jachtem do Islandii, który m.in. zaowocował cyklem piękných obrazów p.n. „Atlantyk”.

W III Rzeczypospolitej, kiedy już paszporty można było trzymać w szufladzie, próbowaliśmy nadrabiać zaległości, oczywiście w miarę posiadanych środków, czasu, sił i zdrowia, które wtedy, gdy praktycznie cały świat stawał przed nami otworem, zaczęło coraz częściej odmawiać posłuszeństwa. Odpuściliśmy więc podróże dookoła świata, dalekie kontynenty. – Nie ma co myśleć o Afryce czy Azji, skoro nawet Europy nie zdążę poznać naprawdę w ciągu tego życia, które mi jeszcze zostało – mawiał mój małżonek. I, niestety, miał rację. Ale i tak, tego co wspólnie przeżyliśmy podczas naszych podróży, tych dużych, urlopowych – po Europie i po Polsce i tych małych, weekendowych – po bliższej i dalszej okolicy, wystarczy na cały kufer (kto jeszcze dziś zna to słowo) pięknych i dobrych wspomnień. Co ciekawe, właśnie te dotyczące naszych krótkich sobotnio-niedzielných wypadów są bardziej natrętne, pojawiają się przed każdym niemal weekendem. I to nie przypadek, bo przez wiele lat, kiedy zbliżał się weekend, zwykle we czwartek, czasem w piątek rano przy śniadaniu, padało pytanie – I co, będziesz miała wolne? Pytanie było jak najbardziej zasadne, bo przecież pracując w redakcji codziennej gazety, nie wszystkie weekendy miałam wolne. Ale jeśli tak było, wystarczyła moja mina, mrugnięcie okiem i już było jasne – rano wyjeżdżamy. Dokąd? Wszystko jedno. Przed siebie. Wieczorem przygotowywałam walizczkę, do tego plecak, gdyby trzeba było odbyć dłuższą eskapadę w terenie. Ręczniki, bielizna, przybory toaletowe, jakieś ciuszki na zmianę. Rano kanapki, owoce, butelki z mineralną – i już wsiadaliśmy do malucha, którego kolejne wydania służyły nam przez wiele lat, potem do pocziwego seicenta. No więc dokąd? Cel był bardzo często dla mnie do tej chwili niespodzianką, bo jeśli wcześniej nie miałam jakichś specjalnych życzeń, albo nie wybieraliśmy się do kogoś w odwiedziny,

co trzeba było jednak zapowiedzieć gospodarzom, odpowiedzialność za wyprawę brał na siebie małżonek. Nie było sensu dopytywać wcześniej o szczegóły, bo decyzję, śmiejąc się, podejmował niby to spontanicznie; wskazujący palec podniesiony do góry i wystawiony w odpowiednim kierunku: no to teraz... na Chorzów, albo na Tychy, albo na Kochłowice... Kto prowadzi? Prowadziliśmy oboje, na zmianę, wszystko jedno kto najpierw, kto potem. Kiedy wyjeżdżaliśmy dość wcześnie rano, wołałam, żeby to on jako pierwszy usiadł za kierownicą. Z bardzo prostego powodu. Są ludzie-sowy i ludzie-skowronki. Mój mąż budził się raniutko jak skowronek, świeży i wypoczęty, ja jak ta sowa mogłam nie spać do świtu, ale rano ciężko było wstawać.

Ruszaliśmy więc przed siebie, dokąd oczy i cztery koła poniosą... Ale tak naprawdę bez słów było wiadomo, że cel jest jasny, co najwyżej trochę zmienia się drogi i ścieżki prowadzące do niego. Bo poprzedniego dnia wieczorem, kiedy ja pakowałam walizkę, mój małżonek jednym okiem patrząc w telewizor, gdzie akurat „szedł” jakiś western czy science fiction, drugim wpatrywał się w mapę czy atlas, czasem wyciągał z półki jedną, drugą książkę. Po prostu trzeba było sprawdzić to i owo, żeby wcielić w życie pomysł. Bo najpierw zawsze był pomysł. Pomysł rodził się na tysiąc sposobów. Czasem u jego podłoża był strzępek zasłyszanej gdzieś opowieści, czasem przeczytana gdzieś legenda, kiedy indziej wspomnienie z dzieciństwa, zdjęcie obejrzone w gazecie. I już jechaliśmy w nieznanne... A gdzieś tam u celu czekała niebanalna dziewiętnastowieczna kapliczka, średniowieczny krzyż pokutny, barokowa świątynia albo drewniany kościółek z piękną polichromią, ruiny zamczyska albo pałac zamykający w swych wnętrzach fascynującą historię jakiegoś możnego rodu, a po drodze były jeszcze liczne przystanki, bo kto wie co człowiek może spotkać kiedy rusza w nieznanne. Nieważne bowiem czy jechało się na wschód czy na zachód, na północ czy na południe – cel był jeden: poznanie nieznanego, odkrycie czegoś o czym się wcześniej nie wiedziało. Nie chodziło więc o to, żeby dojechać, obejrzeć, zrobić zdjęcie, zjeść przywiezione kanapki i wrócić z poczuciem dobrze spędzonego weekendu.



Na dziedzińcu opactwa benedyktynów w Tyńcu



Na zielonym szlaku w Mszanie Dolnej w towarzystwie małżonki własnej i Alicji Stanek (w środku), małżonki autora wszystkich zamieszczonych w tym tekście zdjęć – Marka Stanka

z czasem zaczęło się to zmieniać. Pojawiły w sprzedaży mapy, plany miast, przewodniki. Zdarzały się całkiem miłe niespodzianki. W Stargardzie Szczecińskim udawało się np. kupić mapkę turystyczną Beskidu Sądeckiego, a w Zdziechowicach – „Warmię i Mazury”. Ale jakoś trzeba sobie było radzić.



Na San Domino, jednej z wysp włoskiego archipelagu Tremiti na Adriatyku

Poznanie nieznanego zaczynało się zwykle w miejscowej księgarni, czasem dostępnej dopiero kilkanaście kilometrów dalej, z nadzieją, że znajdzie się jakiś przewodnik, mapkę, choćby folderek, opracowanie jakiegoś lokalnego historyka-amatora (a okazuje się, że takich jest niemało). Ale nie mieliśmy niepotrzebnych złudzeń; w latach osiemdziesiątych czy jeszcze w pierwszej połowie dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku efekty takich odwiedzin były nader mizerne. Półki przeznaczone na książki też świeciły pustkami, nawet zwykła widokówka była często nieosiągalna. Dopiero

Mój małżonek uzbrojony w dwa aparaty fotograficzne, sporej wielkości torbę, w której były dodatkowe obiektywy, gruby notatnik, ołówki, długopisy, trochę literatury przedmiotowej, często pochodzącej sprzed II wojny, albo i jeszcze starszej, ruszał do akcji. I sobie tylko wiadomym sposobem, czasem w najbardziej nudnym pejzażu, znajdował jakąś perełkę architektoniczną, w kopcu ziemi rozpoznawał szwedzki szaniec, w rozsypującej się ruinie dawnego dworku szlacheckiego dostrzegał niezłe zachowany herb jego właścicieli. A potem trzeba było dotrzeć do sedna, czyli odpowiedzieć na dziesiątki, setki pytań: co to za dworek, zamek czy pałac, kto go zbudował, kim był,

jakie były jego losy, jakich miał wrogów i przyjaciół, czego dokonał, co po nim jeszcze zostało, a wszystko po to, jak napisał Herodot, a za nim powtórzył Kapuściński, *żeby dzieje ludzkości z biegiem czasu nie zatarty się w pamięci.*

Mój mąż hołdował tej samej zasadzie, a ja też nigdy nie miałam nic przeciwko niej, więc żeby ocalić jakiś ułomek historii, szukaliśmy odpowiedzi na te liczne pytania; najpierw w najbliższym otoczeniu, u mieszkających w pobliżu sąsiadów, przypadkowych przechodniów, starszków-gawędziarzy, historyków-amatorów, interesujących się przeszłością swojej rodzinnej wsi czy miasteczka, miejscowych proboszczów, bo w księgach parafialnych można znaleźć mnóstwo ciekawych informacji. To były często tak fascynujące rozmowy, że trudno się było

rozstawać, więc nie raz i nie dwa wracaliśmy potem w te same miejsca, do tych samych ludzi, albo do ich przyjaciół, znajomych, którzy też coś na ten temat mieli podobno wiedzieć. Czasem wiedzieli, czasem nie, ale to nie było ważne. Ważne było czy w ogóle mieli coś ciekawego do powiedzenia. A przeważnie mieli, tylko jakoś wcześniej nikt z nimi nie rozmawiał. W ten sposób poznawaliśmy często naprawdę niezwykłych ludzi, bywało że pielęnowaliśmy te znajomości, a niektóre z czasem przekształciły się w przyjaźnie. Niektóre dotrwały do dziś, a wiele z zasłyszanych opowieści znalazło trwałe miejsce w książkach mojego męża. Czasem i ja wykorzystywałam je w moich tekstach dziennikarskich.

Wracaliśmy z tych weekendowych podróży po Śląsku, po Małopolsce, czasem i dalszych regionach, bogatsi, pełni dobrych emocji, energii, no i wspomnień. Szkoda, że zostały tylko wspomnienia.



Na spacerze w Antibes w Prowansji

MARIA FOJCIK (1933-2011)

Maria Magdalena Fojcik ur. 2 lipca 1933 r. w Michałkowicach, córka Józefa i Franciszki Fojcik. Wnuczka ostatniego wójta Gminy Michałkowice. Wraz z trzema siostrami wychowywała się w rodzinie rolniczej. Ukończyła szkołę podstawową w Michałkowicach, a następnie uczyła się w Technikum Fototechnicznym mieszczącym się w budynku Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych w Katowicach. Po ukończeniu technikum odbywała staż zawodowy w Zakładzie Fotograficznym Szczyпки w Siemianowicach przy ul. Parkowej. W 1963 r. zdała egzamin czeladniczy i otworzyła własny zakład z siedzibą przy ul. Kościelnej w Michałkowicach. Zakład ten prowadziła do roku 1993. W latach 1988-1990 została radną Rady Miejskiej pracując w Komisji Rozwoju Gospodarczego i Gospodarki Mieszkaniowej. Interesowała się historią swej rodziny, Michałkowic i Siemianowic. Dużo fotografowała – fotografie jej autorstwa są cennym dokumentem, gdyż w międzyczasie wiele ulic zmieniło swój wygląd – starsze budynki wyburzono, a ich miejsce zajęły betonowe bloki. Mieszkała w domu rodziców i dziadków, przy ulicy Kościelnej. Interesowała się wszelkimi przejawami życia kulturalnego w Siemianowicach. Uczestniczyła we wszystkich wernisażach, spotkaniach z ciekawymi ludźmi i innych imprezach kulturalnych. Przez ostatnie lata życia zdrowie nie pozwalało jej już tak czynnie jak niegdyś uczestniczyć w życiu miasta. Zmarła 7 kwietnia 2011 r. w Michałkowicach. Pochowana została na cmentarzu parafialnym, w grobie rodziców.

Małgorzata Derus – Miejski Konserwator Zabytków w Siemianowicach Śl.
Redakcja *Siemianowickiego Rocznika Muzealnego*
Dyrekcja i Pracownicy Muzeum Miejskiego
w Siemianowicach Śląskich



Maria Fojcik

Franciszka i Józef Fojcik
– rodzice Marii Fojcik



Maria Fojcik (druga z lewej)
z rodzicami i siostrą



Maria Fojcik
(pierwsza z lewej)
z matką i siostrami



**KALENDARIUM
WYSTAW I IMPREZ
W MUZEUM MIEJSKIM
W 2011 ROKU**

WYSTAWY STAŁE

- „Z dziejów Siemianowic Śląskich”
- „Tradycyjna kultura wsi górnośląskiej”
- „Czyn zbrojny Górnoślązaków w XX wieku”
- Galeria Rzeźby w Węgłu
- „Wnętrza mieszkalne i gospodarcze z I poł. XX wieku”

WYSTAWY ZMIENNE

• „Zimowe krajobrazy z kołędami” – wystawa kółka plastycznego Młodzieżowego Domu Kultury im. dr. H. Jordana w Siemianowicach Śląskich (21.12.2010-26.01.2011)

• Wystawa historyczna pt. „Śladami bolesnej przeszłości – KL Auschwitz” (31.01-20.02)

• Wystawa historyczna pt. „100-lecie harcerstwa polskiego” (8.12.2010 -22.02.2011)

• Wystawa malarstwa z cyklu „Impresje śląskie” – prezentacja twórczości grupy plastycznej OCHRA z Woźnik Śląskich oraz Siemianowickiej Grupy Plastycznej „Spichlerz ‘86” (25.02-10.04)

• Wystawa malarstwa Krzysztofa Habdasa i fotografii Bogusława Hajdy pt. „Ginące krajobrazy Śląska” (11.03-10.04)

• Wystawa prac studentów i wykładowców pracowni rysunku Janusza Karbowniczka – profesora ASP w Katowicach (15.04-10.06)

• Wystawa malarstwa dr. Piotra Kossakowskiego – wykładowcy ASP w Katowicach (15.04-10.05)

• Wystawa historyczna pt. „Udział siemianowiczian w III Powstaniu Śląskim” (6.05-30.12)

• Wystawa fotografii Katarzyny Jaworskiej, Aleksandra Barteckiego i Pawła Brzenczka oraz uczestników zajęć I Siemianowickiej Akademii Fotografii (14.05-10.10)

- Wystawa jubileuszowa z okazji 25-lecia Siemianowickiej Grupy Plastycznej „Spichlerz ‘86” (17.06-5.09)
- Wystawa prac plastycznych uczniów Gimnazjum nr 2 w Siemianowicach Śląskich (3.06 -10.06)
- Wystawa fotografii Adama Bula pt. „Góry świata” (12.09-15.10)
- Wystawa plastyczna pt. „Mal mit mir – Maluj ze mną” w ramach projektu międzynarodowego z udziałem podopiecznych Bischof-Wittmann-Schule Regensburg (Niemcy) oraz Pracowni Plastycznej „Okienko” w Siemianowicach Śląskich (11.10 – 14.11)
- Wystawa fotografii pt. „Finlandia przez wieki” – w ramach Festiwalu Kultury Skandynawskiej „Nordalia” (19.10-20.11)
- Wystawa z cyklu „Siemianowickie spotkania kolekcjonerskie” pt. „Siemianowice Śląskie na fotografiach i pocztówkach” (18.11-14.12)
- „Zimowe krajobrazy z kołędami” – wystawa kółka plastycznego Młodzieżowego Domu Kultury im. dr. H. Jordana w Siemianowicach Śląskich (20.12.2011-15.01.2012)

WERNISAŻE, SPOTKANIA, KONCERTY

5.01 – „Gloria in excelsis Deo” – koncert kołęd w wykonaniu artystów krakowskiej Piwnicy św. Norberta – Piotra Kordasa (śpiew) i Bohdana Lizonia (gitara) oraz uczniów i absolwentów Szkoły Podstawowej nr 3 w Siemianowicach Śląskich pod kier. Alicji Ratyni. Wspólne kołędowanie przy akompaniamencie Franciszka Rzepczyka (fortepian)

13.01 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Radość tworzenia – o tajnikach biblioterapii” – prowadząca Wiesława Szlachta (bibliotekoznawca, dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej)

27.01 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Jakła, hut, galoty... – o stroju śląskim” – prowadzący Wojciech Grzyb (etnograf Muzeum Miejskiego)

31.01 – Otwarcie wystawy historycznej pt. „Śladami bolesnej przeszłości - KL Auschwitz” (we współpracy z Towarzystwem Opieki nad Oświęcimiem)

10.02 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Śladami bolesnej przeszłości” – o obozie koncentracyjnym Auschwitz - Birkenau i siemianowickim

podobozie Laurahütte – prowadzący Mirosław Domin (prezes Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem)

22.02 – „Dzień myśli braterskiej” – spotkanie harcerskie połączone z finałem wystawy historycznej pt. „100-lecie harcerstwa polskiego”

24.02 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Z dziejów małej ojczyzny – o działalności Towarzystwa Gimnastycznego »Sokół« w Siemianowicach” – prowadzący Leszek Drabicki (historyk Muzeum Miejskiego)

25.02 – Wernisaż wystawy malarstwa z cyklu „Impresje śląskie” – prezentacja twórczości grupy plastycznej OCHRA z Woźnik Śląskich oraz Siemianowickiej Grupy Plastycznej „Spichlerz ‘86”

10.03 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Ćwiczenia z malarstwa – pastel” – prowadzący Jarosław Bednarz (plastyk Muzeum Miejskiego)

11.03 – Wernisaż wystawy malarstwa Krzysztofa Habdasa i fotografii Bogusława Hajdy pt. „Ginące krajobrazy Śląska”

3.03 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Armia Krajowa na Śląsku” – prowadzący Wojciech Kempa (historyk, kierownik Referatu Polityki Informacyjnej i Promocji Miasta Siemianowic Śląskich)

7.04 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Ćwiczenia z malarstwa – akwarela” – prowadzący Jarosław Bednarz

15.04 – Wernisaż wystawy rysunku studentów i wykładowców pracowni Janusza Karbowniczka – profesora Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach oraz malarstwa dr. Piotra Kossakowskiego – wykładowcy ASP. Koncert duo jazzowego w składzie: Paweł Daniel Stawarz – wibrafon elektroniczny oraz Patryk Zdebek – saksofony

24.04 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Radość tworzenia – o muzyce i poezji współczesnej” – prowadzący Krystian Hadasz oraz zaproszeni goście: Eugeniusz Depta – lekarz, poeta i Adam Bul – muzyk

6.05 – Otwarcie wystawy historycznej pt. „Udział siemianowiczian w III Powstaniu Śląskim” połączone z prelekcjami dr. hab. Zdzisława Janeczka i mgr. Wojciecha Kempy. Prezentacja prac uczniów siemianowickich szkół nagrodzonych w konkursie wiedzy o Powstaniach Śląskich

12.05 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Co należy wiedzieć o powstaniach śląskich?” – prowadzący Artur Garbas (znawca historii wojskowości, pracownik Muzeum Miejskiego)

14.05 – Europejska „Noc Muzeów”

P r o g r a m :

- Bernard Maseli – „Diary 2” – koncert w wykonaniu jednego z najbardziej znanych polskich muzyków jazzowych (wirtuoza elektronicznego ksylofonu KAT, członka grupy „Walk Away”)

• Wernisaż wystawy fotografii Katarzyny Jaworskiej, Aleksandra Barteckiego i Pawła Brzenczka oraz uczestników zajęć I Siemianowickiej Akademii Fotografii. W części muzycznej wystąpił zespół „Granda” w składzie: Izabela Barteczko – śpiew, Michał Kuryś – instrumenty klawiszowe, Adrian Groblicki – gitara, Maciej Guzy – gitara basowa, Łukasz Golly – perkusja

• Zwiedzanie pracowni Siemianowickiej Grupy Plastycznej „Spichlerz ‘86”

• „Noc majowa” – wieczór poezji siemianowickich poetów – Joanny Łackiej, Eugeniusza Depty, Jarosława i Pawła Englerów, Krystiana Hadasza oraz zaproszonych gości – Katarzyny Młynarczyk, Jolanty Klimek i in. Prezentacja wierszy przez wszystkie zainteresowane osoby uprawiające twórczość poetyck. Koncert poezji śpiewanej Wiesława Ciecieręgi oraz recital gitarowy Adama Bula.

• „Czy można polubić muzeum?” – dyskusja z udziałem pracowników merytorycznych Muzeum Miejskiego oraz zaproszonych gości: Mirosława Domina (prezes Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem), Pawła Brzenczka (prezes Grupy Twórczej „Ocochodzi”) o nowych trendach w światowym i polskim muzealnictwie

26.06 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Tajniki sztuki 2D – o grafice cyfrowej” – prowadzący Jarosław Bednarz

6.06 – „Święto Szkoły w Muzeum” – Gimnazjum nr 2 im. Powstańców Śląskich w Siemianowicach Śląskich”. Wernisaż prac plastycznych uczniów połączony z koncertem w wykonaniu absolwentów Szkoły

16.06 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Wodzionka, karminadle, krupnioki... – o kuchni śląskiej” – prowadzący Wojciech Grzyb (etnograf Muzeum Miejskiego). Podsumowanie cyklu zajęć Akademii Muzealnej połączone z wręczeniem certyfikatu Przyjaciela Muzeum

17.06 – „Wieczór w Muzeum” – w ramach XXIX Dni Siemianowic Śląskich

P r o g r a m :

• Wernisaż wystawy jubileuszowej z okazji 25-lecia Siemianowickiej Grupy Plastycznej „Spichlerz ‘86”

• „Spichlerzowe spotkanie z muzyką i poezją” – promocja książek poetyckich Joanny Łackiej i Jarosława Englera oraz koncert z udziałem siemianowickich muzyków: „Bohdan Lizoń Trio” (w składzie: Bohdan Lizoń – gitara, Maciej Garbowski – kontrabas, Krzysztof Gradziuk – perkusja) oraz Katarzyna Mueller – śpiew i Bohdan Wantuła – fortepian

12.09 – Wernisaż wystawy fotografii pt. „Góry świata” Adam Bula (muzyka i podróżnika) połączony z recitalem gitarowym

21.09 – Wieczór autorski dr. Eugeniusza Depty połączony z promocją jego książki poetyckiej pt. „Zrozumiałem”. Recital gitarowy w wykonaniu Adama Bula

11.10 – Wernisaż wystawy plastycznej pt. „Mal mit mir – Maluj ze mną”

w ramach projektu międzynarodowego z udziałem podopiecznych Bischof-Wittmann-Schule Regensburg (Niemcy) oraz Pracowni Plastycznej „Okienko“ w Siemianowicach Śląskich

19.10 – Wernisaż wystaw fotograficznych pt. „Finlandia przez wieki” oraz „Moja Finlandia” Agaty Dominowskiej połączony z prelekcją Urszuli Juzków z Ambasady Finlandii na temat historii kultury skandynawskiej – w ramach Festiwalu Kultury Skandynawskiej „Nordalia” (Galeria Multimedialna „Piwnica”).

20.10 – Inauguracja zajęć Akademii Muzealnej – „Tajniki współczesnego muzeum – o wystawach multimedialnych i wirtualnych” – prowadzący Krystian Hadasz

10.11 – Zajęcia Akademii Muzealnej - „Sztuka, która leczy – o metodach arteterapii – prowadzący Jarosław Bednarz (plastyk Muzeum Miejskiego)

15.11 – Spotkanie z Siemianowickim Stowarzyszeniem Amazonek „Razem” połączone z prezentacją twórczości uczestników

18.11 – Wernisaż wystawy z cyklu „Siemianowickie spotkania kolekcjonerskie” pt. „Siemianowice Śląskie na starych fotografiach i pocztówkach”. Podczas wernisażu prelekcję na temat wystawy wygłosiła Małgorzata Derus – Miejski Konserwator Zabytków; w części muzycznej wystąpił Franciszek Rzepczyk (fortepian)

23.11 – Finał konkursu przedszkolaków pt. „Siemianowice Śląskie – moje miasto”

24.11 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Nie tylko Virtuti Militari... – o znakach i odznaczeniach wojskowych – prowadzący Artur Garbas

7.12 – Wieczór poezji i muzyki przygotowany przez grupę poetycką „Obok sceny” z Bytomia

8.12 – Zajęcia Akademii Muzealnej – „Z dziejów małej ojczyzny – separatyzm na Górnym Śląsku od II połowy XIX w. – prowadzący Leszek Drabicki (historyk Muzeum Miejskiego)

15.12 – Zajęcia Akademii Muzealnej „Boże Narodzenie na Górnym Śląsku – prowadzący Wojciech Grzyb

20.12 – „Zimowe krajobrazy z kolędami” – wernisaż kółka plastycznego Młodzieżowego Domu Kultury im. dr. H. Jordana w Siemianowicach Śląskich połączony z koncertem kolęd w wykonaniu kółka muzycznego MDK

**W TYM NUMERZE
SIEMIANOWICKIEGO ROCZNIKA MUZEALNEGO
PUBLIKUJĄ:**

Prezydent Miasta Siemianowic Śląskich Jacek Guzy – autor Wstępu;

Małgorzata Derus – historyk sztuki, Miejski Konserwator Zabytków w Siemianowicach Śląskich, autorka licznych publikacji z zakresu historii architektury Śląska;

Mirosław Domin – prezes Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem, autor licznych publikacji o historii KL Auschwitz;

Czesław Guzy – kolekcjoner starej fotografii, autor publikacji o historii Bytkowa (dzielnicy Siemianowic Śl.);

Krzysztof Hadasz – dyrektor Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śl.;

Bogumiła Hrapkowicz-Halorowa – filolog polski, długoletnia dziennikarka śląskiej prasy, redaktor książek Antoniego Halora;

Zdzisław Janeczek – dr hab., historyk, pracownik naukowy Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, autor licznych publikacji historycznych;

Wojciech Kempa – historyk, autor licznych publikacji z zakresu najnowszej historii Polski, kierownik Referatu Polityki Informacyjnej i Promocji Miasta Siemianowic Śląskich;

Krzysztof Lisowski – poeta, krytyk literacki, redaktor Wydawnictwa Literackiego w Krakowie;

Katarzyna Młynarczyk – historyk i krytyk sztuki, poetka, autorka publikacji o współczesnej sztuce oraz książek poetyckich;

ks. Jerzy Szymik – prof. zw. dr hab., poeta, teolog, wykładowca Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, autor licznych publikacji z zakresu teologii oraz książek poetyckich.

